DZIEWCZĘ Z DALEKIEJ PÓŁNOCY

REX BEACH

DZIEWCZĘ Z DALEKIEJ PÓŁNOCY

PRZEKŁAD
JANINY KRASUCKIEJ

WYDAWNICTWO
M. ARCTA

PRAWDA A PRACA

WARSZAWA
1929

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225



I. Ostatnia granica.

Niektórzy z pośród obywateli Flambeau byli dłużnikami Johna Gale'a, właściciela jedynego sklepu w obozie, inni znów uważali go za swego przyjaciela. Ci ostatni nie potrafiliby z pewnością wytłumaczyć podstaw owej przyjaźni, dość, że kupiec wyświadczał im wiele najrozmaitszych przysług, co na Północy jest czemś zupełnie niezwykłem. Bardzo być może, iż przyjaźń Johna Gale'a opierano na jednakowej jego uprzejmości w stosunku do wszystkich; zarówno podczas dni dostatku, jak i głodu skład jego otwarty był dla klientów i każdy otrzymywał przynależną sobie porcję. John Gale nie podwyższał cen wówczas nawet, gdy łodzie dowożące prowjanty spóźniały się o dni kilka. Pamiętano doskonale ową ponurą, wietrzną jesień, kiedy to parowiec wiozący zapasy na zimę zatonął wpobliżu Lower Ramparts, wówczas Gale począł czerpać prowjanty z prywatnej swej śpiżarni, rozdzielając je co miesiąc swym klientom. Pamiętano również zimę, która nastała po owej szarej jesieni, gdy widmo głodu poczęło nawiedzać domostwa, gdy tygodniami ... kładziono się spać bez kolacji z przekleńst... ustach, a każdego ranka dostawano skromn...

od siwowłosego kupca - dobroczyńcy. Wielu klientów Gale'a posiadało sakiewki napełnione piaskiem złotym, pochodzącym z pokładów Czwartej Mili, inni znów z nastaniem pierwszych mrozów przybywali tu z Koyukuk bosi i obdarci, wspominający z rozkoszą przewyborny smak psiego mięsa. I ci biedacy, zarówno jak bracia ich z górnej rzeki, żywili się podczas zimowych dni głodu wydzielanemi porcjami spleśniałej mąki, rdzawej słoniny i odpadków cukru. W owym okresie głodu John Gale również cen nie podniósł.

Od niektórych otrzymywał John Gale weksle, o których klienci nie pamiętali potem zupełnie; zato na wiosnę przychodzili, opowiadali o swych rozczarowaniach i wracali w góry zaopatrzeni prowjantami. Kupiec nie czynił im wyrzutów, chociaż długi powiększały się z roku na rok, nawet do Lee, zwanego powszechnie „no Creek", nie żywił urazy. Lee był najnieszczęśliwszym ze wszystkich, sam twierdził, że wisi nad nim przekleństwo, bo nawet żyła złota, słysząc zbliżające się jego kroki, umyka przed nim, lub też niknie w ziemi zupełnie.

Oczywiście, byli i tacy, którzy świadomie starali się zapominać o ciążących na nich długach, było ich jednak niewielu; obawiano się poprostu, że John Gale straci wreszcie do wszystkich zaufanie i zaniecha dobrych swych uczynków. Stary kupiec nie wtrącał się do osobistych spraw swych klientów; spokojnie dawał im towar i ze spokojem przyjmował swą należność. Mówił głosem przyciszonym, a uśmiechał się bardzo [illegible] Na obcych spoglądał zwykle przez chwilę, [illegible] myśli wartość każdego, przyczem wzrok jego [illegible]wyczaj w przestrzeni, jakby w poszukiwaniu

kogoś, kto przyjść miał, a czyje odwiedziny cieszyły go, lub sprawiały mu przykrość. To też twierdzono ogólnie, że John Gale niejedno przeżyć już musiał i z wielkiem zadowoleniem nazywano go „przyjacielem“.

Właśnie dziś stał Gale w drzwiach swego sklepu, wpatrzony w rozsłonecznione fale rzeki, chłonąc chciwie ciepło arktycznego popołudnia. Yukon płynął wyraźnym zakrętem wzdłuż wysokiego wybrzeża, przecinał miasteczko i ginął gdzieś w dole poza ścianą gęstego lasu, który zasłaniał mieszkańcom miasta swobodny widok na płynące do przystani parowce. Posępne fale Yukonu, mętne zazwyczaj wskutek szalonej ilości piasku i gliny, dzisiaj pod wpływem słonecznych promieni sprawiały wrażenie roztopionej lawy złota, płynącej z dalekiego kraju tajemnic i ginącej w odległej dolinie zapomnienia.

John Gale marzył teraz o tem, ażeby Yukon zabrał na swe złociste fale wszystkie dręczące go od lat tylu troski, a na ich miejsce przywiódł zapomnienie, jako dar od tych, którzy już dawno odeszli. W rzeczywistości jednak, zamiast upragnionego spokoju, coraz nowe przybywały wieści o dziwnych poczynaniach w górze rzeki, wieści, które przywoził każdy niemal statek. Stary kupiec spodziewał się wprawdzie już oddawna, że nastąpić to wreszcie musi, że spokój minie bezpowrotnie, gdy wielka masa ludzi zawładnie tą nieznaną krainą, przynosząc z sobą to, czego Gale się tak lęka, to, co uczyniło go takim, jakim jest obecnie. A jednak teraz był na tę straszną zmianę nieprzygotowany.

Odwrócił głowę w stronę, skąd dochodziły zmieszane głosy. Na wybrzeżu, w odległości tysiąca jardów

kilku mężczyzn zajętych było umocowywaniem chorągwi; drzewce chorągwi wyciosane było z cienkiego pnia sosny, z której uprzednio zdarto korę. Mężczyźni ci stali tuż nad brzegiem rzeki wpobliżu malowniczej grupki budynków, połyskujących w złotych promieniach słońca.

Gale przyglądał się symetrycznej budowie domków, błękitnym uniformom zajętych przy wznoszeniu chorągwi mężczyzn i młodemu oficerowi, wydającemu innym rozkazy. Zmarszczki na twarzy jego pogłębiły się nagle, a gęste brwi połączyły się w jeden łuk niezadowolenia.

— To się nazywa prawo — mruknął półgłosem. W tonie jego nie było radości, ani tej odrobiny zaciekawienia, które uzewnętrznia się zwykle w głosie ludzi na widok wzniesionej bandery. — Ostatniej granicy już niema! Droga kończy się tutaj!

Uszu jego dobiegł nagle śpiew dziewczęcy; posępny cień zniknął z oblicza starca, wargi, ukryte pod siwiejącym wąsem, złożyły się do uśmiechu, a w kącikach smętnych oczu zamigotała radość.

Na zakręcie ścieżki ukazała się młoda dziewczyna; wysoka i szczupła biegła szybko, zdając się stopami nie dotykać ziemi. Dwa grube ciemne warkocze, opadające na ramiona, okalały miękkiemi falami jasne jej czoło i świeżą twarzyczkę, ogorzałą od słońca i wiatru. Była naprawdę prześliczna. Widok jej wzburzył krew w żyłach patrzącego na nią Gale'a; wsparł się ciężko o framugę drzwi i mocniej zacisnął zębami fajkę.

— Jagody już dojrzały, — zawołała dziewczyna — czerwienią się od nich za wsią wszystkie pagórki. Za-

brałam z sobą squaw Constantine'a; uzbierałyśmy, ile się dało. Oczywiście, zjadłam wszystkie!

Śmiech jej przypominał dźwięk srebrnych dzwoneczków. Śmiejąc się, odrzuciła wtył głowę, wystawiając na wiatr smagłe policzki. Każde poruszenie jej młodego ciała zdradzało szalony temperament i dziką swobodę Indjanki. Ubrana jak księżniczka indyjska, miała jednak w swym stroju coś z elegancji kobiet białych.

— Constantine znów się upił wczoraj wieczorem. Dałam mu, oczywiście, odpowiedni pater noster. Gdyśmy wrócili do domu, już go nie było. Boi się śmiertelnie, gdy się rozgniewam.

Zmarszczyła brwi — najpiękniejsze jakie można w życiu zobaczyć — i wydęła purpurowe usteczka. Z pewnością mówiłaby długo jeszcze o swym gniewie, gdyby nie John Gale, który przerwał jej perorę miękkim głosem:

— Jak dobrze, że znów jesteś w domu, Necia. Nawet słońce tak jasno nie świeci, gdy ciebie niema, a gdy deszcz pada, zdaje się, że i mech, i trawa, i krzewy tęsknią za tobą. Wszystko płacze, gdy ciebie niema, dziewczyno, wszystko, oprócz twego starego ojca, a jednak są chwile, że i on przyłącza się do tej ogólnej tęsknoty.

Siadł na spróchniałych schodkach, a dziewczyna zajęła miejsce tuż przy nim, tuląc się do jego kolan.

— I ja tęskniłam za tobą, daddy — rzekła. — Zdawało mi się, że ten pobyt w Misji nigdy się nie skończy. Ojciec Barnum i inni byli dla mnie bardzo dobrzy, uczyłam się pilnie, ale smutno mi było bez ciebie.

— Sądzę, że umiesz już tyle, co ksiądz, prawda?

— O, o wiele więcej — odparła poważnie. — Widzisz, ja jestem kobietą.

Skinął głową w zamyśleniu.

— No, tak, naturalnie! Wyszło mi to z pamięci.

Zwróceni byli ku zachodowi, gdzie rozogniona tarcza słoneczna chyliła się ponad szczytami gór, pokrytych wiecznym śniegiem. Wielka dolina, ocieniona nieprzebytemi zaroślami młodziutkich brzózek i olszyny, sprawiała wrażenie miękkiego szmaragdowego kobierca, odbijającego się jaskrawo od oślepiającej bieli wysokich szczytów górskich. Jeszcze niżej ciągnęła się znamienna purpurą dolina Koyukuk, wabiąca ku sobie ludzi z nadejściem wiosny. Zwabieni wracali podczas lata z żrącą tęsknotą w duszy za Północą.

— Czy zadowolona byłaś z książek, które ci posłałem przez Poleona? Pożyczyłem je od George'a Shakespeare'a.

— Ogromnie — uśmiechnęła się dziewczyna. — Tylko z jednej nie byłam zadowolona.

— Z której?

— Zdaje się, że miała tytuł „Wiek rozsądku", czy coś w tym rodzaju. Nie zdołałam nawet przejrzeć jej dokładnie, gdyż ojciec Barnum wrzasnął na jej widok, a potem wyrwał mi ją z rąk, jak oparzony; wreszcie zaniósł ją do rzeki.

— Hm! Teraz przypominam sobie — szepnął stary w zamyśleniu — dziwny uśmiech Shakespeare'a, gdy mi dawał tę książkę. Widzisz, Poleon nielepiej czyta ode mnie, nie mogliśmy więc wiedzieć, jaki to rodzaj książki.

— Nie wiesz, kiedy Poleon wraca?

— Przypuszczam, że w tych dniach; już dość ma chyba tych dancingów w Dawson.

— Jaka szkoda, że nie mogłam z nim pojechać! — westchnęła dziewczyna. — Nigdy jeszcze nie widziałam miasta. Dawson przypomina pewno Seattle, albo New York.

Gale potrząsnął przecząco głową.

— Nie, — odparł — to zupełnie coś innego. Może kiedyś zabiorę cię z sobą do Stanów, ażebyś zobaczyła świat. — Urwał nagle, jakgdyby w ostatniej chwili żałował wypowiedzianych nieopatrznie słów; dziewczyna była zbyt uradowana obietnicą, aby dostrzec zmianę, jaka zaszła w głosie ojca.

— Zabierzemy z sobą matkę i dzieci, prawda?

— Oczywiście!

— Ach! I Poleon też pojedzie z nami. Przecież nie możemy pojechać bez niego. — Gale uśmiechnął się nieznacznie, spoglądając na jej rozentuzjazmowaną twarzyczkę. — Ciekawa jestem, co powie, gdy zastanie tu żołnierzy; wątpię, czy będzie z tego zadowolony.

Wzrok Gale'a podążył w stronę baraków; zauważył, że chorągiew była już wzniesiona. Powiewała teraz triumfalnie na wietrze, migocąc bielą drobnych gwiazd na tle płóciennego granatu.

Po dłuższej chwili milczenia Gale zdobył się na odpowiedź:

— Poleon Doret, zarówno jak my wszyscy, jest synem Północy. Dotychczas rządziliśmy sami i nadal więc radzilibyśmy sobie bez pomocy wymuskanych Jankesów, przysłanych nam tu dla obrony.

— Porucznik Burrell nie jest Jankesem — rzekła Necia. — Pochodzi z Kentucky.

Gale chrząknął pogardliwie.

— Powinienem był wiedzieć o tem. Ale wszyscy oni są tylko darmozjadami; żaden z nas nie może sobie pozwolić na utrzymywanie ludzi, którzy nic nie robią. Myli się ten oficer, sądząc, że pozwolimy się gnębić.

— Ależ on wcale nie ma zamiaru nas gnębić. Przysłano go tu, aby bronił interesów górników. Pozostać ma do czasu, aż zapanuje tu zupełny spokój.

Nie bacząc na pogardliwy uśmiech ojca, dziewczyna mówiła dalej z zapałem:

— Gorączka złota sprowadziła do nas i dobrych, i złych ludzi. Wojsko przybyło tu, aby zaprowadzić jakieśkolwiek prawa. Policja kanadyjska wysyła wszystkie swe męty wdół rzeki, rozstawiono więc wojsko po obozach dla obrony. Według mnie można to uważać za dobrodziejstwo.

— Gdzieżeś się nauczyła tego wszystkiego?

— Mówił mi o tem porucznik Burrell — odparła Necia.

Ojciec przyglądał się jej uważnie. Nie dostrzegła dziwnego jego spojrzenia, gdy po chwili zapytał zmienionym głosem:

— Przypuszczam, że Poleon przywiezie ci coś z Dawson, prawda?

— Nigdy nie zapomina o podarunku dla mnie. Kochany, dobry Poleon! — uśmiechnęła się tkliwie. — Czy pamiętasz, jak ukazał się po raz pierwszy tam na zakręcie rzeki? Z Chandelar przypłynął bez jedzenia; głód i zmęczenie dodawały mu humoru, im ciaśniej swój pas zapinał, tem głośniej śpiewał.

— Dążył do nowej swej ojczyzny.

— Tak. Nie wiedział, gdzie się ona znajduje, ale wrzało w nim pragnienie tułaczki, więc wiosłował i śpiewał, jakgdyby pływał po jeziorze Le Barge.

— Było to przed czterema laty, — szepnął w zamyśleniu Gale — a on dotychczas nie znalazł swej „nowej ojczyzny", nieprawdaż?

— Nie. Pojmaliśmy go w niewolę i przestał myśleć o tem — zaśmiała się Necia. — Drogi, zabawny Poleon, kocha mnie, jak siostrę.

Wargi Gale'a drgnęły, milczał jednak zajęty niewesołemi snać myślami. Po chwili podniósł się z miejsca, dostrzegłszy zbliżającego się ku nim od strony baraków mężczyznę w błękitnym uniformie; przyglądał się przez chwilę oficerowi i zacisnąwszy mocniej zęby, zniknął za drzwiami sklepu.

— Nareszcie umieściliśmy naszą chorągiew — rzekł porucznik, zajmując miejsce obok Neci. — Nie było to łatwiejsze, niż wybudowanie domu.

— To pan taki leniwy? — uśmiechnęła się dziewczyna.

— Przyznaję, — odparł — że nigdy nie zastanawiałem się nad tem. Dlaczego pani pyta?

— Czy zamierza pan gnębić naszych?

— Nie. Oczywiście, dopóki na to nie zasłużą. Nie wiem właściwie, co mam robić; może pani poradzi. — Uśmiech jego szczery był i ujmujący. — Widzi pani, po raz pierwszy jestem komendantem i rozkazy moje powinny być wyraźne. Zdaniem mojem, powinniśmy karać wszystkich tych, którzy mącą spokój w życiu uczciwych górników.

— Więc pan jest policjantem? — zawołała Necia.

— Departament przysłał mnie tu, abym stał na

straży interesów ludzi, którzy pędzą żywot poza granicą.

— Nie wierzę w to, aby pana kiedyś tu polubiono — wtrąciła Necia po namyśle.

— Ma pani słuszność, i ja tak sądzę. Nigdy nie otrzymam nagrody od obywateli Flambeau za opiekę nad nimi. Nawet kobiety mnie nie lubią, pani jest jedyną w obozie; na pewno lubiłaby mnie pani bardziej jeszcze, gdybyśmy się dłużej znali.

Potwierdziła skinieniem głowy, ku jego szalonej uciesze. Lubiła jego młodość świeżą i tak niezwykłą w tym kraju, gdzie najwięcej jest mężczyzn starych, a młodych chyli szybko ku starości zmęczenie i milcząca powaga górskich szczytów. Życie swe przepędziła wśród mężczyzn od siebie starszych i aczkolwiek rządziła nimi, jak kapryśna królowa, mało naogół interesowała się ich płcią, i oni bowiem nie interesowali się nią specjalnie. Pragnienie młodości i radości życia zbliżyło ją do Poleona Doret (ten zawsze chyba chłopcem zostanie), a teraz do młodego oficera z Kentucky.

— Gdy się nad tem zastanawiam, — rzekł znowu po chwili — wolę pani przyjaźń, niż miłość wszystkich tutejszych obywateli.

— Naturalnie, — przyznała — uczynią oni to, co ja będę chciała, z wyjątkiem ojca mego i...

— Nie dlatego, — przerwał pośpiesznie — lecz dlatego poprostu, że pani jest tutaj jedyną kobietą, jedyną niespodzianką w obozie. Czy mogłem przypuszczać, że w samem sercu tego pustkowia znajdę taką dziewczynę, jak pani... jak dziewczęta, które znałem w domu?

— Więc jestem taką, jak inne dziewczęta? — spytała z pałającym wzrokiem. — Taka jestem ciekawa...

— Jest pani taką i nie jest. Pośród tutejszego otoczenia zadziwia pani konwenans, a w kraju kulturalnym zadziwiałaby pani swoboda. Kim pani jest właściwie? Skąd się pani tu wzięła?

— Jestem tem, co pan widzi. Pochodzę ze Stanów, skąd tutaj mnie przywieziono. To jest wszystko, co mogę sobie przypomnieć.

— Więc pani nie mieszkała tu zawsze?

— O, nie! Przyjechaliśmy tu, gdy byłam jeszcze bardzo mała, a potem byłam daleko stąd, w szkole.

— W seminarjum jakiemś?

Zaśmiała się głośno.

— Coś w tym rodzaju. Byłam w Misji. Ojciec Barnum uczył mnie przez pięć lat. Przybyłam tutaj o dzień przed panem.

Nie pytała go o nic wzamian, bo przecież wiedziała o nim wiele od szpakowatego kaprala, który musiał być gadatliwym z natury. Dowiedziała się od niego o rodzinie Burrell, której nazwisko znane było na całem Południu i o tem, że Meade Burrell przybył tu z Frankfort jako komendant obozowego posterunku. Ojciec jego walczył z Lee, a jeden z wujów służył w Waszyngtonie. I wiele jeszcze opowiadał jej stary żołnierz, ale Necia nie wszystko zdołała dokładnie zrozumieć; mówił o siostrze Meade'a, która przybyła z Kentucky, aby zobaczyć się z bratem, gdy ten odpływał z San Francisco; mówił o przyjaciołach porucznika, pozostałych w Waszyngtonie i o szlacheckiem pochodzeniu rodziny Burrell.

Zdaniem kaprala, Meade Burrell był człowiekiem o niezwykłym charakterze i na pewno w niedalekiej przyszłości dobije się wysokiego stanowiska tak, jak

inni członkowie jego rodziny. Przy końcu opowiadania stary żołnierz popatrzał na Necię z szelmowskim uśmiechem i zaznaczył, że wszystkich Burrell'ów nazywają niewiasty „demonami“.

Odpoczywając na stopniach prowadzących do sklepu starego Gale'a, młodzi prowadzili nadal ożywioną pogawędkę. Od strony miasta dobiegła ich głośna rozmowa; mężczyzna odwrócił głowę. Wąską dróżką, prowadzącą z miasta, szła starsza Indjanka z dwojgiem dzieci. Na widok Neci maleństwa poczęły biec ku niej i z radosnym krzykiem przypadły do kolan dziewczyny. Byli to chłopiec i dziewczynka, cerą brunatną przypominający dzieci półdzikich Indjan z wybrzeży Yukonu, o oczach czarnych, jak węgle i prostych, szorstkich hebanowych włosach. Z pierwszego rzutu oka Burrell wziął dzieci za metysów, w których żyłach płynie krew mieszana; dzieci mówiły miejscowem narzeczem indyjskiem, którem Necia władała również doskonale. Zauważywszy w pewnej chwili oficera, maleństwa zamilkły nagle i tulić się zaczęły trwożnie do kolan Neci. Stara squaw na widok Burrell'a nasunęła szal na oczy i bez słowa weszła bocznemi drzwiami do sklepu.

Oficer przyglądał się z zadowoleniem delikatnej twarzyczce swej towarzyszki, jej smagłym policzkom w obramowaniu falujących kruczych splotów, potem wzrok przeniósł na kształtną jej figurkę i małe rączki które obejmowały teraz z iście matczyną pieszczotą dwoje piskląt indyjskich.

Szara niechęć, która zrodziła się w jego duszy po przybyciu do tego pustkowia, minęła bezpowrotnie. Jaki przecudny obrazek miał przed sobą! Jakże św

żo i powabnie wyglądała ta dziewczyna, a ja
tem była rozsądna!

— Strasznie się cieszę, że pani wróciła, n
cia — zaczął entuzjastycznie. — Radość moja
ła się w chwili, gdy ujrzałem panią po raz pie
a teraz z każdym dniem wzrasta, bo nie przypus
łem, że spotkam tu kogoś oprócz mężczyzn b
i indyjskich kobiet, jak ta, — wskazał starą Indjankę, drepcącą po sklepie — lub też takich małych metysków.

Objęła go przelotnem spojrzeniem.

— Jakąż to sprawia panu różnicę?

— Fe, Indjanki i dzieci o krwi mieszanej! — Wydął pogardliwie kształtne swe wargi.

Ująwszy dzieci za rączki, podniosła się z miejsca. Ciekawość migotała w lśniących jej oczach, a brwi zbiegły się z sobą nieznacznie.

— Nie wiem, czy pan to zrozumie, poruczniku Burrell, — rzekła — otóż to jest siostrzyczka moja, Molly Gale, a to mój braciszek, John.

Twarz oficera spłonęła szkarłatnym rumieńcem.

Z wnętrza sklepu dobiegło głośne wołanie starej Indjanki:

— Necia! Necia!

— Przyjdę za chwilę — odpowiedziała głośno dziewczyna, poczem dodała spokojnie, zwracając się do Burrell'a: — Matce jestem teraz potrzebna. Dowidzenia panu.

II. *Siła pięści Poleona Doret'a.*

Dom mieszkalny starego kupca wznosił się w odległości kilkuset metrów od składu, tuż ponad równiną. Był to ogromny, senny budynek, umieszczony po słonecznej stronie górskiej pochyłości, sprawiający wrażenie wielkiego potwora, drzemiącego ustawicznie pod wpływem gorąca. Dom sklecony był w stylu rosyjskim z belek grubo ciosanych, ściany nazewnątrz porastał mech, a wewnątrz spływała z nich strumieniami woda, której ani upały, ani też kilkostopniowe mrozy nie zdołały nigdy wysuszyć. Wielu architektów pracowało nad budową oddzielnych pokojów w oryginalnym tym budynku i wielu mieszkańców pozostawiło tu specyficzne piętno swego indywidualizmu, począwszy od sternika Pretty Charlie, który lepiej władał toporem, niż niejeden Indjanin, a skończywszy na Larsenie, cieśli okrętowym, który zagłodził się ostatniego lata w dolinie Koyukuk. Z biegiem lat budynek ulegał zniszczeniu, do czego przyczyniały się również liczne rodziny dawnych kupców obozowych, mieszkających tu przedtem jeszcze, zanim zostali myśliwymi, lub też górnikami. Podczas mroźnych dni zimowych, gdy renifery i łosie były na Północy rzadkością, całe rodziny tu-

bylców chroniły się przed mrozem do domu kupca, gdzie Alluna, jego żona, karmiła chętnie swych ziomków, czerpiąc zapasy ze składu pana swego i władcy; z ukazaniem się jednak pierwszego łososia na wartkich falach rzeki wszyscy opuszczali ciepłe schronienie, w pustym, cichym domu pozostawała tylko Alluna z najmłodszemi dziećmi. Ludzie, korzystający zimą ze schronienia w domu Johna Gale'a, przynosili mu potem wzamian skóry zwierząt i mięso świeże, a podczas spadku wody cache jego wypełniony był po brzegi ogromnym zapasem łososi i innych ryb, złowionych również przez wdzięcznych swemu dobroczyńcy tubylców. Za ryby te płacono potem Gale'owi po dolarze za sztukę.

Bywają ludzie, którzy potrafią olśnić błyskawicznym swym dowcipem i zaimponować sprężystą siłą wygimnastykowanych muskułów. Do takich właśnie ludzi należał John Gale; a jednak, mimo całego swego sprytu i inteligencji, nic prawie w życiu swem nie czytał, przepędzając zwykle długie wieczory z fajką na posępnych, samotnych rozmyślaniach. Sypiał zazwyczaj bardzo niewiele i często nad ranem dopiero budziły Allunę i Necię głośne jego kroki, gdy znużony całonocnym spacerem po pustych pokojach, wchodził wreszcie do wspólnej sypialni. Nikt nie mógł wątpić, że był on człowiekiem myślącym; świadczył o tem niezwykle skupiony wyraz jego twarzy i żywe oczy, patrzące na świat z chłodną odwagą. I dzisiejszej nocy John Gale siedział w swym fotelu pogrążony w głębokiej zadumie.

Przez otwarte drzwi dochodziły z sąsiedniego pokoju głosy Neci i młodszego rodzeństwa. Dziewczyna

ıkładała malców na spoczynek i opowiadała im bajkę o gniazdku śniegułki.

— Otóż, gdy inne ptaki padły, — mówiła śpiewnym głosem Necia — śniegułka zebrała resztki sił, aby się wzbić w powietrze. Leciała, leciała, gubiąc piórka po drodze, aż wreszcie dotarła do Końca Świata, gdzie mieszkały Dwie Stare Kobiety. Przybywszy do ich domu, śniegułka rzekła:

— Strasznie przeziębłam, czy mogę się ogrzać przy waszym ogniu?

Widząc ją małą, nagą i bezradną, Dwie Stare Kobiety pozwoliły przysunąć się do ognia ptaszynie. Skorzystawszy z nieuwagi staruszek, śniegułka chwyciła w dziobek kawałek rozżarzonego węgielka i, ile sił w skrzydełkach, poszybowała zpowrotem do domu. Tym sposobem właśnie Indjanie otrzymali ogień.

Rozpalony węgielek parzył gardziołko śniegułki, aż wreszcie krew poczęła płynąć z jej dziobka kropla po kropli. Od tego czasu każda śniegułka ma krwawy ślad na gardziołku.

Dzieci poczęły głośno szczebiotać w ojczystym swym języku, prosząc o bajkę o Dobrym Bobrze, który uratował życie myśliwemu. Necia zaczęła opowiadanie tym razem w narzeczu indyjskiem; Gale siedział dalej zasłuchany w muzykę dziewczęcego głosu.

Ze stukiem mokasynów weszła Alluna i zajęła miejsce pod ścianą; nie zwykła siadać na krześle, choć było ich kilka w pokoju, a sadowiła się najchętniej na dużej niedźwiedziej skórze, z kolanami tuż pod samym podbródkiem i z oczami utkwionemi w przestrzeni. Po skończonej bajce i ułożeniu do snu malców Necia weszła do rodziców, aby im powiedzieć dobranoc.

John Gale nigdy nie całował córki, jak również te go rodzaju wybryków nie uznawała rasa Alluny, to te Necia nie znała zupełnie pieszczot rodzicielskich. Po wyjściu córki z pokoju stary kupiec rzekł, nie rusza jąc się z miejsca:

— Necia nigdy nie będzie żoną Poleon'a Doret'a.

— Dlaczego? — zdziwiła się Alluna.

— Bo nie jest on jej typem.

— Poleon jest bardzo dobrym i przyzwoitym człowiekiem.

— Niema przyzwoitszych. Ale ona wyjdzie za... białego.

— Przecież Poleon też biały — odparła squaw.

— Biały i nie biały. Chciałem powiedzieć, że wyjdzie ona za „obcego". Taki będzie jej typem na pewno. — Spojrzał znacząco przez okno w stronę baraków. — Ciągle rozmawia z tym — z tym oficerem.

— Zdaje się, że to także przyzwoity człowiek — rzekła kobieta.

— To szatan wcielony! — zawołał kupiec dziko. — Nie ma on względem Neci uczciwych zamiarów.

— Może ma już żonę, co?

— Nie, nie! Wiem na pewno, że jest sam, ale ty nie rozumiesz tego. Inny to człowiek, niż my. Widzisz, widzisz... — zamilkł na chwilę, jakby w poszukiwaniu odpowiednich słów, któremi mógłby swą myśl wyrazić. — Widzisz, on się na pewno nie ożeni z metyską.

Alluna poczęła się zastanawiać nad tajemniczą uwagą męża, gdy on tymczasem mówił dalej:

— Tak, nie rozumiesz tego dokładnie. Mówię ci,

że wielkie nieszczęście spadnie na nas wszystkich z chwilą, gdy ona go naprawdę pokocha.

Widocznie Indjanka dopatrzyła się w tych słowach głębszej jakiejś myśli, zaczęła bowiem mówić szybko w ojczystem swem narzeczu, którego używać zwykła w chwilach lęku, lub podniecenia.

— Trzeba temu położyć koniec odrazu; zbyt wielkie byłoby ryzyko. Zabiłbyś go lepiej, bo potem może być za późno.

— Trudno — westchnął kupiec.

— Pomyśl o mnie i o dzieciach — nalegała, a zachęcona milczeniem męża, ciągnęła dalej: — Czemu się wahasz? Nastaną teraz ciemniejsze noce; rzeka szumi ponuro, a fale nigdy nie zdradzą ukrytej na dnie tajemnicy. Wyręczę cię chętnie, jeśli się lękasz; nikt mnie podejrzewać nie będzie.

Gale podniósł się z miejsca i ciężką swą dłoń złożył na jej ramieniu.

— Nie mów o tem. Już i tak zbyt dużo krwi się polało. Pozostawmy tę sprawę biegowi rzeczy. Dość jeszcze mamy czasu, aby się martwić.

Zamiast udać się na spoczynek, wyszedł przed dom i począł iść wolnym krokiem dróżką, prowadzącą do miasta. Alluna siedziała na progu, owinięta nieodstępnym swym szalem, i czekała na męża. Już rozpalone słońce zniknęło za oddalonemi górskiemi wierzchołkami; nadchodziła północ, a John Gale nie wracał. Wreszcie znużona oczekiwaniem kobieta wsparła głowę o framugę drzwi i zasnęła.

Następnego ranka koło godziny dziewiątej przeciągłe wołanie dobiegło z najdalszych krańców obozu. Wołanie to przybliżać się zaczęło przy akompanjamen-

cie zawziętego ujadania psów okolicznych, wreszcie wyłoniło się ono z poza pobliskiej ściany wysokiego lasu i popłynęło rzewnem echem po spokojnych falach Yukonu.

— Steam-b-o-a-t! — dzwoniło wesoło w powietrzu opasując wszystko wokoło spazmem radosnych przeczuć.

Ludzie powychodzili z domów, spoglądając z zaciekawieniem w górę rzeki i odpowiadając głośno na wołanie; nawet psy pozrywały się z ciepłych legowisk i wtórowały głosom ludzkim wesołem szczekaniem. Niektórzy, niezupełnie jeszcze ubrani, śpieszyli na przystań, aby przyłączyć się do radosnego okrzyku: „Steam-b-o-a-t!“

Wreszcie wypłynął z poza lasu mały parowiec i majestatycznie zbliżać się począł ku brzegowi. Pokład statku zapełniony był pasażerami przeważnie takimi, którzy przybywali tu po raz pierwszy, a teraz ze zdziwieniem i nieufnością przyglądali się zebranemu w przystani tłumowi mieszkańców Flambeau. Tylko jeden z pasażerów wymachiwał rękami i witał oczekujących wesołem wołaniem. Zanim jeszcze okręt zdążył zarzucić kotwicę, pasażer ów, za przykładem marynarzy-Indjan, wyskoczył na ląd, witając pociesznemi gestami dwoje małych Gale'ów i Allunę, stojących również w tłumie.

— Któż to taki, te dwie dorosłe osoby obok was, mrs. Gale? — zawołał, a potem dodał, osłaniając oczy z udaną powagą: — Ależ! to przecież monsieur Jean i mademoiselle Molly. Ba Gar! Tak strasznie urosło to, że nie poznałbym nigdy!

Malcy kopali piasek drobnemi stopami obutemi

w mokasyny, poczem Molly, zawstydzona słowami przybyłego, ukryła rumianą twarzyczkę w fałdach matczynej sukni, John zaś rozdziawił usta, ukazując między zaciśniętemi zębami koniec różowego języczka.

— Kiedyż zdążyliście tak wyrosnąć, co? — pytał wesoło Francuz, a po chwili dodał z udanym smutkiem: — Gdybym wiedział, że jesteście już tacy duzi, nie kupiłbym tych wszystkich prezentów. Upominki moje nie pasują dla dorosłych, będzie je trzeba chyba wyrzucić.

Uczynił gest, jakby zamierzał cisnąć do rzeki trzymane pod pachą zawiniątko, co wywołało, oczywiście, rozpaczliwy okrzyk dzieci.

Porucznik Burrell przyszedł także do przystani na powitanie parowca, a ujrzawszy wśród tłumu Necię, zajął miejsce tuż przy niej. Był dziwnie zmieszany tem, co zaszło dnia poprzedniego, Necia zaś zdawała się nie pamiętać o przykrym epizodzie i powitała go ze zwykłą sobie szczerością. Cóż mógł powiedzieć na swe usprawiedliwienie, gdyby nawet dziewczyna pamiętała o tem wszystkiem? Przez całą noc myślał tylko o niej, a gdy wreszcie usnął nad ranem, trwała ciągle jeszcze w znużonej jego wyobraźni, zaskoczyła go bowiem znienacka wiadomość o jej mieszanej krwi i powątpiewał teraz nawet, czy kiedykolwiek będzie mógł myśleć o tem spokojnie.

Sam należał do rasy, dla której pochodzenie było rzeczą najważniejszą, która pogardzała rodem istot o krwi mieszanej; dlatego też myśl o tej dziewczynie-metysce nie dawała mu spokoju. Rozczarowanie jego nabrało większego jeszcze znaczenia wśród nocnej ci-

szy samotnej kwatery, a podczas porannych zajęć stanęło mu znów żywo w pamięci.

— Oto kilku szczęśliwców z wybrzeża El Dorado — objaśniła Necia, wskazując zebranych na pokładzie pasażerów. — Przybyli po zapasy żywności. Twierdzą, że kopalnie ich znane są na całym świecie. Chciałam, aby ojciec pojechał tam w zeszłym roku.

— I dlaczego nie uczynił tego? — zapytał porucznik. — Przypuszczam, że był jednym z pierwszych, którzy się dowiedzieli o tamtejszych pokładach?

— Tak. Stick George zawiadomił go natychmiast po odkryciu, ale ojciec nie pojechał z pewnych powodów.

Przyjezdni poczęli płynąć zwartą lawą w kierunku obozu. Przez tłum przedzierał się wysoki Francuz z dwojgiem dzieci przytulonych do piersi. Oczy jego błysnęły radośnie na widok Neci; zasypali się wzajemnie całą masą pośpiesznych pytań i odpowiedzi i dopiero po chwili dziewczyna przypomniała sobie o swym towarzyszu, który usunął się nieco na stronę, obserwując z uwagą przybyłego.

— Ach! — zawołała. — Zapomniałam zupełnie o towarzyskich obowiązkach. Porucznik Burrell, a to jest Napoleon Doret, nasz Poleon! — dodała z dumą.

Doret skłonił się grzecznie, spoglądając z zaciekawieniem na oficera, którego widział dzisiaj po raz pierwszy. Dwoje malców, spoczywających wygodnie w ramionach olbrzyma, z takąż samą ciekawością patrzało w twarz porucznika. Przez chwilę zdawało się Burrell'owi, że w tych trzech parach skierowanych nań oczu maluje się coś w rodzaju nieufności, tylko w oczach Francuza nie było tej domieszki dziecięcego

lęku. Przeciwnie, Kanadyjczyk oglądał go bezczelnie od stóp do głowy, zdając się notować w pamięci każdy szczegół nieznanego mu uniformu. Wreszcie zapytał, nie podnosząc spojrzenia:

— Gdzie pan mieszka?

— Tam, na posterunku — odparł porucznik.

— I cóż pan tu robi?

— Jestem żołnierzem.

— Pocóż pan tu przyjechał? U nas niema wojen.

— Porucznik został tu przydzielony, głuptasie — wtrąciła Necia. — Chodź teraz prędko do sklepu i opowiedz mi coś o Dawson.

Pożegnawszy Burrell'a skinieniem głowy, oddaliła się z Doret'em, który zaraz począł szybko jej o czemś opowiadać.

Mimo impertynencji Francuza, Burrell spoglądał za nim przyjaźnie. Szalona energja i radość życia tryskały z tego olbrzyma, a na uśmiechniętej jego twarzy malowała się nieprzeciętna dobroć.

— Od czasu jak opuściłem Quebeck, nigdy jeszcze nie widziałem podobnych tłumów — mówił, idąc obok Neci. — Dawson robi wrażenie wielkiego miasta — około trzech do czterech tysięcy mieszkańców. Całemi dniami spacerują, a całemi nocami tańczą, śpiewają i piją whisky. Powiadam ci, cudowne miasto!

— Czy dużo tam białych kobiet? — spytała dziewczyna.

— Tak, dwieście do trzystu prawdopodobnie. Większość przepędza życie na dancingach. Jedna z nich, którą znam, jest bardzo miła, nazywa się Marie Bourgette. O, mógłbym ci o niej opowiadać bez końca.

— Jesteś zakochany, Poleon! — zawołała Necia.

— Nie, kochanie! — zaprzeczył. — Żadna z dziewcząt nie wygląda tak, jak ty.

Powiedziałby może jeszcze więcej, ale w tej właśnie chwili dostrzegł Johna Gale'a, stojącego u wejścia do sklepu, podszedł więc ku niemu, pytając troskliwie o rozmaite szczegóły; na szczęście ostatnio wszystko przyjęło lepszy obrót. Zanim jeszcze zdążyli skończyć rozmowę, przybyli na parowcu pasażerowie poczęli cisnąć się do sklepu. Jedni pragnęli pokrzepić się szklaneczką whisky przy bufecie, inni znów przyszli po zapas tytoniu, a większość pociągnęła do sklepu z prostej, leniwej ciekawości.

Wśród rozmaitych towarów zwracało uwagę klientów poza kontuarem kilka sztuk broni, jak strzelby, dubeltówki, sztucery i dwa rewolwary Colta. Jeden z przybyłych, który się odłączył przed sklepem od gromady, zwrócił się teraz do Gale'a:

— Czy te colty są do sprzedania? Ukradli mi któregoś dnia rewolwer.

Widocznie nieznajomy przyzwyczajony był do cen tutejszych, nie zdziwiła go bowiem wypowiedziana przez kupca suma. Brał pokolei spokojnie rewolwery, próbując każdy z nich. Wreszcie wybrał jeden po dłuższym namyśle.

— Ten mi się podoba, — rzekł — proszę mi dać jeszcze pudełko kul.

Płacąc za broń i kule, wypróżnił zupełnie sakiewkę, zaznaczył więc z uśmiechem:

— Spłókałem się do nitki, ale gdybym miał pieniądze, kupiłbym i tamten.

Przyszło na myśl Gale'owi, co mogło skłonić tego człowieka do wydania resztek pieniędzy na broń i ob-

serwował teraz ciekawie, jak nieznajomy wsuwał rewolwer do kieszeni; wreszcie odważył się zapytać:

— Prędko pan wyjeżdża?

— Nie. Mam zamiar osiedlić się tutaj.

Kupiec spojrzał nań zukosa; dziwnie nie podobał mu się ten człowiek.

— Tu w obozie niema roboty; bieda straszna — rzekł niechętnie.

— I ja tak myślę — przyznał tamten. — Im więcej wojska, tem gorzej.

Wypowiedział to ze specjalnym przekąsem, wydymając grube wargi.

— Wielu naszych popłynęło w górę rzeki — dodał Gale.

— A jednak tu u was musi być złoto — rzekł nieznajomy z naciskiem. — Muszę się przekonać.

Gale wyczuł intuicyjnie, że nieznajomy kłamie, ręce bowiem jego nie sprawiały wrażenia spracowanych rąk górnika.

W tej samej chwili Poleon odciągnął kupca na stronę.

— Czy znacie tego człowieka?

— Nie.

— To zły człowiek.

— Skąd wiesz?

— Strasznie prędko wyjechał z Dawson. Tamtejsza policja umieściła go na pokładzie statku w ostatniej chwili przed opuszczeniem przystani.

W krótkich słowach opowiedział Poleon Gale'owi słyszaną w Dawson historję. Podobno nieznajomy opuścił rodzinne swe Skagway wraz z bandą Soapy Smith'a, mając na sumieniu śmierć dwóch członków

tamtejszego Komitetu Obywatelskiego. Od tego czasu poszukiwała go policja, aż wreszcie aresztowany został w Dawson i tak, jak wszystkie męty społeczne, odesłany pierwszym parowcem w dół rzeki.

John Gale nie przejął się zbytnio opowiadaniem Poleon'a, sam bowiem przepędził życie między tego rodzaju ludźmi. Widocznie nieznajomy nie chciał płynąć dalej w obawie, że nie znajdzie tam odpowiednich dla siebie terenów. Kupiec wyszedł przed sklep, a zobaczywszy Burrell'a na pokładzie statku, stojącego w przystani, skierował się w jego stronę. Właściwie nie powinien zwracać się do niego o pomoc, ale zbyt wielkie było ryzyko, należało więc działać bezzwłocznie.

— Necia mówiła mi, że zamierza pan zaprowadzić tu prawa i porządek — zaczął porywczo Gale, zwracając się do młodego oficera.

— Takie otrzymałem polecenia, — odparł Burrell — ale są one tak niewyraźne...

— Mniejsza o to! Dość, że obóz nasz większy jest teraz, niż był przed godziną, a nie powinien się powiększać tak szybko. Przybył nam, niestety, nowy obywatel. — Wskazał nieznajomego, który wrócił właśnie na statek po rzeczy i schodził teraz po wąskich schodkach z walizką w ręku. — Jest to złodziej i morderca, nie chcemy więc mieć go tutaj. Resztę pozostawiam panu.

— Nic nie rozumiem — rzekł porucznik po wysłuchaniu krótkiej historji przygód nieznajomego.

— Pan i ludzie pańscy przysłani zostali dla utrzymania porządku i zapewnienia spokoju tutejszym mieszkańcom — ciągnął dalej kupiec. — Jeżeli osobnik

ten był niebezpiecznym dla policji kanadyjskiej, jest on równie niebezpiecznym i dla was. My w obozie nie znamy zamków i kluczy, a jestem pewien, że człowiek ten okradnie i pozabija wszystkich w ciągu dziesięciu lat.

— Widzi pan, dokładnie nie znam się na tem i nie wiem, czy mam prawo interwenjować w tej kwestji. — Oficer mówił to wszystko szeptem prawie, bardziej do siebie samego, niż do towarzysza.

— Mojem zdaniem, pan sam powinien się załatwić z tym osobnikiem — rzekł Gale.

— I ja tak myślę. Dziś jeszcze odeślę go do St Michael's; to wszystko, co mogę uczynić.

Stary kupiec pochwalił plan porucznika potakującem skinieniem głowy. Młodzieniec patrzał mu w oczy z taką szczerością i sympatją, a twarz jego wyrażała tyle uczciwej dobroduszności, że John Gale począł wyrzucać sobie nieuzasadniony brak zaufania do Burrell'a. Chcąc ukryć swe zawstydzenie, począł mówić ze zdwojoną szybkością i zapałem:

— To jest stanowczo niebezpieczny człowiek; przed chwilą kupił u mnie rewolwer.

Zamierzał prawdopodobnie opowiedzieć jeszcze oficerowi, gdzie nieznajomy schował broń i ile kupił do niej nabojów, gdy zauważył nagle dziwne przerażenie, malujące się w oczach młodzieńca. Zaciekawiła go myśl, jakby się zachował Meade Burrell przy zetknięciu z uzbrojonym przeciwnikiem. Właściwie chociażby ze względu na Necię powinien się przekonać, jakim człowiekiem był w gruncie rzeczy ten narzucony obrońca Flambeau.

Tłum otaczający parowiec asystował przy wyłado-

wywaniu bagażu; między innymi był tu również Doret, który przyszedł na pokład po swe rzeczy i rozmawiał teraz w bufecie z tajemniczym nieznajomym. Na widok zbliżającego się porucznika zamilkli obydwaj. Burrell postanowił nie tracić czasu.

— Czy macie tu zamiar pozostać? — zwrócił się do nieznajomego.

— Tak.

— Umrzecie tu z głodu i zimna — ciągnął dalej oficer, wskazując ubogie zawiniątko przybysza. — Stanowczo za mały bagaż dla górnika.

— Dla mnie wystarczy.

— A czy macie pieniądze na żywność?

— To chyba moja rzecz.

— Przepraszam, ale i mnie to obchodzi.

— Czy chce mi pan dopomóc? — zaśmiał się nieznajomy chrapliwie, patrząc impertynencko w twarz oficera.

Gale zauważył, że prawa ręka „przyszłego górnika“ spoczęła w miejscu, gdzie był ukryty rewolwer; kupiec usunął się nieco i stanął tuż za porucznikiem.

— Obowiązkiem moim jest sprawdzać, czy świeżo przybyli mają z sobą zapasy, lub też, czy mają pieniądze na utrzymanie się tutaj — rzekł Burrell. — Niewyekwipowanych odsyłam w dół rzeki, do St. Michael's, gdzie znajdą wszystkiego poddostatkiem i gdzie zaopiekuje się nimi rząd. Skład mr. Gale'a zimą może zaopatrzyć w żywność tylko stałych tutejszych mieszkańców.

— Sam potrafię dać sobie radę; — odparł nieznajomy ze złością — nie chcę niczyjej pomocy.

Błyskawicznem spojrzeniem objął Poleona Doret'a,

lecz twarz Francuza nawet nie drgnęła, a prawa jego dłoń spoczywała na szyjce butelki z wódką, którą kazał sobie podać przed wejściem porucznika i Gale'a. Stary kupiec, wsparty na sąsiednim kontuarze, nie spuszczał oka z wzburzonej twarzy Burrell'a.

— Chodźcie — rzekł oficer stanowczo. — Słyszałem o was cośniecoś i doszedłem do wniosku, że tego rodzaju obywatel jest nam tu zupełnie niepotrzebny. Nie wolno byłoby mi wysłać was stąd, gdybyście mieli pieniądze, ale skoro nie macie...

— Jestem stracony — mruknął nieznajomy.

W głosie jego zabrzmiała dziwna jakaś nuta groźby, która zwróciła uwagę Poleona Doret'a. Wyczuwając intuicyjnie niebezpieczeństwo, oficer wyciągnął nieznacznie pod płaszczem ciężki swój rewolwer z kieszeni.

Podczas kilkuletniej służby w wojsku nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się postępować w ten sposób, musiał jednak kontynuować rozmowę, którą sam rozpoczął.

— Proszę dać mi swą broń, — rzekł rozkazująco — wyładuję ją i oddam wam, gdy będziecie już na pokładzie statku.

— All right, sam pan chciał tego — wymknęło się z poza sinych warg nieznajomego.

Dobywszy broń z kieszeni, zaprezentował ją zdaleka oficerowi, trzymając ciągle palec na cynglu.

Burrell pochylił lufę swego rewolweru ku dołowi i wyciągnął lewą rękę po broń tamtego. W tejże chwili dłoń nieznajomego zadrżała... Porucznik ujrzał przelotny błysk stali i ciężkie ramię Poleona Doret'a przerzucone nad kontuarem. Usłyszał szczęk tłuczonego

szkła i uczuł chłodną ciecz spływającą mu po twarzy... Na podłodze leżał rewolwer nieznajomego wśród potłuczonych szklanek i butelek, w powietrzu zaś unosiła się ostra woń prochu, pomieszana z wonią rozlanej whisky.

Bywają chwile, w których najważniejszym czynnikiem jest siła pięści; na taką właśnie chwilę natrafił Poleon Doret. Zorjentowawszy się w zamiarze nieznajomego, Doret silnem uderzeniem wytrącił mu broń z ręki, nie zdołał jednak uniknąć wystrzału. Kula utkwiła w ścianie, opodal której stał John Gale.

— Zepsułem przez pana cały litr wódki — śmiał się Poleon, gdy tymczasem Burrell, odzyskawszy równowagę, wycierał mokrą twarz chustką i spoglądał z wdzięcznością na swego wybawcę. — To warte najmniej pięć dolarów — dodał Francuz.

— Morowy z pana chłop, Doret, — rzekł porucznik — jestem pańskim dłużnikiem.

Gale pochylił się nad leżącym na ziemi nieznajomym, opatrując mu krwawiącą ranę za uchem.

— Czy bardzo jest poturbowany?

— Stanowczo za delikatnie się z nim załatwiłeś — rzekł kupiec. — Mówiłem ci, że to zły człowiek.

— Będzie mieć znak do śmierci — uśmiechnął się Doret, wchodząc za bufet po trochę wody.

W kilka godzin potem nieznajomy umieszczony został na pokładzie odpływającego statku wraz z bagażem swym i wyładowanym rewolwerem. Gdy podnoszono kotwicę, uśmiechnął się szyderczo i zawołał:

— Ponieważ mam zamiar wrócić tu na zimę, pozwoli pan, panie poruczniku, że się przedstawię! Nazywam się Runnion.

Gdy okręt zniknął na zakręcie rzeki, Burrell zwró·
ił się do Francuza-olbrzyma:

— Chciałem podziękować panu — rzekł, rumieniąc
· niespodzianie — za wybawienie mnie z własnej
nej niezręczności.

Doret bardziej był jeszcze zmieszany od porucznika, a po jego wyjściu szepnął Gale'owi, stojącemu opodal za kontuarem:

— Wiecie, stary, że to bardzo miły i porządny chłopiec ten Burrell.

John Gale zbył go ponurem milczeniem.

III. Merridy.

Po odpłynięciu okrętu z przystani Napoleon Doret począł szukać Neci; zastał ją w towarzystwie małych Gale'ów, oglądających z zachwytem przywiezione im przez Poleona upominki. Nigdy jeszcze nie zrobił im tak miłej niespodzianki; nigdy jeszcze malcy nie widzieli takich cudowności. Urodzili się w kraju, w którym zabawki były czemś zupełnie nieznanem, w kraju nie mogącym dostarczyć dzieciom odpowiednich dla nich rozrywek; prawdopodobnie każdy, kto przepędził dzieciństwo w warunkach normalnych, dostrzegłby niezwykły patos w radości tych dwojga malców. Poleonowi z trudem przyszło wyszukanie odpowiednich podarków dla małych przyjaciół, bo, aczkolwiek w Dawson można było nabyć czego tylko dusza zapragnie, to jednak nawet ubrania nieodpowiednie były rozmiarem dla małych obywateli Flambeau. Niejedno dziecko z wybrzeża Yukonu pozazdrościłoby małym Gale'om takiego opiekuna i przyjaciela, jakim był Doret.

Wiele zajmować musiał miejsca w małych ich serduszkach, bo gdy go tylko ujrzeli, biegli, aby przytulić się do jego kolan z radosnym szczebiotem w niezrozu-

…ym dla nikogo języku. Uznawali tylko zabawki przywiezione, lub skonstruowane przez Poleona, jak również ostatnio nie lubili nosić ubranek, które szyła im Alluna. Dzisiejszy dzień zgotował im zupełnie niebywałą niespodziankę, bo oto na samym wierzchu paczki z upominkami z Dawson malcy znaleźli po parze gumowych trzewiczków dla każdego z nich. Trzewiki wprawdzie były za duże nieco, bo gdy dzieci włożyły je na moskasyny, dostawały im jeszcze cholewkami do bioder prawie. W tej samej paczce znalazł się również oryginalny słomkowy kapelusz o rondzie obszernem, niby pokład statku i główce opasanej szeroką wstążką błękitną; kapelusz ten kupił Poleon od swego kolegi, któremu matka podarowała ten piękny okaz w piątą rocznicę urodzin.

Dużo znalazło się jeszcze podarków, które tak samo, jak buciki, były dla malców za duże, nie zmniejszało to jednak radości obojga i mały John spacerował już od kwadransa, obnosząc z dumą piękny czerwony krawat z prawdziwego błyszczącego jedwabiu. Molly dostała dwa komplety grzebieni przystrojonych pięknie świecącemi szkiełkami oraz szczoteczkę do zębów ze srebrną rączką; szczoteczką tą czyściła Molly suknię kulawej lalki, która była największą jej dumą i pociechą.

W paczce były inne jeszcze rzeczy, których znaczenia mali Gale'owie absolutnie nie rozumieli. Necia twierdziła, że miękkie kule żółte, wydające ostrą woń, są to pomarańcze, bardzo dobre do jedzenia, a naprzykład mydła toaletowego, pachnącego tak pięknie, nigdy nawet polizać dzieciom nie pozwoliła. Były tam również całe pudełka pomadek czekoladowych, ale te

ojciec zabierał do sklepu i dawał im wówczas tylko gdy był w dobrym humorze.

Necia uśmiechnęła się pogodnie, widząc wchodzącego Poleona.

— Gdziekolwiek wejdziesz, wnosisz z sobą światło słoneczne — szepnęła. — Biedne maleństwa, nigdy takich cudów nie widziały. I mnie się chce płakać, gdy patrzę na to wszystko.

— Ho, ho! — zachichotał. — Nie pora teraz na płacze. Ba Gar! Przypuszczam, że ty, Neciu, nie miałaś tylu zabawek, będąc dzieckiem? Czy sądzisz, że o tobie zapomniałem?

Począł odwijać paczkę, którą przyniósł pod pachą. Necia pochyliła się nad pakunkiem.

— Rozwiń prędko! Jestem szalenie ciekawa!

Sama teraz wyglądała, jak mała dziewczynka z zarumienioną twarzyczką i drżącemi rękami. Przeniosła paczkę na stół, pośpiesznie przerywając sznurki, gdy tymczasem on obserwował ją zdaleka, świecąc w uśmiechu bielą równych zębów na tle ogorzałej twarzy i przymykając powieki, jakby oślepiony cudnym widokiem rozgorączkowanej dziewczyny.

— O, czemuś więcej jeszcze nie zrobił supełków?— odetchnęła, uporawszy się z ostatnim. Rozwinęła papier i stała chwilę bez ruchu. Na wierzchu leżała pięknie złożona czarna jedwabna suknia, uszyta podług paryskiej mody. Obok, w pudełku, spoczywał kapelusz z piórami, który Necia zręcznym ruchem włożyła na potargane nieco, wijące się włosy. Były tam jeszcze najrozmaitsze części garderoby — jedwabna spódnica, takież pończoszki i para maleńkich pantofelków

a wysokich obcasach; wszystkie te cudowności roz-
ożyła Necia tuż przed Francuzem, który milczał, przy-
glądając jej się tylko uważnie, . ..a zaś w danej chwili
zdawała się nie widzieć go zupełnie. Ułożywszy wresz-
cie wszystkie upominki, zwróciła się doń głosem, peł-
nym niespokojnego pośpiechu i wzruszenia:

— Ależ to same cuda! Poleon, drogi, kochany Po-
leon! — Ujęła obie jego ręce, jak to zwykła była czy-
nić, będąc dzieckiem jeszcze, i spojrzała nań oczami
wilgotnemi ze wzruszenia. Nie mogła jednak zbyt dłu-
go rozstawać się z cudowną toaletą i znowu zwróciła
rozradowany wzrok w stronę leżących na stole gał-
gańków, aby nacieszyć niemi swe oczy; malcy stali tuż
przy niej z nożynami zatopionemi w ogromnych, gu-
mowych trzewikach, z oczami i ustami szeroko otwar-
temi ze zdziwienia.

— Lubisz stroje? — uśmiechnął się Poleon.

— Och, — westchnęła — nie masz wcale pojęcia!
Ale gdzie ty zdobyłeś coś podobnie pięknego? I ile to
musi kosztować! — Chwilowy lęk zamigotał w rozra-
dowanych jej oczach; Poleon zaśmiał się znowu.

— Pewnej nocy grałem w wielkiej sali w ruletkę.
Wygrałem wówczas sporo. Naprzód grałem, potem
tańczyłem, a potem znowu grałem. Poznałem tam tan-
cerkę. Była Francuzką z Montrealu. Właśnie ta, o któ-
rej ci już mówiłem. Ba Gar! Cudownie była ubrana.
Nazywa się Marie Bourgette.

— O, słyszałam o niej! — rzekła Necia. — Należy
ona do pokładów w Bonanza Creek.

— Podobno jest przyjaciółką Charlie Mc Cor-
mack'a, tego słynnego bogacza. Otóż poprosiłem ją d

tańca, a potem wypiliśmy butelkę szampana za dwadzieścia dolarów.

— Mademoiselle, — rzekłem — ileby pani wzięła, gdybym chciał nabyć od pani tę suknię?

— A czemuż mam ją sprzedać? — zdziwiła się. — Włożyłam ją dzisiaj po raz pierwszy. Takiej drugiej sukni nie dostanę nawet za tysiąc dolarów.

Necia wydała okrzyk zachwytu.

— Czemu ma ją pani sprzedać? — powtórzyłem.— Dlatego poprostu, że chcę ją zabrać do Flambeau dla Neci Gale, która nigdy w życiu nie miała podobnej sukni. Widzisz, moja droga, owa Marie Bourgette słyszała już przedtem o tobie i o twym ojcu, więc zapytała: — Cóż to za dziewczyna jest ta Necia? Opowiedziałem jej wszystko o tobie, a ona na to:—A może pańska przyjaciółka wyższa jest ode mnie, może suknia nie będzie pasować?

— Cha, cha, cha! — zaśmiałem się. — Pani mnie nie zna, mademoiselle. Umiem odgadnąć nawet wagę renifera. Suknia będzie dla niej wspaniała.

— Poleonie Doret, — rzekła — obydwoje wszakże jesteśmy Francuzami. Proszę posłuchać. Mogłabym dostać dzisiaj za tę suknię tysiąc dolarów od jednego Szweda, właściciela kopalni złota na wybrzeżu El Dorado, ale panu sprzedam ją za trzysta dolarów; tyle sama za nią zapłaciłam. Proszę tu poczekać na mnie.

— Nie, nie, mademoiselle Marie, pójdę z panią, bo mogłaby pani zmienić jeszcze zamiar. I stałem tak pod jej drzwiami, dopóki się nie przebrała.

— Proszę nie zapomnieć o pantofelkach, upominałem przez drzwi, aż wreszcie wyniosła mi wszystko pokolei. W ten sposób zdobyłem suknię.

— I zapłaciłeś za nią trzysta dolarów? — zawołała Necia zdumiona.

Kanadyjczyk wzruszył ramionami.

— Gdyby nie dobre serce Marie Bourgette, musiałbym zapłacić tysiąc — rzekł. — Zarobiłem zatem siedemset dolarów.

— Bardzo to ładnie i z jej, i z twojej strony, ale nie mogę tego nosić. Suknie takie, jak ta, widziałam dotychczas tylko na obrazkach i nie mogę...

Widząc, że twarz jego posępnieje, zawołała impulsywnie:

— Włożę ją zaraz, Poleon, natychmiast, dla ciebie specjalnie. Wyjdź na chwilę i pozwól mi się w nią przebrać.

— Dobrze — przystał, podnosząc się z miejsca. — Sądzę, że zakasujesz w niej wszystkie tancerki dancingowe.

Żaden mężczyzna nie zrozumie uczucia dziewczyny, gdy ubiera się ona po raz pierwszy w ładną suknię. Necia była bardziej kobietą, niż się zdawało, to też nie miała siły odejść teraz od lustra, przed którem stała już od kwadransa z półprzymkniętemi oczami, uniesiona na skrzydłach marzeń. Zawsze wierzyła w to, że opuści kiedyś Północ, aby ujrzeć świat, o którym opowiadano jej tak wiele, ale nigdy nie przypuszczała, że mieszkając na Alasce, mieć będzie prawdziwą, wieczorową suknię. Poprostu wstydziłaby się pokazać tu w stroju kobiet cywilizowanych, choć wiedziała, że ładna jej twarzyczka ładniejsza jest jeszcze w obramowaniu zwisających piór z kapelusza.

Poleon nie mylił się, że przywieziona przezeń suknia leżeć będzie na figurze Neci doskonale, aczkol-

wiek dziewczyna nie nosiła nigdy żadnych sznurówek z któremi nie rozstawała się kształtnie zbudowana Marie Bourgette.

Necia wahała się długo, dostrzegłszy, że suknia była wycięta dość głęboko. Do wyciętych toalet była zupełnie nieprzyzwyczajona. Zawstydzenie jakieś dziwne ogarnęło ją, aż wreszcie wytłumaczyła sobie, że poglądy jej w porównaniu z poglądami innych dziewcząt były stanowczo zbyt przestarzałe. Spojrzawszy w lustro, przeraziła się znowu, głębokie bowiem wycięcie sukni uwydatniało się jeszcze bardziej przy śnieżnej bieli młodziutkiej jej szyi... Przypomniała sobie, że jednego z poprzednich lat Doret przywiózł jej z jakiejś podróży hiszpańskiej szal nabyty od jednego z żeglarzy; szal ten leżał dotychczas nieużywany. Wyjęła go teraz ze schowanka i zarzuciła na ramiona, jednakże nie zdołał on również okryć pięknej karnacji jej ciała. Necia nigdy dotychczas nie zwracała uwagi na biel swej skóry i dopiero w tej chwili przyszło jej na myśl, jak szalenie pod względem wyglądu różniła się od młodszego swego rodzeństwa. Dla obojga malców była jakgdyby matką i uśmiechała się niejednokrotnie, spoglądając na brunatne ich ciałka, odbijające się takim kontrastem od nieskazitelnej bieli jej skóry. Myśl ta dzisiaj nie wzbudziła w niej ani śmiechu, ani radości, a po prostu zadziwiła ją ogromnie. Wyobrażała sobie, jakby ten cały piękny strój, przywieziony przez Polena, wyglądał na figurze czerwonoskórej kobiety.

Czyż nie śmieszną rzeczą było, że myślała o tem wszystkiem, i to właśnie w chwili, gdy włożyła na siebie te miękkie, błyszczące szatki? Instynktem jakiś

wiedziona zdawała sobie dokładnie sprawę, że strój Indjanki stanowczo nie był jej strojem narodowym. Bardzo być może, że myśl ta powstała po długich rozmowach na ten temat z ojcem Barnumem, a teraz bardziej jeszcze zaabsorbowała ją swą niezwykłością.

Marzenia jej pierzchły, gdy usłyszała kroki męskie za oknem. Z pewnością wracał Poleon, aby zobaczyć ją w tej przecudownej toalecie; wstała szybko z krzesła i rzuciwszy ostatnie spojrzenie w lustro, zawołała:

— Możesz wejść! Jestem już gotowa!

Przyjrzała się sobie raz jeszcze, okryła się szalem i ze specjalnym uśmieszkiem, który miał być odpowiedzią na jego zachwyt, wsunęła się do przyległego pokoju, pewna siebie i piękna, jak nieziemskie zjawisko. Z triumfalnie podniesioną głową stanęła opodal drzwi dla lepszego wrażenia i dopiero wówczas spojrzała przed siebie. Nagle cofnęła się, a z piersi jej dobył się okrzyk przerażenia; uczyniła ruch, jakgdyby się cofnąć chciała, a purpurowy rumieniec wypłynął na uśmiechniętą przed chwilą twarzyczkę.

— Wielki, cudowny gołąb! — zawołał Burrell, patrząc na nią z zachwytem.

— Ach, my... myślałam, że to Poleon. Bo... — spojrzała poza siebie, jakby w zamiarze ucieczki; zdawała sobie w tej chwili sprawę z całej tej farsy i była pewna, że porucznik śmiać się z niej będzie w duszy. Ucieczka jednak mogłaby pogorszyć jeszcze sytuację, stała więc dalej w progu nieruchomo, oparta o framugę drzwi.

Burrell nie śmiał się zupełnie, a nawet się nie uśmiechał, zapatrzony w nią, jak w nieziemskie jakieś zjawisko.

— Szukałem ojca pani — wyjaśnił, dziwiąc się jednocześnie, że tak pięknie mogła wyglądać metyska. Nic w tej chwili nie zdradzało w niej indyjskiego pochodzenia, począwszy od drobnych stóp, obutych w atłasowe pantofelki, a skończywszy na kształtnej główce, wzniesionej w górę z niezwykłą dystynkcją i wdziękiem. Drżącemi dłońmi wsparła się o stojący za nią stolik, zapominając zupełnie o szalu, który zsunął się z jej ramion, uwidoczniając piękne jej kształty, spowite w miękkie fałdy jedwabiu. Stanowczo w dziewczynie tej musiała płynąć najczystsza krew białych, pomyślał oficer, i nagle odezwała się w nim zazdrość, że Necia ubrała się tak pięknie dla Poleona.

— Czyż ja nie mogę pani podziwiać narówni z Poleonem? — zapytał.

— Oczywiście, że nie! — oświadczyła. — On bowiem kupił mi ten strój, więc ubrałam się, ażeby sprawić mu przyjemność. Była już znowu sobą w tej chwili dzięki zazdrości, którą wyczuła w głosie porucznika. — Zdejmę to wszystko, gdy Poleon mnie zobaczy, — dodała — i...

— Nie, nie... niech pani nie zdejmuje — przerwał jej Burrell. — Zdawało mi się przedtem, że pani jest piękną... ale teraz... jest pani... tchnieniem mej ojczyzny. Jest pani taką samą, jak siostra moja i inne dziewczęta z Kentucky, tylko... bardziej od nich zadziwiającą.

— Doprawdy? — zawołała radośnie. — Więc jestem podobna do dziewcząt ze świata? Czy naprawdę wyglądam, jakgdybym zawsze nosiła takie piękne stroje?

— Jakgdyby się pani w nich urodziła — zawołał z entuzjazmem.

Śmiech okrasił świeżą jej twarzyczkę i zapalił w ciemnych oczach figlarne błyski; była znowu małem, rozradowanem dzieckiem, spoglądającem na wszystko z pogodą; zażenowanie i dystynkcja światowej damy zniknęły bezpowrotnie. Szczerość jej i naiwność pociągały go ku niej bardziej jeszcze, gdy pokazywała mu teraz z dziecięcą dumą szczegóły pięknej swej toalety.

— Widzi pan, to jest pierwsza moja suknia wieczorowa, — szczebiotała melodyjnym swym głosikiem — to też tak dumna jestem, jak Molly z swych gumowych bucików. A te pantofelki, czy nie są prześliczne? Proszę zobaczyć. — Uniosła suknię, odsłaniając kształtne, małe stopy, obciągnięte w błyszczący atłas.

— Mogą służyć do picia wody — przyznał.

— Ma pan słuszność; a te obcasy. Nie mogłabym na nich przejść mili bez trwogi, że się zabiję.

— Odpadłyby na pewno, gdyby nasiąkły wilgocią.

— Ale jaka jestem na nich wysoka.

— Ładniej trochę wyglądają od mokasynów.

Obydwoje wybuchnęli głośnym śmiechem. Po chwili szepnął gorąco:

— Dziewczyno, nie wiesz, jaka piękna jesteś w tej chwili!

— O, wiem doskonale! — odparła, usiłując naśladować jego głos, a potem dodała naiwnie: — Dlatego właśnie nie chce mi się zdejmować tej sukni.

— Gdzie nauczono panią nosić takie stroje? — zapytał Burrell. — Skąd przyniosła pani z sobą to — to tchnienie?...

— Mam wrażenie, że umiałam to zawsze, przecież

w tem nic niema trudnego. Guziczki, haczyki i troszkę kobiecej intuicji, którą odziedziczyłam prawdopodobnie po jakiejś prababce ze strony ojca...

— Prawdopodobnie. Muszę przyznać, że i ja zorjentowałbym się w całym tym mechanizmie, gdybym go nawet widział po raz pierwszy. — Porucznik ubawiony był argumentami dziewczyny.

— Niejednokrotnie już wyobrażałam sobie kobiety elegancko ubrane, oczywiście, kobiety białe — nie mówię o Indjankach. Mam doskonałą pamięć, chociaż właściwie to wszystko było tylko marzeniem... Zdawało mi się wówczas, że... nie jestem metyską... Ojciec twierdzi, że to wszystko z tego ciągłego czytania.

— Pamięć, czego?

— Trudno byłoby mi to panu objaśnić... Pamiętam tylko, że nazywałam się Merridy.

— Merridy? Dlaczegóż to?

— Pokażę panu. — Wyciągnęła z za gorsu cieniutki, złoty łańcuszek, na którym zwisała ślubna obrączka. — Należało to do mojej babki i dlatego wyimaginowałam sobie prawdopodobnie imię Merridy.

— Czy mogę zobaczyć?

— Naturalnie. Ale nigdy nie zdejmuję tego z szyi.

Pokazywała mu obrączkę, trzymając ją w drobnych palcach, a gdy pochylił się ku niej, aby ją obejrzeć, w wyrazie twarzy dziewczyny nie było ani cienia kokieterji. Przeczytał wyryty na obrączce napis: Merridy — od Dana — nie zastanawiał się jednak nad jego znaczeniem, wpatrzony w przecudowną szyję dziewczyny, pulsującą młodością. Oddech jej równy muskał jego czupryne, a delikatna woń świeżego jej ciała przyprawiała go o zawrót głowy. Była piękna.

a cechowała ją prostota, była naiwna i niepowszednio mądra zarazem, była chłodna, a pulsował w niej temperament.

— Bardzo mi się to podoba — rzekł bezdźwięcznie.

Zauważywszy coś dziwnego w jego oczach, schowała pośpiesznie łańcuszek i szepnęła lękliwie:

— Niech mi pan przyśle tutaj Poleona. Czas już wielki, aby zobaczył swój podarunek.

Wyszedłszy z domu kupca, Burrell zacisnął mocno zęby, mrucząc do siebie:

— Trzymaj się mocno, Meade. Ona nie jest przecież dla ciebie... nie jest dla ciebie...

W sklepie zastał Doret'a i kupca zajętych rozmową z jakimś mężczyzną, którego porucznik widział dziś po raz pierwszy. Mężczyzna ten ubrany był w zwykły strój tutejszego górnika, szarawary szerokie opadały mu w fałdach na wysokie buty, a rękawy żółtego kaftana zawinięte były tuż ponad łokciami. Na widok oficera nieznajomy zwrócił ku niemu ogorzałą twarz z jednem, mądrze patrzącem okiem; nie przerywał jednak rozmowy z Gale'm.

— Nie trzeba się entuzjazmować, a poprostu pójść i zobaczyć. Gdyby nie mój pech, byłbym pewien, że są tam pokłady skarbów.

— Wasz pech przestaje już istnieć, Lee — rzekł kupiec, pakując klientowi rozmaite prowjanty.

— Możliwe. A któż to taki ten elegant? — zażartował, wskazując Burrell'a, który rozmawiał u wejścia z Poleonem.

— Komendant posterunku.

— Węszy, co?

— Jak zasłużycie, to was na pewno nakryje —

zaśmiał się Gale cynicznie, na co Lee parsknął śmiechem.

— Sądzę, że niejeden tu w obozie zasłużył — rzekł. — Czy nie zwrócił jeszcze na nikogo uwagi?

— Nie, bo się lęka. Wyobrażacie sobie, coby się działo? Gdyby się, naprzykład, zwrócił do was... lub do mnie?

Jednooki uśmiechnął się szyderczo.

— Nie można przecież brać tego pod uwagę!

— Dlaczego? — upierał się Gale. — Może właśnie i ja mam coś na sumieniu?... Skąd możecie wiedzieć?

— Jeżeli nawet tak jest, możecie mi nie mówić o tem — rzekł pośpiesznie Lee. — Jestem spokojnym obywatelem, lubiącym nadewszystko spokój i pogodę, zresztą wszystko, co było, minęło dawno i umarło, a wskrzeszać umarłych nie należy.

— Oficer ten przydzielony tu został wraz z pięciu żołnierzami.

— Pięciu przeciwko kilkuset. Sądzi, że da sobie z nami radę, nieprawdaż? — szydził Lee, twarz jednak sposępniała mu nieco, gdy pochylił się poufale nad kontuarem.

— Pomyślę nad tem, coście powiedzieli, John — [illegible]ął. — Weźmiemy kilku ludzi do pomocy i wysadzi[illegible]y ten posterunek. Znajdą się chętni na każde nasze skinienie.

— Ba! Przypuszczam — rzekł kupiec. — Tak długo, jak siedzą tu, wiercą, gmerają i nie dokuczają nikomu, możemy dać im święty spokój. A potem niech idą swoją drogą.

— All right! To zależy od was. Mojem zdaniem, [illegible]łoby ich sprzątnąć odraza. Tak długo czekać? —

za plecami porucznika począł stroić śmieszne miny, dając odpowiednie znaki Poleonowi.

Powtórzywszy Doret'owi polecenie Neci, Burrell podszedł do stojącego za ladą kupca. Pragnął pomówić z nim o zakupie niektórych prowjantów dla swych podwładnych, które pominięto przy dostarczaniu ostatniego transportu. Gdy sprawa ta została załatwiona, poczęto omawiać wypadki dnia dzisiejszego.

— Nie chcę, ażeby pan przypuszczał, że zamierzam mącić spokój — rzekł. — Chcę pracować razem z wami i chcę być pańskim przyjacielem.

— Bardzo mi miło — odparł Gale.

— Nikt bardziej nie nienawidzi policji ode mnie, ale, niestety, muszę spełniać swój obowiązek — dodał młodzieniec.

— To znaczy, że pragnie pan ogólnego spokoju i nie będzie pan czepiać się do każdego z nas?

— Oczywiście, że nie, z wyjątkiem kryminalistów, którzy umknęli na Północ przed wymiarem sprawiedliwości.

— Ale takich jest niewielu, prawda?

— Tak, zdarzają się. Każdy posterunek ma ich kilku notowanych, a gdy odnajdziemy ich, będziemy ich trzymać w areszcie do chwili utworzenia sądów w tym kraju.

— Jeżeli pan zna ich nazwiska, mógłbym pomóc panu w odszukaniu tych złoczyńców — zaofiarował się kupiec.

— Dziękuję panu. Przyniosę z sobą listę, którą razem przejrzymy. Pan już tu pewno jest oddawna?

— Od dziesięciu lat.

— A zatem panna Necia urodziła się w St

Gale obrzucił oficera nieufnem spojrzeniem, zanim odpowiedział twierdząco. Burrell pochłonięty był w tej chwili śledzeniem plamki słonecznej na podłodze tuż przed ladą; nie zwracał zupełnie uwagi na kupca.

Po chwili zapytał wahająco:

— Czy to jest pańska pierwsza żona, mr. Gale?

Nie otrzymując odpowiedzi, dodał szybko:

— Bardzo pana przepraszam, sir. Pytanie to przyszło mi na myśl ze względu na pannę Necię... To taka niezwykła dziewczyna...

Twarz kupca uległa nagłej zmianie.

— Nigdy nie byłem żonaty — szepnął.

— Co takiego?

— Gdy wziąłem do siebie Allunę, żadne z nas nie myślało wówczas o tem i tak do dzisiaj żyjemy.

— Tak, rozumiem — mruknął Burrell, poczem dodał pośpiesznie: — Przyniosę jutro tę listę, o której mówiliśmy.

Skinąwszy przyjaźnie głową, wyszedł ze sklepu.

Ostatnie słowa Gale'a szumiały mu w uszach jeszcze w chwili, gdy wchodził do samotnej swej kwatery.

— Biedna, biedna dziewczyna! — szepnął do siebie.

Gdy po zamknięciu sklepu stary kupiec udał się do domu, zastał Necię w stroju przywiezionym przez Poleona. Widok eleganckiej toalety wprawił go w zły humor; rozkazał Neci natychmiast zdjąć z siebie te „fatałaszki". Głos jego był dziwnie ostry i chrapliwy, a oczy spoglądały ponuro w przestrzeń; wyszedłszy z pokoju, zatrzasnął mocno drzwi za sobą, pozostawiając zapłakaną Necię i zadziwionego Doret'a.

IV. Nieznana dolina.

Podczas następnych tygodni Meade Burrell doś często widywał Necię. Z początku wmawiał sobie, że dziewczyna interesuje go głównie jako typ niezwykle oryginalny, później jednak doszedł do wniosku, że mimowoli szuka jej towarzystwa i z prawdziwą rozkoszą wsłuchuje się w melodję dźwięcznego jej głosu Zachwycał go zręczny jej dowcip i dziecięcy humor a tajemnica czarnych jej oczu działała niby haszysz na młodą wyobraźnię oficera. Niejednokrotnie stawała mu przed oczami pełna kobiecej dystynkcji w owym eleganckim stroju z Dawson i wówczas to w myśli porównywał delikatną jej urodę z charakterystycznemi rysami matki jej, która musiała przecież być jednak Indjanką.

Litość, zrodzona w duszy jego po ostatniej rozmowie z Gale'm o stosunku starego kupca do Alluny, nikła powoli, zorjentował się bowiem, że Necia nie przypisuje do tego zbyt wielkiej wagi. W naiwnej swej skromności dziewczyna uważała, że mieszana jej krew nie przeszkadza absolutnie temu, aby nie różniła się niczem od kobiet białych. Coraz częściej zapytywała Meade'a o siostrę, co sprawiało mu niezwykłą radość

ajlepszym bowiem było dowodem, że Necia interesu je się nim, a nawet jego rodziną.

Dla Neci każdy dzień był nowem pasmem nieznaych dotąd wrażeń; przy boku oficera rozkwitała niby iękny, wonny kwiat pod wpływem dobroczynnych romieni słońca. Dzieliła się z nim prostotą dziewczęych swych myśli i marzeń, których dotychczas nikt jej otoczenia zrozumieć nie był w możności.

Po upływie miesiąca do obozu wrócił Runnion, powitał Flambeau zwykłym swym szyderczym uśmiechem, gdy wyszedł na ląd w towarzystwie obcego jakiegoś mężczyzny. Podeszli do stojącego na wybrzeżu Burrell'a.

— Oto jestem zpowrotem, jak pan widzi, — zaśmiał się chrapliwie — teraz pozostanę tu na pewno.

— Doskonale, Runnion; a czy przywieźliście z sobą zapasy?

Oficer silił się na uprzejmość, aczkolwiek wyczuł w tonie przybysza ponurą groźbę i wiedział, że powrót jego przysporzy mu wiele zmartwień.

— Naturalnie — odparł tamten. — A przytem i sakiewka przytyła nieco. — Potrząsnął pełnym workiem przed oczami porucznika. — Mógłbym przywieźć więcej jeszcze, gdyby mnie zostawiono w spokoju.

— Co zamierzacie robić tutaj? — zapytał Burrell ciekawie.

— W każdym razie chleba panu nie odbiorę — zaśmiał się Runnion wulgarnie.

— Przypuszczam, — odparł spokojnie oficer — żadnieby wówczas wyglądało prawo. Już lepiej nad wami czuwać będę.

— Jestem ogromnie zadowolony, że się rozumie

ny — rzekł Runnion i odwrócił się do stojącego na ubo
czu towarzysza.

Widocznie nieznajomy musiał mieć niezwykł
wpływ na Runnion'a, słuchał go on bowiem, gdy mó
wił teraz, z niezwykłą uwagą i szacunkiem. Mead
Burrell doszedł do wniosku, że zarówno Runnion, ja
i jego towarzysz, przybyli tu, aby przetrząsnąć pagór
ki otaczające Flambeau w poszukiwaniu pokładów
złota. Jednakże, gdy przyjrzał się uważnie nieznajo
memu, zmienił nieco swe zdanie o nim, sprawiał on
bowiem wrażenie człowieka doświadczonego, przystę
pującego do rzeczy z wytkniętym zgóry celem. W twa
y jego było coś z drapieżnego zwierzęcia, co uwydat
ało się najbardziej w kształcie zakrzywionego haczy
kowato nosa i w chodzie, przypominającym ostrożn
krok czającej się bestji.

Wiedziony chęcią dowiedzenia się czegoś więce
nieznajomym, porucznik poszedł wślad za Run-
ion'em i jego towarzyszem do sklepu Gale'a. Ku
wielkiemu zdziwieniu Burrell'a, obecny w sklepie Lee
pozdrowił przyjaźnie nieznajomego.

— Od jedenastu lat nie widziałem was, Stark —
zawołał jednooki górnik. — Cóż porabiacie?

— Kopię — odparł nieznajomy, którego Lee na-
zwał Stark'iem.

— Jesteście górnikiem?

— Sam nie, ale mam takich kilku, którzy się do
go palą. Jeden z nich stoi tu przed nami. Zamie-
rzam otworzyć hotel w Dawson, jeżeli dobrze pójdzie.

— W naszym obozie bardziejby się to przydało.

Stark uśmiechnął się bez cienia entuzjazmu.

— Dla na

aża! Gdy następn

cy dookoła wiedzieć

ki; tłumy przybędą tu do

zy się w wielkie miasto. Wówcz

ko z ogromnym zyskiem, dostaniemy d

wszyscy wokół szeptać będą pocichu:

— Któż to jest ta dama tak pięknie ubrana?

nny odpowie:

— To jest miss Necia Gale, córka właściciela k

alni. A o panu mówić będą:

— To jest porucznik Burrell, miljoner i...

— Zaraz, zaraz! — oficer przerwał entuzjastycz

rzemowę dziewczyny. — Niech mi pani opowie d

ładnie o wszystkiem.

— Dobrze. Otóż Lee przyszedł dziś rano z nowi

ą do ojca i Poleona; potem nadszedł statek, który

rzywiózł dawnego przyjaciela Lee, mr. Stark'a, wię

jemu opowiedział Lee o swem odkryciu. Wszysc

atem wyruszyli na miejsce, aby położyć tam wię

odpisów. Wymknęli się cichacz a, w zupełnej t

emnicy, ale ja zauważyłam coś niezwykłego w zacho

vaniu Poleona, więc postarałam się dowiedzieć cze

oś od Alluny. Wyprzedzili nas zaledwie o dwie go

dziny, możemy dogonić ich z łatwością.

[61]

...j twardym
..., i nie będą chcieli

...yć o to.

...jestem górnikiem, więc nie umiem
...ego.

...szkodzi, ja się znam na tem. Przez całe swe
...e słyszałam tylko o górnictwie.

— Po trzecie, przypuszczam, że nie mam do tego
...awa, ponieważ jestem żołnierzem. Pracuję dla wu-
...Sam'a i sądzę, że nie powinienem kłaść swego sygna...
świeżo odkrytych terenach. Wątpię zresztą, czy
...rto przeszkadzać górnikom.

— Jeżeli pan tego nie uczyni, znajdą się inni —
...pnęła Necia, smutniejąc nagle, jak dziecko, gdy mu
...ę odmówi jakiejś zachcianki.

Porucznik potrząsnął przecząco głową.

— Możliwe, że postępuję niemądrze, ale droga, któ-
...ą idę, powinna być zawsze równa.

— Ach, poruczniku! — zawołała złamanym gło-
...m. — Tak strasznie pragnęłam iść tam. Tak chcia-
...am, żeby pan był bogaty i żebym sama była bogata.
Pragnę być elegancką damą, wyjechać stąd i żyć tak,
...ak żyją inne dziewczęta. To była jedyna okazja, jaką
...ałam kiedykolwiek, — druga się może nie zdarzyć

[62]

pożądania jej, aż wreszcie nadejdzie moment taki, dy iskierka pragnienia wybuchnie wielkim, przer nym płomieniem. To samo stało się teraz z Burrell Słodycz purpurowych warg dziewczyny i ciepło n nego jej ciała rozbudziły w nim żywioł nieopętan Ona pierwsza intuicyjnie wyczuła snać niebezpiecz stwo, wyślizgnęła się bowiem zręcznie z męskich je objęć, odsuwając go od siebie z uśmiechem.

— Usta moje będą zawsze, a kopalnia może na się z rąk wymknąć — rzekła. — Nie, nie! — odsunę go, gdy przybliżył się do niej znowu. Dowodziła, jeżeli mają wyruszyć, powinni to uczynić natyc miast. — To przecież dość długa i męcząca wycieczk będziemy musieli odpoczywać po drodze — doda lękliwie.

Aczkolwiek nie był zbyt dobrym piechurem, w warzystwie Neci z ochotą wybrałby się nawet pie do Kanady.

— Zapakuj najpotrzebniejsze rzeczy — komenderowała. — Musimy dotrzeć do doliny Czarnego Niedźwiedzia nim noc zapadnie.

W milczeniu robił przygotowania; szaleństwo władnęło nim do tego stopnia, że nie potrafiłby w hwili zanalizować dokładniej nagłej swej decyz rspektywa trzymania Neci raz jeszcze w objęciac zdala od gwaru i szumu obozowego, budziła w ni podświadomy dreszcz rozkoszy. Pobiegł szybko do b raków, aby wydać kapralowi ostatnie instrukcje i p kilku niespełna minutach był już zpowrotem. Biorąc plecak z prowjantami, rzekł do Neci:

— Czy gotowa jesteś, maleńka?

— Tak, Meade — odparła z prostotą.

— A czy pewna jesteś, że nie będziesz żałować tego dsięwzięcia?

— Oczywiście, że nie, bo przecież mnie kochasz.

Usta ich złączyły się, gdy wychodzili na dróżkę, wadzącą nad brzeg rzeki. Przeszedłszy kilkanaście ków, zaszyli się w gęstwinę krzewów nadbrzeżnych.

W dwie godziny potem zatrzymali się nad brzem zamarłej w milczeniu doliny Czarnego Niedźwiea, przez którą wąskiem korytem płynęła rzeka przyzonym szmerem leniwych fal. Za nimi w odległości ściu mil leżało uśpione miasto, rysując się szarym, wacznym konturem na tle pogodnego nieba.

— Czy nie czas teraz na odpoczynek? — zapytał icer ze śmiechem, porywając dziewczynę w ramiona.

Uśmiechnęła się pogodnie i, uwalniając się z jego ęć, poczęła iść w kierunku lasu.

Burrell, zwrócony na chwilę ku miastu, starał się pokoić szaloną burzę krwi, która się w nim rozpęała, poczem przyłączył się do Neci i ramię przy ramiei u poczęli zstępować na samo dno nieznanej doliny.

V. Historja się rozpoczyna.

Poleon Doret nucił wesoło piosenkę, gdy stary kupiec wyszedł doń z zarośli; Francuz był dzisiaj naprawdę szczęśliwy, nowe bowiem przedsięwzięcie obudziło w nim dawne marzenia chłopięce. A przytem Necia przed wyjściem prosiła, aby ją zabrał z sobą... Z jakąż rozkoszą wziąłby ją z sobą nawet w podróż, która się nigdy nie kończy... Czyż bogowie nie spoglądali nań teraz przyjaźnie, czyż nie popierali swą łaską wszystkich jego przedsięwzięć? Czy odkrycie Lee nie było dlań okazją do zdobycia fortuny? Nawet głupiec domyśliłby się, że było ono oznaką boskiego błogosławieństwa. Czyż od lat kilku nie przyglądał się podrastającej dziewczynie, nie wspominając jej ani słowem o swem uczuciu? Czyż nie otaczał jej męską opieką i nie zasypywał upominkami, których nie powstydziłby się nawet udzielny książę? Naturalnie! I tu właśnie była nagroda, którą zsyłało mu przeznaczenie; fortuna uśmiechała się doń, a wszystko pragnął zdobyć tylko dla „niej". Teraz, gdy była już dojrzałą kobietą zamierzał złożyć u jej stóp swe serce wraz ze słowami

— Oto jest całe moje mienie, Neciu; przeznaczone ono było tylko dla ciebie.

Sacré! Poco właściwie odwlekać ciągle tę chwilę szczęścia? Naprawdę świat był wyjątkowo piękny tego wieczora. Poleon zaczął znowu nucić swą piosenkę:

„Chanté, rossignol, chanté!
Toi qui a le coeur gai;
Tu as le coeur à rire.
Mais j'l'ait-t-à pleurer,
Il y a longtemps que j'l'aimé
Jamais je ne t'oublierai".

— Uf! — zawołał Gale, zsuwając z pleców zawiniątko. — Ciężka będzie droga.

— Pocóż kładliście gumowe buty? — rzekł Po-
leon. — Stanowczo ciężyć wam będą. Pamiętacie, jak
zeszłego lata moskity zamordowały Johnnie Platt'a?

Obydwaj mężczyźni nosili grube rękawice ze skó-
ry renifera i siatki ochronne od moskitów na gło-
wach.

— To ty, zdaje się, znalazłeś go martwego, nie-
prawdaż? — zagadnął Gale.

— Naturalnie! Idę sobie pewnego wieczora i wi-
dzę nad brzegiem rzeki jakiegoś jegomościa, biegną-
cego szybko przed siebie. Z pewnością śpieszno mu do
domu, pomyślałem. Nagle człowiek ten zawrócił i, wy-
machując rękami, upadł na ziemię. Gdy podbiegłem
do niego, byłem pewien, że to jakiś obcy, a przecież
Johnnie Platt'a znałem tak dobrze. I cóż wy na to,
John?

— Widziałem człowieka, zabitego w ten sam spo-
sób przy Świętym Krzyżu — wtrącił kupiec.

— Pomyślałem sobie, co mu się stać mogło? A po-

tem wydał mi się dziwnie znajomym, choć twarz m opuchniętą i czerwoną, jak kawał surowego mięsa. Francuz uniósł ze wstrętem górną wargę i odwró głowę na samo wspomnienie owego przykrego wid ku. — Jezu, jakież to było okropne! Nadjadły go już t bestje. Usta, nos i uszy tworzyły jedną bezkształtn masę, a powieki miał mocno zaciśnięte.

— Czy skonał, zanim zdołałeś doń przybiec?

— Tak, dobry był człowiek. Wrogów moich, k rym wszystkiego złego życzę, prowadzę zawsze tą d gą porośniętą mchem.

— Święty Mikołaju! — wykrzyknął Gale. A któżby myślał o tem? Przecież to stokroć gors niż tortury Chińczyków z kroplą wody.

Francuz skinął głową potakująco.

— Jest to najstraszniejszy rodzaj śmierci i dlateg życzę jej moim wrogom.

— Wyobraź sobie takie małe bestje, walczące z bą wzajemnie o kawałek twego ciała.

Słuchając słów Gale'a, Poleon napychał fajkę i palał ją teraz ze spokojem.

— Ba Gar! Przecież i one są głodne — mruk z cynizmem, zaciągnąwszy się ostrym dymem.

— Wszystko będzie dobrze, gdy wyjdziemy z lasu — rzekł stary z odrobiną bojaźni w głosie.

— Musicie być szczęśliwym, że macie znów Ne w domu, co? — zagadnął tamten po chwili milczen

— Tak, zadowolony jestem, że już skończy z nauką.

— Stała się zupełnie dorosłą dziewczyną.

— To prawda.

— Wkrótce zostanie czyjąś żoną, co?

— Sądzę. Nie jest przecież typem samotnicy.

— Tak, to też prawda. A nie martwicie się o to, zyją żoną zostanie?

— Nie, jeżeli znajdzie człowieka odpowiedniego....

— Słusznie, słusznie! Martwić się o to nie należy — zawołał Doret z zapałem. — Żaden człowiek żyący nie może ominąć swego przeznaczenia. Necia jest a dobra na to, aby mieć złego męża.

— Cóż z tego? — Gale spoglądał dziwnym wzroiem na towarzysza. — Właśnie takie dostają zwykle jgorszych łotrów. Zazwyczaj dobra dziewczyna poba się złemu mężczyźnie, szczególnie, gdy jest ładna; aodwrót — dobry mężczyzna dostaje djablicę. Łotr ostaje łotrem nawet wówczas, gdy dostaje dobrą kotetę, a przyzwoity człowiek wpada przeważnie w sidła estji, która wygląda, jak baranek, a potem odnosi się łoń, jak wilk rozjuszony.

— Necia nie wyjdzie za łotra — rzekł z przekonaiem Doret.

— Nie? Pozwól mi więc opowiedzieć sobie to, co działem na własne oczy. Znałem dziewczynę równie brą i czystą, jak Necia i równie piękną, a może piękejszą jeszcze.

— Ho, ho! — zaśmiał się Doret sceptycznie.

— Urodziła się na Wschodzie, a przybyła na Zaód, gdzie rozmaici bywają mężczyźni. Działo się to owych dawnych latach, kiedy w krajach młodych ie wiedziałeś nic o przeszłości najbliższego nawet sąada i nie interesowałeś się nią zupełnie; aczkolwiek ziewcząt dookoła znajdowało się mnóstwo, stanowiły e typ całkiem przeciętny, gdy tymczasem ta różniła ę od nich wszystkich. Człowieku! Zupełnie inną by-

ła ta dziewczyna! Była prawdziwą kobietą! Dwaj chłopcy pokochali ją. Jeden z nich mieszkał w tym samym, co ona, obozie i był porządnym człowiekiem, ale nie był zdolny do wszystkich tych sztuczek, które kobietom imponują. Ponieważ była to jego pierwsza miłość, zaabsorbowany był wyłącznie myślą o niej we dnie i w nocy, bo nie był pewny, czy ukochana jest mu wzajemną. Inny mężczyzna przybył z sąsiedniego miasta, a był on wielkim kłamcą, więc umiał blagować, poza tem był młodszy i piękniejszy. Dziewczyna przypadła mu odrazu do gustu.

— I czemuż tamten go nie zabił? — zapytał Poleon z pałającem spojrzeniem.

— Po pierwsze, nie zdawał sobie z tego wszystkiego sprawy, zatopiony ustawicznie w swych marzeniach; po drugie, trudno, aby dwaj ludzie znali się dokładnie, mieszkając w tak znacznej odległości od siebie; po trzecie, był on tak naiwny, że nie wyczuł podstępu. Dość, że dziewczyna wybrała tamtego łotra.

— I co uczynił ten dobry człowiek?

— Był tak zdruzgotany, że poszedł w świat przed siebie.

— Ależ, to straszne.

— Słyszał o tamtych tu i tam, a to, co usłyszał, raniło mu jeszcze bardziej serce, bo mąż dziewczyny zmusił ją do tego, aby była tak, jak on, zła i nieuczciwa. Ona znosiła to wszystko cierpliwie, nie skarżąc się nigdy, aczkolwiek zdawała sobie dokładnie sprawę z tragicznego swego położenia. Najważniejsze było to, że nie ulegała wpływowi okrutnika, walcząc już resztkami silnej swej woli; dusza jej pozostała czysta jak dawniej. Mąż starał się wszelkiemi sposobami uczy-

nić z niej swe narzędzie; pragnął, aby została złą kobietą, jak te wszystkie, które on znał kiedyś. Wszystko to, co jemu sprawiało przyjemność, ją, bezbronną, torturowało poprostu.

— Dlaczego nie porzuciła tego łotra?

— Nie mogła ze względu na dziecko. Mieli maleństwo. A on po kilku latach biciem zmuszał ją do różnych podłości.

— Nie, nie! Co wy mówicie? Mężczyźnie nie wolno bić kobiety!

Twarz Poleona płonęła ogniem oburzenia.

— By God! I ja tak uważam — odparł kupiec, a twarz jego poszarzała nagle. — A jednak on ją bił.

Poleon zaklął po francusku; przekleństwo to zmieszało się z chrapliwym głosem Gale'a.

— Wówczas kobieta posłała po tamtego, który żył samotnie i kochał ją ciągle jeszcze i wyobraź sobie, że przybył na jej wezwanie.

— Bardzo ładnie! To mi się podoba! — zawołał Doret. — Inny z pewnością przeklął by ją na wieki.

— I ja tak sądzę.

Stary kupiec zamilkł na chwilę, nie zwracając uwagi na Doret'a, który oczekiwał z niecierpliwością dalszego ciągu opowiadania. Od strony drogi dobiegły ich zmieszane męskie głosy.

— Zbliża się Lee — rzekł Gale.

— A co się stało potem? — nalegał Poleon. — Ogromnie zaciekawiła mnie historja tej kobiety.

— O, to jest długa historja, a opowiedziałem ci ją do tego miejsca tylko dlatego, abyś się przekonał, że mam rację, sądząc po swojemu o dobrych kobietach i złych mężczyznach. Rozumiesz teraz, dlaczego pra-

gnę, aby Necia natrafiła na porządnego człowieka? Im prędzej to się stanie, tem więcej będę zadowolony.

Nigdy dotychczas stary kupiec nie mówił tyle o Neci z Poleonem i aczkolwiek operowali samemi przenośniami, obydwaj doskonale rozumieli się wzajemnie. Nie było jednak czasu na dalsze rozmowy na ten temat, gdyż głosy przybywających zbliżały się z każdą chwilą. Gdy postacie ich wyłoniły się z zarośli, Gale zawołał:

— Wyobraź sobie, że i Runnion jest z nimi!

— Hm! — mruknął Doret. — Nie lubię nawet myśleć o tym człowieku. Co łączy z nim Lee właściwie?

Trzej przybysze siedli na miękkim mchu, ażeby odpocząć, droga bowiem, którą przebyli, ciężka była, a tu wewnątrz lasu duszne powietrze tamowało swobodę oddechu. Pierwszy odezwał się Lee.

— Czy nikt was nie widział, jak wyruszaliście? — zapytał.

— Naturalnie, że nie — odparł Gale. — Poleon siedział tu od dwóch godzin.

— Bardzo dobrze. Nie chciałbym, aby ktoś szedł za nami.

— Szliśmy również przez miasto; — odezwał się Stark — jeżeli i was dwóch widzieli, domyślą się czegoś z pewnością.

Runnion nie miał z sobą nic, oprócz siatki przeciwko moskitom i maleńkiego zawiniątka pod pachą. Obecności jego nikt nie usprawiedliwił, jako też ani Doret, ani Gale nie zapytali o przyczynę, dla której przybył tu wraz z tamtymi. Dopiero po chwili, gdy Lee przysiadł się do kupca, tenże zapytał go półgłosem:

— Czy postanowiliście i tego zabrać z sobą?

— Nie była to moja decyzja — odparł górnik. — Stark zaproponował mi, żeby wziąć Runniona i tak mnie długo przekonywał, aż się zgodziłem. Widzicie, była to pierwsza sposobność odwdzięczenia mu się za to, co uczynił dla mnie niegdyś. Starczy tam miejsca dla wszystkich.

Przyszło na myśl kupcowi, że właściwie Lee miał pełne prawo wziąć z sobą kogo tylko chciał, nie rzekł więc nic na ten temat i zajął się obserwowaniem siedzącego opodal Stark'a.

Po godzinnym odpoczynku mężczyźni udali się w dalszą drogę i przed północą dotarli do skraju lasu. Za nimi szemrała sennie rzeka, a nad ich głowami unosiły się całe chmury moskitów. Po dwóch godzinach milczącego marszu odezwał się Stark zmęczony i zdenerwowany:

— Tu musi być jakaś krótsza droga, Lee?

— Przypuszczam, że jest, — odparł górnik — ale zawsze wracając do mego szałasu, obładowany byłem paczkami, to też wolałem spacer po równinie, niż wspinanie się po stromych zboczach.

— Ciekawy jestem, czy ktoś w obozie dowiedział się już o tem odkryciu? — wtrącił Poleon.

— Nie taka łatwa byłaby dla nich droga — rzekł Stark z przekąsem. — Zresztą nie wszystkim wolno rezerwować miejsca na odkrytych terenach. Ja osobiście nie pozwolę.

— Ja również — przyłączył się Runnion.

— Nie rozumiem tego — zauważył kupiec. — Wszyscy przecież mają jednakowe prawa.

— A ja świetnie rozumiem — zaśmiał się Stark szyderczo.

Do śmiechu tego przyłączył się Runnion, który rzekł po chwili:

— Lee ma prawo wtajemniczać w swe odkrycia tylko tych, których sam wybierze, a jeżeli ktoś chce nas wyprzedzić, marne są jego widoki.

— Skoro ja nie znam krótszej drogi, przypuszczam, że nikt inny jej nie zna również — rzekł Lee.

— Pocóż myśleć o tem? — zabrał głos Doret — przecież i tak nikt w obozie nie wie o odkryciu Lee, z wyjątkiem mnie i Johna.

— Zupełnie słusznie — przyznał Gale. — Istnieje jeszcze jakaś droga przez dolinę Czarnego Niedźwiedzia, ale tej drogi nikt prawie nie zna w obozie.

Maszerowali do późnej nocy, aż wreszcie zmęczeni rozłożyli obozowisko u wejścia do doliny, pośrodku której znajdował się szałas jednookiego górnika. Wybrali długi, piaszczysty wąwóz, zataczający wyraźne półkole, dzięki któremu owady miały tu utrudniony dostęp. Wędrowcy nasi znali doskonale życie obozowe, to też nie istniały między nimi zbyteczne spory na temat tego, co dalej czynić należy, aby osiągnąć cel wytknięty. Przygotowania ich były proste. Naprzód rozpalono wielkie ognisko, na którem Lee począł gotować smakowite, obozowe potrawy, gdy tymczasem Gale udał się do lasu, aby ściąć z tuzin małych sosen, z których poodłamywał gałązki. Poleon i Runnion ułożyli na kłodach sosen prowizoryczne posłania, Stark zaś zajął się nagromadzeniem zapasów suchego drzewa na noc. Gale zauważył, że niedawny przybysz z zupełną swobodą włada siekierą, widocznie więc była ona dlań narzędziem codziennego użytku; kupiec zastana-

wiać się począł teraz nad nieuzasadnioną, bądź co bądź, niechęcią w stosunku do tego człowieka.

Nim jeszcze tamci ukończyli swe zajęcia, posiłek przyrządzany przez Lee był już gotowy, zabrali się więc wszyscy do spożywania skromnej wieczerzy. Jednooki przewodnik tak przywykł do ukąszeń moskitów, że był obecnie zupełnie na nie nieczuły, aczkolwiek owady fruwały z rozgłośnem brzęczeniem tuż nad jego głową. Po zjedzeniu skromnej wieczerzy wszyscy zasiedli dokoła ogniska, rozmawiając, paląc fajki i trąc zmęczone nogi.

Zazwyczaj atmosfera nocy, spędzonej przy ogniu pod gołem niebem, nasuwa na myśl całe szeregi wspomnień posępnych i wesołych. Pod wpływem takiej atmosfery jedni zaczynają opowiadać, inni słuchają, a są i tacy, którzy siedzą ponuro na uboczu, pogrążeni we własnych myślach, które dla reszty pozostaną na zawsze tajemnicą.

Jednooki górnik Lee, szczęśliwy odkrywca, w prostych słowach opowiadał o długoletniej swej tułaczce z obozu do obozu i o tem, jak ludzie patrzyli nań z litosnym uśmiechem, wierząc święcie, że szatan niepowodzeń omotał Lee swą niewiedzialną siecią i śledzi teraz każde jego stąpnięcie.

— Przez czterdzieści lat byłem pechowcem — mówił. — Byłem jedynym górnikiem na Alasce, który nigdy nie odkrył pokładów złota i nigdy nie miał kopalni swego imienia.

— A tę czy już nazwaliście? — zapytał Runnion.

— Naturalnie. Nigdy nie byłem zły, ani dla siebie, ani też dla innych. Jestem przecież właścicielem terenów. Byłem zawsze rodzajem robaka-szkodnika,

który toczy wszystko wokoło. Martwiłem się sam i zamartwiałem najbliższe otoczenie. Teraz jestem u szczytu mych marzeń, po tylu latach włóczęgi.

— W jaki sposób straciliście tyle pieniędzy? — indagował Stark.

— Poprostu przejadłem je.

Wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem, nie wyłączając starego kupca i Doret'a, który przyjmował dzisiaj wszystko z iście dziecięcą pogodą. Wtem Francuz przypomniał sobie opowiadaną przez Gale'a historję, przestał się więc śmiać i rzekł:

— Powiedzcie, John, co się stało z tą dziewczyną, o której opowiadaliście mi dzisiaj?

Gale potrząsnął głową i odwrócił się do reszty towarzystwa, ale młodzieniec nie dał za wygraną:

— Ale to była niezwykła historja, doprawdy — rzekł po chwili.

— A cóż to takiego było? — zapytał Runnion.

— John opowiadał o jegomościu, który poślubił dobrą dziewczynę i zmuszał ją do tego, żeby była taka zła, jak on.

— Jakżeto? — zapytał Stark, zwracając się ciekawie do kupca.

Gale strzepnął niecierpliwie popiół z fajki.

— O, to długa historja, a działo się to za czasów mego pobytu w Stanie Waszyngton.

Poleon chciał sprostować, że było to podobno w Kalifornji — jak sam przed kilku godzinami Gale opowiadał, — gdy nagle kupiec podniósł się z miejsca i zwróciwszy sennie uwagę, że czas już na spoczynek, jeżeli chcą przespać się trochę przed nową nawałą moskitów, oddalił się nieco od ognia, rozciągnął na

mchu swą derkę, nałożył ochronną siatkę i rękawice i zasnął smacznie po chwili. Inni poszli również za jego przykładem, lokując się na swych posłaniach i, zabezpieczywszy się siatkami i rękawiczkami przed napaścią moskitów, usnęli wkrótce. Jeden tylko kupiec leżał długo z otwartemi oczami, wpatrzony w połyskujące na nieboskłonie gwiazdy, jakgdyby starając się znaleźć w nich rozwiązanie problematu, który ani na chwilę nie dawał mu spokoju.

Zbudzili się wszyscy o świcie i po spożyciu śniadania gotowi znów byli do drogi.

— Możebyśmy lepiej oznaczyli, gdzie kto ma zamiar się osiedlić — zaproponował kupiec. — Nie lubię sprzeczek między wspólnikami.

— Zupełnie słusznie, — przyznał Stark — unikniemy w ten sposób wszelkich nieporozumień.

Wszyscy doświadczeni życiem przyznali rację Gale'owi.

Lee nachylił się i zerwał cztery źdźbła trawy, a złożywszy je w zaciśniętej dłoni, zwrócił się do towarzyszy:

— Kto wyciągnie najdłuższą trawkę, będzie mieć pierwszy wybór i tak dalej.

Podszedł do Gale'a, który wyciągnął źdźbło najdłuższe; Doret oddał usłużnie pierwszeństwo Starkowi, potem ciągnął Runnion. Najkrótsze źdźbło zostało dla Poleona.

— Nie szkodzi, — śmiał się młodzieniec — ostatni strzał bywa zawsze najcelniejszy.

Podnieśli z ziemi zawiniątko i poczęli iść w kierunku doliny, która się słała przed nimi szmaragdowym kobiercem wilgotnych mchów.

VI. Burrell walczy.

Do końca życia nie zapomni Burrell swej wędrówki z Necią przez nieznaną dolinę, a chociaż oddzielne epizody nabierają z biegiem czasu mglistych nieco konturów, to jednak słodka nierealność dodaje uroku wielce romantycznym wspomnieniom młodzieńca. Ramię przy ramieniu wkraczali w krainę iluzji, gdzie nic rzeczywistego istnieć nie mogło, oprócz miłości i szczęścia. Gawędzili, śmiali się i śpiewali w takt melodji płynącej wraz z nimi rzeki. Spotkanie gorących warg dawało im rozkosz dotychczas nieznaną, dreszczem przejmującą i niewypowiedzianą słowami. Potrzeba ruchu popychała ich naprzód z mimowolnem jednocześnie pragnieniem wypoczynku, ażeby usiąść blisko przy sobie i oddać się słodkim, nie kończącym się nigdy pieszczotom. Chwilami milkli zupełnie; wówczas to fale rzeki powtarzały zgodnem echem niedawny ich śmiech beztroski, a drzewa szeptały ciche ich tajemnice, kiwając z zadowoleniem głowami, przystrojonemi w bogate korony z liści i igieł.

Trzymali się ciągle brzegu rzeki, która była posłusznym ich przewodnikiem. Necia kroczyła przed siebie śmiało, wygimnastykowana bowiem była wspa-

niale i przyzwyczajona od dzieciństwa do dłuższych, pieszych wycieczek, to też krok jej pewniejszy był od kroku młodego oficera. Dzika przyroda nie miała dla Neci żadnych tajemnic, torowała więc dziewczyna drogę wśród zarośli swemu towarzyszowi, bystrym wzrokiem przebijając ciemności, panujące w gęstwinie leśnej. W pewnej chwili zatrzymała się na niewielkiej polance i poleciła Burrell'owi złożyć na ziemi zawiniątko.

— Co zamierzasz robić teraz? — zapytał zdziwiony.

— Proszę zająć się swemi sprawami, sir — odparła z komiczną powagą.

Wyjęła z za pasa mały nożyk, którym poczęła ścinać gałązki otaczających ją krzaków; oficer przyglądał się jej bezradnie.

— Proszę! Proszę! A co ja robić będę? — biadał.

— O, dużo jeszcze roboty pozostało. Jesteś przecież odważnem i zaciętem stworzeniem.

— Wszystkie zwierzęta są zacięte — rzekł, — jest to jedynym ich przywilejem.

— Jesteś może zbyt dumny, jak zauważyłam to dziś w twej kwaterze.

— Duma moja tkwi w miłości dla ciebie.

— Tego nie można nazwać dumą; — uśmiechnęła się — jest to poprostu przebiegłość. Widzisz, musisz być ukarany.

— Powinienem czmychnąć teraz — odgrażał się. — Powinienem pognać w las i zacząć karmić się trawą, bo jestem przecież szalenie dziki.

Rozmawiając z porucznikiem żartobliwie, Necia dobyła z kieszeni zwój sznura, do jednego końca przy-

mocowała niewielki haczyk, odjęty od kapelusza i prowizoryczną tę wędkę zanurzyła w rzece. Po kilkunastu minutach na haczyku trzepotało się z pół tuzina małych pstrągów. Dziewczyna zawinęła ryby w płaszcz porucznika, poczem obydwoje ruszyli w dalszą drogę. Po kilkugodzinnym marszu wyszukali wśród lasu porosłą miękkim mchem polankę i tu postanowili wypocząć.

Podczas tej kilkugodzinnej wycieczki zbliżyli się dziwnie jakoś do siebie i Necia szczebiotała swobodnie, niby mała dziewczynka, wywołując uśmiech na rozradowanej twarzy młodzieńca. Szczebiotanie jej wprawiało zwykłe w doskonały humor ojca, teraz więc w ten sam sposób bawiła Burrell'a, wpatrzonego w nią rozmiłowanym wzrokiem.

— Zuchy z nas, bośmy umieli przejść taki kawał drogi — rzekła.

— Wymarzony z ciebie piechur — pochwalił ją z powagą. — Ja ze swej strony czuję już trochę zmęczenia.

Zrzuciwszy na ziemię tobołki, rozpostarł szeroko ramiona, oddychając z ulgą i wyciągając przed siebie zbolałe nogi.

— Którędy pójdziemy teraz, przewodniczko?

— Ciągle na prawo, a potem przetniemy te wzgórza. Za dwie godziny dotrzemy do wartkiego strumyka, z którego prądem dalej iść będziemy, wreszcie na prawo ujrzymy szałas starego Lee. Wyobrażam sobie jego zdziwienie, gdy nas zobaczy! Zręczni jesteśmy jednakże, że potrafiliśmy ich wyprzedzić, nieprawdaż? — Zaśmiała się z zadowoleniem, a on zawołał w zapale:

— Dziewczyno! Jakże jesteś niezwykła!

— Zaczyna się robić zupełnie ciemno i niebezpiecznie; — gderała — należałoby zająć się gospodarstwem.

Rozpaliła zręcznie ogień i powiesiła nad nim wiaderko z wodą, zaczerpniętą z rzeki. Porucznik chciał zająć się przygotowaniem wieczerzy, ale go odwiodła od tego zamiaru.

— Chłopcy nie powinni gotować, — rzekła — należy to do dziewcząt.

Rad nierad zabrał się do rąbania drzewa i podsycania niem syczących wesoło płomieni.

Po skończonem zajęciu usiadł opodal ogniska, spoglądając w zamyśleniu na roztaczający się tuż przed nim przepiękny krajobraz. W dole ciągnęła się dolina Czarnego Niedźwiedzia, milcząca i melancholijna w poświacie ostatnich blasków słonecznych, które odbijały się barwą ciemnego fioletu w srebrzystej tafli wód Yukonu. Rzadka, nizinna roślinność, wyrastająca gdzie niegdzie z pośród szmaragdu mchów, chyliła się już sennie na miękkie, jedwabiste posłanie; ponad zastygłą w milczeniu doliną wznosiły się dumnie ku górze nagie szczyty skalne, znacząc się srebrną wstęgą na trójbarwnem tle pogodnego nieba. Lekki wiaterek przyniósł z sobą smakowity zapach gotującego się jadła; porucznik zbudził się z zamyślenia i ujrzał Necię, klęczącą nad trzeszczącemi gałązkami dopalającej się jodły.

Podniósł się z ziemi i zarzuciwszy na ramię siekierę, zbliżył się do klęczącej u ognia dziewczyny.

— Kolacja twoja stygnie — zawołała.

Zajął miejsce tuż przy niej i poczęli się posilać obydwoje, popijając ugotowane naprędce potrawy wy-

warem z listków nieokwitniętej herbaty. Noc zapadała powoli, a powietrze ochładzać się poczęło nieco, Burrell dorzucił drzewa do ognia i wyciągnął się wygodnie przy Neci.

— Dzień dzisiejszy był tak wyjątkowy, — szepnęła dziewczyna — że nie odważyłabym się zasnąć. Szkoda, aby się miał skończyć.

— Ale musisz być wypoczęta, maleńka, — perswadował jej łagodnie. — Przecież ja tu jestem.

— Poczekaj, muszę się przekonać. — Wyprężyła nogi dla zbadania stanu swych mięśni. — Tak, jestem bardzo zmęczona, ale nie jest to rodzaj zmęczenia, który każe położyć się do łóżka. Pragnę teraz gawędzić i nietylko o nas dwojgu, a o różnych ważnych i ciekawych rzeczach. Opowiedz mi o swoich, o swej siostrze.

Nie mógł się sprzeciwiać, temat bowiem ten miał dla niej specjalny urok. Mogła siedzieć bez ruchu, gdy opowiadał o swej siostrze, a w oczach jej majaczył cień dziwnej, niewypowiedzianej tęsknoty. Temat ten usposabiał ją zazwyczaj poważnie, jak zdążył zauważyć, postanowił więc uniknąć tego w tej chwili, zdaniem bowiem jego, noc dzisiejsza nie powinna mieć nic wspólnego z tęskną melancholją. Sam nie pozwolił sobie dotychczas na rozmyślanie, nie chciał więc, aby ona poczęła analizować pierwsza; analiza całego ich stosunku i myśl o rodzinie mogą nastąpić potem, a nie powinny mącić swą prozą i powagą godzin złocistych iluzji. Dlatego też począł jej opowiadać wesoło o przyjaciołach swych, pozostałych tam, w dalekiej ojczyźnie, i o swem dzieciństwie, wybierając specjalnie komiczne przygody, aby wywołać dźwięczny,

srebrzysty jej śmiech. Opowiedział cośniecoś o swym ojcu, starym, dzielnym żołnierzu, którego rycerskość i kurtuazja stały się przysłowiowe na całem Południu. Potem opowiadał jej domowe historyjki i anegdotki, charakteryzujące życie starego rodu Burrell'ów; w anegdotkach tych była również mowa o Meade Burrell'u, dziadku porucznika, który brał udział w bitwie nad zatoką Tripolitańską, i o kuzynie jego, noszącym to samo imię, wsławionym w bojach w Annopolis. Dziewczyna słuchała go z zajęciem, zawisnąwszy gorejącem spojrzeniem na jego wargach. Ciemne jej oczy, półprzymknięte w cichym uśmiechu, czy oniemiałym podziwie, zachodziły ledwie dostrzegalną mgłą świeżo zrodzonego uczucia.

Nie dostrzegłszy zmiany w jej twarzy, młodzieniec opowiadał z zapałem dalej, w duszy bowiem jego jaśniała duma rodowa, duma, wyniesiona z łona matki, otoczonej w wyobraźni jego glorją słodyczy i kobiecej dobroci. Gdy skończył opowiadanie, Necia zwróciła ku niemu załzawione spojrzenie.

— Jaki ty jesteś szlachetny. Wszyscy twoi bliscy, i mężczyźni i kobiety, są szlachetnymi ludźmi, nieprawdaż?

— Przeważnie, — przyznał — a przypuszczam, że dlatego, iż wszyscy mężczyźni byli żołnierzami. Dyscyplina wojskowa dobra jest dla każdego.

Zaczął śmiać się serdecznie.

— Czemu się śmiejesz? — spytała ciekawie.

— O, nic! Wyobrażam sobie, coby powiedzieli moi dzielni przodkowie, gdyby mnie zobaczyli w tej chwili tutaj.

bie ta dziewczyna? Zdawała się odgadywać każdą myśl jego... każde dążenie. Leżała teraz tam w cieniu, z uśmiechem cichego szczęścia na rozchylonych bezwiednie usteczkach. Odezwał się w duszy jego gorzki wyrzut, że postępuje nieuczciwie względem tej dziewczyny, która z naiwną szczerością darzy go pierwszem, dziecięcem uczuciem.

Patrząc nań miłośnie, pochyliła główkę, niby mała, spłoszona ptaszyna.

— O, najdroższy! Jaki okrutny stałeś się nagle!

Uśmiech jej zgasł, ustępując miejsca posępnemu smutkowi na bladej, zmęczonej twarzyczce. Podszedł szybko i ukląkł tuż przy niej.

— Droga, — wyszeptał — dążeniem mojem jest, abyś została zawsze taką, jaką jesteś teraz. Nie możesz pojąć, czem to jest dla mnie, bo przecież i ja ślepy byłem, aż nagle wśród nieprzebytych mroków nocy ujrzałem świetlaną twą postać. Teraz musisz przespać się trochę; godziny biegną, a my powinniśmy wcześnie wyruszyć w dalszą drogę.

Ułożył ociężałą jej główkę na prowizorycznej poduszce z świeżych mchów i zebranej naprędce trawy, a uwolniwszy zmęczone jej nóżęta z wysokich, sznurowanych trzewików, ujął je w męskie swe dłonie i ucałował z odcieniem szacunku. Gdy przykrywał ją ciepłą derką wełnianą, patrzała nań z uśmiechem pogodnego zadowolenia i wewnętrznego spokoju.

— Posiedzę tu jeszcze chwilkę przy tobie,—rzekł— wypalę fajkę.

Małą, ogorzałą dłoń wysunęła z pod koca i złożyła z ufnością w jego dłoni; pochylił się nad nią pieszczotliwie, przymykając gorącym pocałunkiem znużone

powieki dziewczyny. Zmęczenie jej było tak wielkie, że usnęła natychmiast, nie wypuszczając ręki Burrell'a z dziecięcego uścisku drobnych swych paluszków.

Rozpętała się w nim szalona żądza porwania jej w swe ramiona i przytulenia do piersi, oddawna bowiem już pędził życie zdala od kobiet, a melancholja tej cichej nocy zdawała się drwić z jego szlachetnych skrupułów. Był przecież młodym, pełnym życia mężczyzną, a w żyłach jego płynęla gorąca krew południowca. Od najdawniejszej młodości zarówno on, jak i wszyscy jego ziomkowie przyzwyczajeni byli zaspokajać wszystkie swe zachcianki, jeżeli chodziło o kwestje miłosne. Rzadko kiedy w podobnych sytuacjach Burrell rządził się sentymentem, aczkolwiek zazwyczaj do tej pory miał do czynienia z kobietami, odpowiadającemi pochodzeniem jego i rodziny wymaganiom. Wstyd przyznać, że ta mała metyska wzbudzała w nim mimowolny szacunek, którego nie znał dotychczas w stosunku do kobiet nawet ze swojej sfery. Gdyby miłość jej była miłością gorącokrwistej Indjanki, na pewno porucznik Burrell postąpiłby z nią inaczej... Jeszcze lepiej byłoby, gdyby krew, płynąca w jej żyłach, była tak czysta, jak uczucie tej dziewczyny... Właściwie powinien rozstać się z nią dziś jeszcze i zapomnieć o tem, co było, na zawsze... Miłość wzniosła między nimi przeszkodę, straszniejszą jeszcze, niż to, że Necia była metyską.

Długo siedział bez ruchu, zapatrzony w blask skaczących figlarnie płomieni, dziwiąc się sile tej czarownej wróżki, która go opętała i temu nieznanemu dotychczas uczuciu, które tak ukradkiem wślizgnęło się

do zimnego zazwyczaj jego serca i wzięło je bez zastrzeżeń w swe wszechpotężne posiadanie. Niełatwą rzeczą byłoby chcieć wyzbyć się słodkiej myśli o tej dziewczynie i odejść od niej bez możliwości powrotu. A ona?...

Delikatnie wysunął rękę z jej uścisku i owinąwszy się drugim, znalezionym opodal kocem, położył się na wilgotnym nieco mchu. Sen zmorzył go natychmiast.

Gdy tylko szarzeć poczęło, Necia przysunęła się do niego.

— Śniłam, żeś odszedł ode mnie — rzekła drżącym głosem. — O, jakież to było okropne...

— Zbyt zmęczony byłem, aby śnić — odparł.

— Przyszłam zobaczyć, czy jesteś.

Szybko rozpalił ogień i zjedli śniadanie. Zanim jeszcze słońce ukazało się nad szczytami pobliskich wzgórz, byli już w samem sercu doliny, zbliżając się coraz bardziej do celu wędrówki.

— Wolałbym, żeby Stark nie brał udziału w wyprawie Lee — odezwał się Burrell w pewnej chwili. — Może on źle zrozumieć naszą wspólną eskapadę.

— Z chwilą, gdy się dowie o naszej miłości, wszystko będzie wyjaśnione.

— Nie jestem pewien. Nie zna on ciebie tak, jak Lee, Poleon, albo twój ojciec. Sądzę, że lepiej nie wspominać nic o mnie i o tobie...

— Dlaczego? — zawołała Necia, zatrzymując się nagle wśród drogi. — Przecież i tak będą wiedzieć, gdy nas zobaczą. Nie potrafię tego ukryć.

— Jestem bardziej doświadczony od ciebie w tym wypadku, — przekładał oficer — powinniśmy działać rozsądnie; zaufaj mi.

— Nie chcę komedji — zawołała Necia zuchwale.— Jeżeli to wszystko ma się skończyć, gdy dojdziemy do szałasu Lee, pozostańmy tu lepiej na zawsze.

Po chwili jednak opuściła ją zwykła pewność siebie i tuląc się doń, sz pnęła:

— Zresztą, dobrze, ty wiesz najlepiej, jak należy postąpić. Kobiety rzadko kiedy bywają logiczne.

Przeskoczyli wąski strumyk, szemrzący wśród kamieni, i przeszedłszy z pół mili, dostrzegli zdaleka szałas Lee, ukryty w zapadłej dolince.

— Nikogo niema w szałasie — wykrzyknęła Necia, gdy podeszli bliżej. — Wyprzedziliśmy ich!

Od świtu maszerowali bez chwili wytchnienia i chociaż zegarek Burrell'a wskazywał drugą po południu, Necia nie chciała jeść lunch'u, obawiając się, że tamci mogą nadejść lada chwila. Postanowili zwiedzić natychmiast tereny Lee, udali się więc w tym celu w dół strumyka, gdzie Necia na pniu nadbrzeżnego drzewa umieściła napis: „Centrum niższe, Nr. 1 poniżej miejsca odkrycia. Necia Gale". Była tak uszczęśliwiona zdobyciem kawałka terenu, tuż obok miejsca zarezerwowanego przez Lee, że poczęła śpiewać i tańczyć wokoło drzewa, na którem położyła swój podpis.

— A teraz ty naznaczysz miejsce obok mnie — rzekła po chwili. — Będzie tak samo dobre, a może i lepsze jeszcze — trudno przewidzieć.

Potrząsnął głową przecząco.

— Nie mam zamiaru rezerwować miejsc dla siebie — rzekł.

— Musisz! — zawołała, a wesołe błyski zagasły nagle w jej oczach. — Powiedziałeś, że się zgadzasz, inaczej nie zabierałabym cię tu z sobą.

— Zgodziłem się tylko towarzyszyć ci w tej wycieczce, — sprostował — ale nie obiecywałem umieszczać tu swego nazwiska, sądzę bowiem, że nie powinienem tego robić. Co innego, gdybym był cywilem; [illegible]kże ziemia ta należy do państwa, a ja jestem jego cząstką. Zresztą zrobiłbym sobie wrogów z obywateli tutejszych, jak Lee i inni, a nie chciałbym tego za nic. Ty jesteś tu na innych prawach; zresztą, mogę jeszcze zmienić zdanie wówczas, gdy ludzie Lee naznaczą tu swoje udziały.

Wszystkie argumenty i prośby na nic się nie zdały; był nieugięty i ze swej strony począł nalegać, aby położyła jeszcze dwa podpisy, rezerwując tem samem dwa bliższe udziały dla siebie.

— Nikt nie rezerwuje więcej, niż jeden udział — tłumaczyła. — Taki jest ogólny zwyczaj górników.

— Zobaczymy, jak zareagują na to — oburzył się. — Zrozumiałą rzeczą jest, że w krainie złota każdemu wolno się zbogacić. Pójdźmy obejrzeć dalsze części terenów.

Po położeniu trzech podpisów Neci wrócili obydwoje do szałasu, gdzie postanowili czekać na przybycie jednookiego górnika i jego towarzyszy.

VII. Siła magiczna Bena Stark'a.

Nim jeszcze przybywający ukazali się na zakręcie ścieżki, ożywione ich głosy dotarły do wnętrza szałasu; Burrell podniósł się z miejsca nerwowo i wolnym krokiem podszedł do drzwi. Nie będąc pewnym, jaki obrót przyjmie ta cała historja, wolał stanąć oko w oko z wrogiem i być przygotowanym na wszystko najgorsze.

Dróżka do szałasu prowadziła przez zarośla i z tej to gęstwiny dobiegły porucznika głośne słowa Lee:

— Tu jest to miejsce, chłopcy, jeszcze z pięćdziesiąt jardów najwyżej.

— Bardzo miły zakątek — wtrącił Gale swym głębokim, poważnym głosem, nieco znużonym w tej chwili.

— Cha, cha, cha! — śmiał się Doret. — Pan musi być zmęczony, mr. R-r-unnion. Weź pan lepiej swe nogi pod pachę, może będzie panu wygodniej.

Wynurzyli się z zarośli na otwartą przestrzeń i natknęli się na stojącego bez ruchu Lee, który ze zdziwioną miną śledził wąskie pasmo dymu, unoszące się z komina jego szałasu. Zdawało się Burrell'owi, że

przybyli stali w owym podziwie wieki całe; wreszcie usłyszał podniesiony głos Lee:

— Niech mnie djabli wezmą! Ktoś zjawił się tu przed nami.

— Wyprzedzono nas — charkotał Stark z wściekłością, wysuwając się z za węgła szałasu.

Burrell stał swobodnie w otwartych drzwiach, paląc fajkę; barczysta jego postać tarasowała niemal całe wejście.

— Dzieńdobry!—pozdrowił uprzejmie przybyszów.

Lee mruknął coś niezrozumiale; Stark milczał ponuro, tylko Runnion zawołał z prostotą:

— To ten przeklęty żołdak!

— Kiedy pan tu przyszedł? — zapytał Stark po chwili.

— Przed kilku godzinami.

— Którędy szedł pan? — dodał Lee.

— Przez dolinę Czarnego Niedźwiedzia — odparł uprzejmie oficer, na co Runnion wybuchnął potokiem wulgarnych przekleństw.

— Uspokójcie się, proszę, — upominał go Burrell — tam w szałasie jest niewiasta.

W tej samej chwili w szparce między ramieniem porucznika i framugą drzwi ukazała się roześmiana twarzyczka Neci, na której widok z piersi starego kupca dobył się okrzyk radosnego zdziwienia.

— Lunch gotowy, — rzekła — czekamy na was od godziny.

— Ba Gar! — zawołał Poleon. — A to zabawna historja! Któż ci powiedział o tem odkryciu?

— Matka; siłą z niej to wydobyłam — odparła dziewczyna.

— Zrzućcie tobołki i wejdźcie do środka — zapraszał Burrell, ale Stark nie przyjął zaproszenia.

— Zaczekajcie chwilkę — zwrócił się do towarzyszy. — Dziwnie mi się nie podoba to wszystko. Dowiedziała się pani od matki, jak pani twierdzi sama. Zdaje mi się, że jest pani córką Johna Gale'a, prawda?

Necia potaknęła skinieniem głowy.

— O jakiej porze dowiedziała się pani o tem? — indagował dalej Stark.

— Dajcie pokój — zawołał Gale z niezadowoleniem. — Czy przypuszczacie, że was chciałem podejść?

Stark przybliżył się ku niemu.

— Tak to wygląda mniej więcej, chcę więc to wyjaśnić. Powiedzieliście wczoraj, że nikt nie wie o odkryciu.

— Nie miałem wówczas na myśli kobiety — szepnął kupiec zmieszany, co wywołało szyderczy uśmiech na twarzy Runnion'a.

— Wasza dziewczyna i ten pan wyprzedzili nas. Przypuszczam, że i inni są już w drodze.

— Nonsens! — przerwał Burrell. — Nie kłóćcie się o to, miss Gale zdobyła wasz sekret i wyprzedziła was w grze, ale przecież wystarczy tu miejsca dla wszystkich i żaden nie będzie pokrzywdzony. Zaręczam, że nikt więcej nie wie o tem odkryciu.

— Muszę to nazwać djablą robotą — wtrącił Kanadyjczyk, uwalniając się od ciężaru swego tobołka. — Następnym razem w takim wypadku zabierać cię będę zawsze z sobą, Neciu.

— Ja także, — dorzucił Lee — ale teraz muszę spałaszować trochę bobru, którego smakowity zapach czuję aż tutaj.

Inni poszli za przykładem jednookiego górnika, aczkolwiek Stark i Runnion spoglądali wokół ponuro i nie rzekli już nic więcej. W nieprzyjemnym nastroju minęło śniadanie, zajście bowiem odebrało wszystkim humor, a szczególnie Gale siedział w milczeniu i jadł mniej od innych. Wzrok jego spoczywał przez cały czas na twarzy Stark'a, a w pewnej chwili fala gorącej krwi uderzyła mu do głowy, gdy dostrzegł, że Stark obserwuje z uwagą Necię.

— Przystojna z pani dziewczyna — rzekł Stark wreszcie.

— Dziękuję panu — odparła z prostotą.

W tejże chwili w umyśle Burrell'a skrystalizowała się niewyraźna dotąd niechęć, jaką żywił dla Stark'a.

— I Gale nie musi lubieć go specjalnie — pomyślał młodzieniec, lecz stary kupiec nie zdradzał się najmniejszym gestem, to też śniadanie dobiegło końca w zupełnem milczeniu.

Po lunch'u pięciu przyszłych właścicieli kopalni udało się na wybrzeże, aby położyć swe sygna na terenach w obawie przed czyjemśkolwiek współzawodnictwem. Naprzód skierowali się w dół rzeki i, stosownie do ogólnej zgody, pierwszy położył swój podpis Gale, a za nim Poleon i Stark, co zmusiło Runniona do zarezerwowania udziału, oddalonego o milę prawie od miejsc, na których Lee rozpoczął kopanie. Załatwiwszy to, wrócili w górę rzeki, aby odszukać miejsca, zarezerwowane przez Necię.

Gdy Gale oddalił się nieco, Runnion postanowił wyrazić swe niezadowolenie, zwrócił się więc do Poleona i Stark'a.

— Brzydko pachnie ta historja, — rzekł — i ciągle myślę jeszcze, że był to najzwyklejszy podstęp.

— Co wy gadacie! — wykrzyknął Doret.

— Stary wysłał dziewczynę przed nami, ażeby zagarnęła najlepsze części terenu. To z pewnością jego sprawka!

— Głupie posądzenia — oburzył się Francuz.

— I mnie się to nie podoba — zauważył Stark. — Pamiętacie jak przystawał co chwilę i prosił, aby iść wolniej, a w nocy chciał nawet zatrzymać się na dłuższy odpoczynek? Wszystko to wygląda, jakby chciał dać dziewczynie więcej czasu, aby mogła tu przyjść przed nami. Zaznaczył, że zna drogę przez dolinę Czarnego Niedźwiedzia, a jeżeli mimo danego przyrzeczenia opowiedział wszystko swej squaw, mógł również...

— Zaczekajcie chwilę — przerwał Poleon, a głos jego był tak miękki, jak głos kobiety. — Wspominałem wam, że i ja wiem coś o dolinie Czarnego Niedźwiedzia, pamiętacie? Może więc i mnie posądzacie o podstęp, co? Czemu nie powiecie szczerze?

Zdaleka dobiegał stuk siekiery Gale'a; stali we trzech, a Runnion z przerażeniem obserwował spokojną napozór twarz Poleona.

— Was nie znam zupełnie, — mówił dalej Poleon — ale stary Gale jest moim przyjacielem i radzę wam nie mówić więcej ze mną na ten temat.

— Nie oburzajcie się — perswadował Stark. — Powiedziałem tylko, że cała ta sprawa nieładnie wygląda.

Poleon odwrócił się pogardliwie plecami i począł oddalać się od nich wolnym krokiem.

Gdy zostali sami, Runnion zwrócił się do Stark'a ze swoim zwykłym szyderczym uśmiechem:

— Porucznik jest więcej mężczyzną, niż przypuszczałem.

— Dlaczego? — pytał Stark zaciekawiony.

— Wykradł zręcznie dziewczynę na całą noc, a przed ojcem jej udaje niewiniątko. Przypuszczam jednak, że stary wszystkiego się domyśla.

Stark zaśmiał się wulgarnie.

— I ja tak sądzę — rzekł.

— W ten sam pewno sposób Gale zdobył swoją squaw — dodał Runnion ze znaczącym uśmiechem.

W tej samej chwili Francuz, stojący wpobliżu, uczynił gest wskazujący, że słyszał całą rozmowę. Dziki krzyk dobył się z jego krtani i począł drżeć na całem ciele, jak w febrze. Nie był już teraz tym miłym, beztroskim chłopcem, nucącym wesołe piosenki. Bezsilny gniew, malujący się przed chwilą na jego twarzy, ustąpił miejsca niepohamowanej furji. Runnion przyglądał mu się z przerażeniem, a Stark zacisnął mocniej w dłoni siekierę. Poleon postanowił jednak widocznie zapanować nad swą wściekłością, dopiero bowiem po chwili podszedł do Runnion'a i rzekł ze spokojem prawie:

— Monsieur, albo jesteś pan dzielnym człowiekiem, albo skończonym kretynem.

— Co macie na myśli, Doret? — zapytał tamten, siląc się na uprzejmość.

— Ktoś musi zginąć po tem, co pan powiedział przed chwilą; albo pan, albo tamten. Dokładnie nie wiem jeszcze, ale proszę Boga, żeby to był pan, przypuszczam bowiem, że wszystko, coś pan mówił, było

najzwyklejszem kłamstwem, a nikomu nie wolno kłamać na temat Neci Gale.

Oddalał się wolno, brodząc wśród wysokich traw i krzewów, z głową opuszczoną na piersi, z ramionami podanemi ku przodowi i jak człowiek pijany, bełkotać począł jakieś wyrazy, których tamci nie rozumieli.

Gdy zniknął wreszcie na zakręcie zagajnika, Runnion odetchnął swobodniej.

— Zdaje się, że zgotowaliśmy miłą niespodziankę mr. Burrell'owi.

— Bo dziwnie postępujesz — łajał go Stark. — Wolałbym mieć do czynienia z bandą zbirów, niż z takim człowiekiem, jak Poleon Doret. Niespodzianka ta może nas drogo kosztować.

— Hm! Niema strachu. Przecież oficer naprawdę spędził całą noc z tą małą metyską i każdy orjentuje się chyba, że ona za nim szaleje. Więc cóż?

— Trzeba przyznać, że ładna szelma, — mlasnął językiem Stark — za ładna nawet na metyskę, ale nie możesz przecież wmówić Francuzowi, że ta mała się źle prowadzi.

— Dlaczego? — chichotał Runnion. — Jeżeli uwierzy... Najlepszy dowód, że jest zazdrosny, a i to jest mi wyjątkowo na rękę. Im więcej tamci będą się kłócić, tem większe będą moje szanse.

— Więc i ty masz na nią oko?

— Oczywiście! Czy macie mi to za złe?

— Nie, ale ona jest za dobra dla ciebie.

— A zatem i dla nich jest za dobra. Zamierzam rozpocząć kampanję.

— Zaniechaj lepiej, — radził Stark — zmęczysz

się, zanim dobiegniesz do mety. Mówiąc szczerze, bardziej może nie lubię jej ojca, niż ty jej konkurentów...

— Adoracja wzajemna; — zaśmiał się Runnion — Gale również was nienawidzi.

— ...nie chciałbym widzieć rodziny jego w bogactwie.

— Niestety, już się bogacą, a będą jeszcze bogatsi przez kopalnię.

Stark począł nasłuchiwać uderzeń siekiery; widocznie kupiec obszedł już tereny i wrócił do szałasu, martwa bowiem cisza panowała wokoło.

— Postaram się zniweczyć zamiary starego — rzekł Stark po chwili. — Muszę mieć to miejsce, na którem ta mała położyła swój podpis. Leży ono najbliżej działki Lee, więc z pewnością jest najbogatsze. Nasze działki stanowczo mają mniejszą wartość.

— Ale wszakże podpis dziewczyny jest zupełnie legalny — zauważył Runnion.

— Już mnie to pozostaw. Kiedy tamci tu będą?

— Jutro rano. Kazałem im wyruszyć w kilka godzin po nas i nie śpieszyć się zbytnio. Obozują prawdopodobnie niedaleko stąd, a jutro zjawią się o świcie.

— Jest ich trzech tylko?

— Tylu znalazłem; inni nie chcieli przystać na warunki.

— Czy można na nich liczyć?

— Naturalnie, — zapewniał Runnion — pracowali ze mną i Soapy na drogach do Skagway.

— Doskonale. Pięciu przeciwko trzem, nie licząc dziewczyny i porucznika. Uda się z pewnością.

Przedłożył swój plan Runnion'owi, poczem obydwaj wrócili do szałasu, gdzie zastali Lee, zajętego go-

towaniem wieczerzy. Poleon najmniejszym ruchem nie zdradził tego, co zaszło przed godziną; siedział teraz w kącie szałasu, nie odzywając się ani słowem.

Stark po wieczerzy rozwinął całą swoją elokwencję, zwracając się przeważnie do Neci, którą zdawał się mocno interesować. Widocznie był specjalistą w opowiadaniu ciekawych historyjek, w czem pomagała mu doskonała znajomość życia Zachodu. Opowiadaniem swem fascynował Necię, która od godziny już słuchała go z zapartym oddechem.

Poleon palił zawzięcie fajkę, siedząc w otwartych drzwiach szałasu, zmęczony dziwnie i apatyczny, choć oczy jego świeciły niesamowitym blaskiem i przenosiły się kolejno na każdego z obecnych. Jak przez mgłę dosłyszał słowa Stark'a:

— Dziewczyna ta była mniej więcej wzrostu pani, tylko jaśniejsza nieco. W wielu wypadkach przypomina mi ją pani ogromnie i dlatego widocznie przyszła mi ona na myśl. Prawdopodobnie była wówczas w pani wieku — miała lat osiemnaście.

— Ja nie mam jeszcze osiemnastu — rzekła Necia.

— Ładna była kobieta, najładniejsza ze wszystkich w Chandon; ogromną wywołało sensację, gdy wybrała Bennett'a, aczkolwiek twierdzili wszyscy, że była po słowie z młodym Gaylord'em. Ślub jej z Bennett'em odbył się spokojnie.

Opowiadanie nie interesowało Kanadyjczyka, nigdy nie lubił tego rodzaju historyj, tem bardziej teraz, gdy w duszy jego wrzał rozpętany żywioł, a w umyśle trwało jedno tylko pożądanie wzięcia się jak najrychlej do „roboty". Gdy obserwował Burrell'a i Runnion'a, pochylonych nad stołem i oglądających z zajęciem odro-

binę złotego piasku, przyniesionego przez Lee z nowych terenów, krew zaczęła się w nim burzyć na nowo, a bladą twarz wykrzywił bolesny skurcz bezsilnej wściekłości. Który z tych dwóch otrzyma zasłużoną nagrodę? przebiegło mu przez myśl. Z pod półprzymkniętych powiek dojrzał Gale'a, podnoszącego się powoli z łóżka Lee, gdzie siedział, paląc fajkę i dobywającego z za pasa sześciostrzałowy rewolwer. Kupiec zdjął czerwoną chustkę z szyi i wziął się do czyszczenia lufy rewolweru z głową pochyloną nisko na piersi.

— Zawsze był niezwykle dokładny i przewidujący; — pomyślał Poleon — widocznie i teraz nie chce się udać na spoczynek, nie doprowadziwszy broni do porządku.

— Nikt nie przypuszczał, że Gaylord będzie się gryźć z tego powodu, — mówił dalej Stark — nigdy bowiem nie sprawiał wrażenia człowieka zazdrosnego; pewnej jednak nocy, korzystając z nieobecności Bennett'a, dostał się cichaczem do jego domu.

Stark zamilkł na chwilę.

— Tak, tak. I co się stało potem? — nalegała Necia, zaciekawiona historją.

Lecz Stark przyglądał się teraz z uwagą własnym dłoniom, pragnąc widocznie przedłużyć przerwę w opowiadaniu.

— Była to jedna z najstraszniejszych zbrodni w owym czasie — rzekł po dłuższej chwili milczenia. — Gdy Bennett wrócił, zastał żonę zamordowaną; dziecko zniknęło z domu.

— O! — zawołała dziewczyna głosem, pełnym zgrozy.

— Tak, istne piekło nastało w miasteczku. Wszy-

scy mieszkańcy stanęli na jednem miejscu. Pogoń za mordercą (a i ja tam byłem wówczas przypadkowo) trwała cztery tygodnie. Wreszcie przepadł gdzieś wraz z dzieckiem w pustynnych obszarach Nevady.

— Biedny człowiek!

— Biedny? — opowiadający spojrzał na nią ze zdziwieniem i zaśmiał się nieprzyjemnie. — Nie wiem, z czego to pani wnosi.

— I nigdy się pan na niego nie natknął?

— Nie. Jeszcze nie.

— Prawdopodobnie umarł wraz z dzieckiem w pustyni.

— Wszyscy tak przypuszczali, ja jednak nie wierzę w to teraz.

— Jakto?

— Jestem pewien, że Gaylord żyje do dzisiaj, jak również i dziecko. Przyjdzie czas, że się spotkamy... — głos mu się załamał; przymknął nieznacznie powieki.

— Czyż nie można odnaleźć dziewczyny? — zapytała Necia. — Jak jej było na imię?

Nie usłyszano już odpowiedzi Stark'a, suchy bowiem trzask rozległ się w szałasie, wprawiając wszystkie sprzęty Lee w dziwaczne drżenie. Obecni porwali się na równe nogi, nagły [illegible] bowiem był czemś zupełnie nieoczekiwanem.

— Mój Boże! Zabiłem go! — wykrzyknął Gale i jednym susem znalazł się obok Stark'a. Rewolwer jego leżał na ziemi opodal miejsca, na którem siedział przed chwilą.

— Co to ma znaczyć? — zawołał Burrell.

Za odpowiedź posłużył porucznikowi ostry zapach prochu, wypełniający wnętrze izby oraz zmieniona na-

gle, starcza twarz Gale'a; bledsza ona była jeszcze, niż twarz jego córki, wspartej teraz bezsilnie o ścianę.

Stark nie był ranny zupełnie i przyjął całe zajście spokojniej, niż inni.

— Nie róbcie tragedji, — rzekł pojednawczo — nic się przecież nie stało nikomu.

— Ale jakim sposobem? — pytał Runnion Gale'a, zaszytego w najodleglejszy kąt izby.

Stary chciał odpowiedzieć, język jednak odmówił mu posłuszeństwa, potrząsnął więc tylko głową bezradnie.

Stark wskazał ze śmiechem tkwiącą kulę w ścianie opodal krzesła, na którem siedział.

— Niema o czem mówić, stary, — rzekł — kula padła o kilka cali za daleko. Wiecie przecież, że mnie się kule nie imają. Mogę być świetnym celem dla sześciostrzałowca.

— A co mówiłem? — zawołał Lee z triumfem, zwracając jedno swe oko w stronę oficera. — Pan się śmiał ze mnie, nieprawdaż?

— Sam gotów jestem w to uwierzyć — uśmiechnął się porucznik.

— Bo to jest prawda — rzekł Stark z przekonaniem.

Tylko Doret przez cały czas milczał. Siedząc na uboczu, obserwował zajście zdaleka, a teraz podszedł do łóżka i dotknął ramienia kupca, pogrążonego w głębokiem zamyśleniu.

— Wstańcie, John! Sacré bleu! Wyglądacie, jak trup. Wyjdźmy trochę na świeże powietrze.

— To ci dobrze zrobi, ojcze — dodała Necia.

Kupiec podniósł się w milczeniu, włożył kapelusz i niepewnym krokiem wyszedł za Francuzem z szałasu.

— Stary wziął to sobie do serca, — rzekł Lee, kiwając z politowaniem głową.

— Niejednokrotnie zdarzają się w wojsku podobne wypadki — zauważył Burrell. — Zazwyczaj w takich razach mimowolny sprawca wystrzału jest bardziej przerażony, niż jego towarzysz.

— Muszę to nazwać djabelną nieostrożnością z przeproszeniem pani, miss Necia — rzekł Runnion.

Poleon prowadził przyjaciela wąską dróżką o jakie pół mili od szałasu. Milczeli obydwaj, aż wreszcie Gale mruknął na swe usprawiedliwienie:

— Nigdy nie zrobiłem nic podobnego, Poleon, nigdy w życiu.

Młodzieniec zwrócił się twarzą ku mówiącemu; światło księżyca padło na chwilę na blade ich oblicza.

— Dlaczego? — zapytał Doret.

— Dlaczego? — powtórzył Gale, jak echo. — Prawdopodobnie dlatego, że jestem uważny.

— Dlaczego? — nalegał Francuz.

— Ja-ja-ja... Co masz na myśli?

— Nie kryjcie przede mną, John. Obserwowałem was zdaleka. Obejrzeliście się, czy nikt na was nie patrzy.

— Widziałeś?

— Tak.

— A ja byłem pewny, żeś zasnął — wyszeptał Gale.

VIII. Nóż.

W każdem najmniejszem nawet społeczeństwie zdarzają się niepożądane i poprostu zawadzające ogółowi jednostki. Trzej tacy niepożądani goście zjawili się następnego ranka przed szałasem Lee, w chwili, gdy obecni w szałasie kończyli spożywanie śniadania. Przybysze zrzucili z ramion plecaki i pozdrowili z nonszalancją śniadających.

— Ślicznie, ślicznie! — zawołał Lee, podchodząc do drzwi. — Czy nie przybyliście nieco za wcześnie?

— Za wcześnie i za późno zarazem — zaśmiał się jeden z przybyłych, gdy tymczasem dwaj inni rozłożyli się wygodnie, aby odpocząć.

— Skąd przyszliście?

— Zniedaleka — odparł ten, który śmiał się przed chwilą.

Istnieje na Północy zwyczaj, który nakazuje każdego spotkanego człowieka gościnnie nakarmić, bez względu na to, czy jest on przyjacielem, czy też wrogiem. Pomny tych szlachetnych zasad, Lee zaproponował uprzejmie:

— Może zjecie z nami śniadanie?

— Jedliśmy przed kwadransem. — Nastała nie-

przyjemna cisza, poczem przybysz mówił dalej. — Posłuchajcie. Przystąpmy odrazu do rzeczy. Musimy dostać część tego wybrzeża.

— I co będziecie z niem robić?

— Wytniemy je, Lee, a potem zobaczy się.

— Kto dał wam tę myśl? — indagował gniewnie górnik, miał bowiem kilku przyjaciół, którym pragnął oddać pozostałe działki na terenach.

— Co za różnica, kto nas uświadomił; dość, że jesteśmy tu, nieprawdaż?

Stark wmieszał się do rozmowy.

— Trudno przecież, Lee, — rzekł — zachować tajemnicę odkrycia, gdy wiatr wieje. A wieść ta roznosi się z każdym podmuchem wiatru.

Stało się! Mowy nie mogło być o dalszem ukrywaniu, więc Lee opowiedział przybyszom o swem odkryciu, zaznaczając, że niektóre udziały są już zarezerwowane.

— Widzicie, chłopcy, — kończył — czterdzieści lat pracowałem w tem, a nigdy jeszcze nie miałem kopalni mego imienia. Ta zato musi się nazywać „No Creek", albo „Lee Creek". Czy dobrze będzie?

— Naturalnie, bardzo dobra nazwa, będziemy za nią głosować.

— A zatem idźcie, gdzie chcecie — rzekł górnik, lakonicznie ich żegnając.

— Pójdę z nimi, aby im pokazać miejsca zarezerwowane — zaofiarował się Stark, do czego przyłączył się również Runnion, tłumacząc, że należy uczynić wszystko, aby na samym bodaj wstępie uniknąć wszelkich możliwych scysyj.

Pięciu mężczyzn zniknęło w zaroślach, pozostawia-

jąc resztę w szałasie, zajętą przygotowaniami do powrotnej drogi.

— Ten, który mówił za wszystkich, — rzekł Gale, gdy przybysze wraz ze Stark'iem i Runnion'em się oddalili — jest zwykłym szulerem; przybył on tu tak, jak Runnion, przed niespełna miesiącem. Dwaj jego towarzysze też nie są lepsi.

— Nigdy sobie nie przebaczę — biadał Lee. — Jest kilkunastu porządnych ludzi w obozie, których pragnąłbym zobaczyć na odkrytych przeze mnie terenach, ale, niestety, za późno już będzie na to po naszym powrocie.

— Stark i Runnion zagarnęli najlepsze udziały w Klondike — wtrącił Poleon. — Przypuszczam, że i tutaj uczynią to samo.

— Nie mogę znieść ich widoku — zauważył porucznik w zamyśleniu. — Obawiam się, że myślą oni o jakimś podstępie.

— Nic nie mogą uczynić — odparł Gale. — Zajęliśmy swoje działki, a oni mogą sobie wybierać dowolnie z tego, co zostało.

Wszystko było już gotowe do powrotnej drogi do Flambeau, gdy tamtych pięciu wróciło do szałasu.

— Przed wyruszeniem w drogę — zagaił Stark — najlepiej byłoby zakreślić granice naszych udziałów. Jest nas wystarczająca liczba, aby to uskutecznić.

— Należy utworzyć coś w rodzaju prawa, zanim się weźmiemy do roboty, — wtrącił Runnion — oraz wybrać sekretarza, któryby zapisywał wszystkie nasze uchwały.

— Najchętniej zgodziłbym się, gdybyście Lee powierzyli tę pracę — rzekł Gale. — Należy mu się to

słusznie, jako odkrywcy, a przypuszczam, że i los nam sprzyjać będzie, dużo bowiem trudu kosztowało Lee to odkrycie.

— Bardzo mi będzie miło — odparł Stark i zabrał się zaraz do zwołania posiedzenia.

Oczywiście, na samym wstępie obcy przybysze obwołali Stark'a przewodniczącym. Lee zaś, jako sekretarz, miał zapisywać wszystkie postanowienia zebranych i świeżo uchwalone przez nich prawa.

Gromadka zainteresowanych usadowiła się na niewielkiej, wolnej przestrzeni przed szałasem dla omówienia warunków i praw na odkrytych terenach. Przed ustanowieniem sądów na Alasce wszystkie kwestje, a nawet sprawy kryminalne rozsądzane były w ten sposób. Było to prymitywne prawo większości głosów, znajdujące zastosowanie w każdym nowym kraju, a późniejsze sądy liczyły się po większej części i aprobowały prawa w ten sposób ustanowione, aczkolwiek niejednokrotnie kodeksy „większości“ obfitowały w całą masę niedorzecznych i oryginalnych paragrafów. W zasadzie „rządy górników“ uznawane są do dnia dzisiejszego przez tych, którzy przebywają pod ich panowaniem i są niejako drobnemi cząstkami wielkiej górniczej machiny.

Prawo zezwala sześciu, lub więcej ludziom do zorganizowania „obwodu górniczego“ z przyjęciem wszystkich paragrafów „rządu“, procedura więc rozpatrywania wszelakich kwestyj jest najzupełniej zwykła i nieskomplikowana.

Lee niewiele korzystał z nauki w latach młodości, to też pisanie przychodziło mu z ogromną trudnością, co opóźniało naturalnie bieg posiedzenia.

Dla Neci przyjmowanie czynnego udziału w zebraniu było czemś zupełnie nowem i niezwykle ciekawem; z dumą odpowiadała pierwsza na każde zapytanie, nie zwracając uwagi na posępną twarz Burreli'a, który, jako neutralny obserwator, doszedł do wniosku, że posiedzenie nie było utrzymane w granicach zakreślonych przez prawo. Kwestje omawiane były zbyt łagodnie, a posiedzenie sprawiało wrażenie raczej próby teatralnej. Poleon i kupiec zdawali się nie dostrzegać tego, Lee zaś zaabsorbowany był wyłącznie wielce nieudolną ortografją, Burrell więc postanowił mieć oczy na wszystko szeroko otwarte.

Punktem kulminacyjnym było przyjęcie praw, po formalnem skompletowaniu „obwodu". Kwestje te omówione były tak pobieżnie i z taką typową ignorancją, że to wszystko razem wydało się śmiesznem poprostu oficerowi, widział bowiem, że ludzie ci mają niezwykle poważne twarze, jakgdyby walczyli o rzeczy najważniejsze. Jednocześnie zauważył błysk niechęci Stark'a w stosunku do kupca i to go najbardziej zastanowiło.

Runnion wysunął wniosek, że kobietom nie wolno rezerwować udziałów na terenach kopalnianych, co, oczywiście, poparł jeden z trzech przybyszów.

— Co takiego? — zawołał Lee, podnosząc jedno swe oko z nad zeszytu, w którym wszystko protokółował.

— Nie wolno dopuszczać kobiet do spraw górniczych — rzekł Runnion.

— Jestem tego samego zdania — dorzucił najbardziej elokwentny przybysz.

— Prawdopodobnie tyczy się to mojej dziewczy-

ny — zawołał Gale, porywając się na równe nogi. — Powinienem się był domyśleć, że szykujecie jakiś podstęp.

Poleon również wstał z miejsca, przyłączając się do oburzenia kupca.

— Ba Gar! Nigdy nie przystanę na to — zawołał podniecony. — Chcecie unieważnić podpisy Neci, co?

— Dopóki jestem przewodniczącym, nie pozwolę na takie grubjaństwa — oznajmił Stark, mierząc ich niechętnym wzrokiem. — Jeżeli stwarzacie jakieś spory, rozsądzi je, oczywiście, zgromadzenie i stosować się będziemy do praw ustanowionych.

Nie starał się teraz zupełnie ukrywać swej niechęci do Gale'a, który oponował dowodzeniom jego ze szczerem oburzeniem. Dostrzegłszy nieporozumienie, Necia podbiegła do ojca, orjentując się, że ona tu była głównym powodem scysji.

— Nie, nie, nie martwcie się — prosiła, tuląc się do kupca. — Zajmij miejsce, chociażby ze względu na mnie. — Poczem dodała szeptem: — czy nie widzisz, że ten chce wywołać kłótnię? Ich jest za dużo. Zaczekaj! Zaczekaj!

Burrell chciał zabrać głos w tej chwili, lecz Stark, jako przewodniczący, zwrócił się doń groźnie:

— W danej chwili nie wolno się panu wtrącać, panie oficerze. To są wyłącznie nasze interesy. Zrozumiał pan?

Porucznik pojął, że z głosem jego nikt się tu liczyć nie będzie; po chwili usłyszał znowu słowa Stark'a, zwrócone w kierunku Johna Gale'a.

— Nie tyczyło się to specjalnie was, Gale, ani też waszej dziewczyny, niepotrzebne bowiem zupełnie

byłoby unieważnienie jej podpisu. Nie jest ona jeszcze pełnoletnią, a zatem nie może być właścicielką kopalni.

— Ma lat osiemnaście — oznajmił kupiec.

— Zdaje się, że jeszcze nie skończone.

— Mogę więc zaopiekować się jej udziałem do chwili, gdy skończy lat osiemnaście.

— Doszliśmy przed chwilą do wniosku, że nie możecie — uśmiechnął się chytrze Runnion. — Nikt nie ma prawa kłaść więcej podpisów na terenach, niż jeden. Sami domagaliście się tego wszakże.

Zbyt późno Gale zrozumiał zręczny podstęp, dzięki któremu Stark sprowokował go do ograbienia własnej córki. Lee uważany był ogólnie za człowieka powolnego w słowie i w czynie i rzadko kto potrafił go wyprowadzić z równowagi, tym razem jednak krew widocznie w nim wrzeć poczęła, porwał się bowiem z miejsca i krzyknął z niepohamowaną furją:

— Jesteście najzwyklejszą bandą łobuzów, jeżeli chcecie obrabować biedną dziewczynę. Kto was sprowadził tutaj? Kto odkrył pokłady złota? To, że możecie przegłosować takie łajdactwo większością głosów, nie znaczy, że głosowanie wasze jest prawne, ja tego bowiem nie zaprotokółuję. Wy, wy — popatrzał wokoło nieżyczliwie, jakgdyby w poszukiwaniu odpowiedniego epitetu, a znalazłszy go wreszcie, rzucił przez zaciśnięte zęby: — wy durnie!

— A więc dlatego Stark i Runnion zamówili tych trzech zbirów — pomyślał Burrell. — Najprawdopodobniej Stark'owi zależało głównie na tem, aby zdyskwalifikować podpisy Neci na działkach — zarezerwowane bowiem wpobliżu miejsc Lee, były z pewnością

najbardziej wartościowemi — i zrabować te działki poprostu dla siebie. W tej samej chwili nagła myśl zaświtała Burrell'owi. Poleon mówił właśnie i uwaga wszystkich skierowana była na niego; nikt nie interesował się teraz porucznikiem. Wysunąwszy się przeto poza szczytową ścianę szałasu, Burrell puścił się biegiem przed siebie, będąc w ciągłej obawie, że ktośkolwiek, zauważywszy nieobecność oficera, będzie się starał pokrzyżować jego zamiary. W kilka minut potem był już na miejscu zarezerwowanem przez Necię, oddychając ciężko ze zmęczenia. Przebiegł milę prawie, a teraz, wracając wolno do szałasu, uśmiechał się z zadowoleniem, że udało mu się dopomóc staremu kupcowi i jego córce. Zebranie kończyło się właśnie, gdy Burrell zbliżał się do szałasu; z triumfującego spojrzenia Runnion'a łatwo się było domyśleć, że akcje Gale'a, Poleona i Neci stoją bardzo nisko. Dziewczyna stała teraz na uboczu, sprawiając wrażenie małego, pokrzywdzonego dziecka, które lada chwila wybuchnie głośnym, nieutulonym płaczem.

Runnion zwrócił się do reszty konspiratorów:

— Doskonale, chłopcy, mamy więc trzy podpisy do unieważnienia. Przykro mi, że jednego z tych miejsc nie mogę zarezerwować dla siebie.

— Sądzę, że niedługo będą leżały odłogiem — rzekł jeden z niepożądanych przybyszów, kierując się w dół rzeki, gdy tymczasem dwaj jego towarzysze zamierzali wyruszyć w przeciwnym kierunku.

— Za późno, chłopcy — powstrzymał ich Burrell.— Na nic się nie przyda wasza gra. Nie przerażajcie się, ja już tam byłem.

Gale spojrzał z zaciekawieniem na młodzieńca.

— Co pan ma na myśli?

— Na miejscu tamtych podpisów położyłem własne sygna.

— Pan położył sygna! — zawołała Necia.

— Oczywiście! Zmieniłem swe dotychczasowe zdanie.

— To kłamstwo! — krzyknął Runnion.

— Czekałem na to, Runnion, — rzekł spokojni porucznik — od chwili powrotu waszego do Flambeau Teraz...

— Chciałem powiedzieć, że przecież nie miał pan czasu — poprawił się śpiesznie tamten.

— Widzicie, to brzmi lepiej! Skoro nie wierzycie — zobaczcie sami; znajdziecie podpis mój poniżej podpisu miss Gale. — Zwrócił się potem do Lee: — proszę to łaskawie zaprotokółować, aby nie było potem jakichś kwestyj pierwszeństwa.

— Niech mnie djabli porwą, jeśli nie uczynię tego! — zawołał wojowniczy sekretarz. — Działki te należą do Neci Gale.

Przez cały czas Stark nie wyrzekł ani słowa, starając się zachować jak największy spokój i pozorną obojętność; dopiero teraz zaczął mówić z odrobiną ironji

— Szaleńcem jest ten, kto twierdzi, że armja amerykańska nie posiada energji — poczem zwrócił si bezpośrednio do Burrell'a. — Jest pan zupełnie niezwykłym człowiekiem, stwarzającym zmartwien swym przyjaciołom.

— Nie jest pan przecież moim przyjacielem — odciął się Burrell.

— Ja? A cóż to ma do rzeczy? [113]

— Bo tylko pana chciałbym unieszczęśliwić, Stark, nikogo więcej.

Porucznik patrzał nań teraz takim wzrokiem, jak wówczas na Runnion'a, gdy ten po raz pierwszy przybył do Flambeau. Myśl, że tych pięciu zbirów połączyło się poto, aby ograbić bezbronną dziewczynę, wzbudziła w nim wściekłość niepohamowaną.

— Niema o czem mówić — rzekł po chwili milczenia, nie odrywając wzroku od pobladłej twarzy Stark'a. — To wszystko jest przecież pańską sprawką; chciał pan posiąść tę działkę, będąc pewnym, że jest ona najżyźniejsza.

Stark posiniał z gniewu, lecz oficer nie dał mu dojść do słowa.

— Proszę się nie unosić, — rzekł — bo przykroby mi było prowadzić pana do Flambeau jako więźnia.

Po chwili porucznik znowu zwrócił się do Lee:

— Bądźcie łaskawi zapisać mnie jako udziałowca. Będę figurował na terenach, dopóki panna Gale nie ukończy ośmnastu lat.

— Monsieur, — zawołał Poleon, zbliżając się do Runnion'a — czy pamiętacie co wam wczoraj powiedziałem? Dochodzę do wniosku, że domysł mój był słuszny.

Runnion zbladł z gniewu, lecz milczał. Necia klasnęła w dłonie radośnie.

Widząc, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu, Stark postanowił zmienić pozornie dotychczasową taktykę, wzruszył więc tylko ramionami i uśmiechnął się jak najuprzejmiej.

— Pan jest w błędzie, panie poruczniku; — zauważył — nie mam zamiaru stwarzać jakichkolwiek

scysyj. Pan jest między nami jedynym przedstawicielem prawa. — Skinął na Runnion'a i trzech towarzyszy-spiskowców. — Chłopcy, ruszamy w powrotną drogę! — zawołał.

Gdy wszyscy pięciu zniknęli u zejścia do doliny, poza gęstwiną rozłożystych krzewów Gale wyciągnął dłoń do oficera.

— Młodzieńcze, — szepnął — mam nadzieję, że będziemy serdecznymi przyjaciółmi.

— Dziękuję panu — odparł Burrell, przyjmując z radością ofiarowaną przyjaźń kupca.

— Pięknie się pan spisał! — Lee głośno wyraził swą pochwałę. — Każdy przyznałby panu słuszność.

Poleon, który obserwował znikającą w oddali bandę Stark'a, zwrócił się teraz do oficera:

— Będzie pan mieć nowych wrogów, monsieur.

— To prawda — przyznał Lee. — Ben Stark nigdy już panu nie zaufa.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— Nie orjentuje się pan, co znaczy nienawiść takiego człowieka, jak on — ciągnął Lee dalej. — Tak długo będzie pod panem kopać, aż zasypie pana ziemią. W ten sam sposób zginął ów komisarz z brytyjskiej Kolumbji.

Aczkolwiek Necia mówiła do tej pory niewiele, spojrzenie jej, pełne gorącego uczucia, spoczywało przez cały czas na zuchwałej twarzy porucznika; teraz podeszła doń i małe swe rączki złożyła w jego dłoniach.

— Proszę przyrzec, że nie będzie pan z nim zadzierać, — prosiła zalękniona — bo to przecież tylko z mojej winy, a nigdybym sobie nie wybaczyła, gdyby

on wyrządził panu jakąś krzywdę. Proszę mi przyrzec, dobrze?

— Bądź spokojna, córko — upewnił Gale. — Stark nic złego uczynić nie może, zresztą cokolwiek miałoby się stać, zewsze będziemy po stronie porucznika, bo przecież on nasz.

Burrell lubił tego zgryźliwego nieco starca, obserwującego wszystkich przezornie, a teraz zadowolony był, że mógł serdecznie uścisnąć tę dłoń spracowaną i spojrzeć głęboko w szare, poczciwe oczy.

Tymczasem Doret ukończył składanie kołder, wyruszyli więc wszyscy w powrotną drogę pod przewodnictwem Neci, która prowadziła ich znowu przez dolinę Czarnego Niedźwiedzia. Po ujściu kilkuset kroków dziewczyna skorzystała z okazji szepnięcia paru słów Burrell'owi, który pozostał za innymi wtyle.

— Nie mogłam podziękować ci przy wszystkich, — szepnęła — poprostu bałam się, ażeby nie domyślili się wszystkiego, ale ty wiesz najlepiej, co czuję, Meade?

— Przecież to była rzecz tak zwykła...

— Cudowne było, gdyś się im przeciwstawił. Boże, jakże ja się bałam! Chłopcze! A co będzie, jeżeli oni mścić się zechcą na tobie?!

— Niema mowy. Wszystko jest załatwione, a ty będziesz miała piękne toalety i zostaniesz wkrótce wielką damą.

— Wszystko, co mieć będę, zawdzięczać będę zawsze tobie. M-m-m-myślałam o tem... Może... możebyś zatrzymał dla siebie tamte dwie działki; na pewno będą one bardzo urodzajne w złoto.

— Co ty wygadujesz, Neciu! — zawołał.

— Przecież one są twoje i zasadniczo nie mam do

nich prawa. Oczywiście, bardzo ładnie będzie z twojej strony, jeżeli ofiarujesz mi jedną z nich — najuboższą.

— Głupstwa pleciesz, moja mała — śmiał się wesoło.

— Nie pojmuję, dlaczego. Ty — ty jesteś najbiedniejszy ze wszystkich, których znam.

— To prawda, — przyznał — lecz nie jestem tak biedny, aby brać zapłatę za drobne przysługi.

— A zatem świetnie. Jeśli te wszystkie działki są moje, mogę ci jedną z nich sprzedać.

— Dziękuję. Nie wolno mi korzystać z twej oferty — rzekł z udaną wesołością.

— Gdybyś nie był wojskowym, lecz człowiekiem interesu, z pewnością nie odrzuciłbyś mej propozycji. Podam ci cenę najniższą, a ty zapłacisz mi, gdy dojdziemy do tamtej grupy krzewów.

Rozchyliła ponętnie usteczka, lecz on bąknął coś o jej małoletności, co, oczywiście, nie pozwalało omawiać spraw handlowych.

Ona ze swej strony chętnieby w tej chwili zawróciła zpowrotem do doliny, aby raz jeszcze przeżyć przy boku ukochanego parę szczęśliwych godzin zdala od ludzi; porucznik nie przystałby jednak na to, kierując się prostą męską trzeźwością. Zdawał sobie doskonale sprawę, że nigdy już nie uda się z Necią do „Doliny Szczęścia", dziewczyna ta bowiem nie powinna być zabawką ani dla niego, ani też dla żadnego innego mężczyzny, a ponieważ nie mogło być mowy o honorowem zakończeniu całej tej historji, należało więc przerwać to jak najśpieszniej. W jaki sposób uskutecznić przerwanie, porucznik sam jeszcze nie wiedział, myślał bowiem, że będzie na zawsze po-

zbawiony widoku dziewczyny, sprawiała mu ból niewymowny. Necia była jeszcze dzieckiem prawie, z łatwością więc przyjdzie wykorzenić z serduszka jej to pierwsze marzycielskie uczucie, gdy tymczasem dla niego będzie to o wiele trudniejsze — z pewnością nie zapomni jej nigdy, chociaż powinien starać się o to jak najusilniej. Myślał teraz o konieczności tej zupełnie trzeźwo i trzeźwość ta dodała mu trochę otuchy. Po chwili jednak przypomniał sobie ciepło jej świeżych warg i silne to wspomnienie poczęło staczać zaciętą walkę z panującą przez chwilę logiką. Stanowczo zbyt słabą miał wolę, aby zakończyć uczciwie tę kwestję i po dłuższem rozmyślaniu doszedł do wniosku, że najlepiej będzie pozostawić wszystko biegowi czasu.

Necia sprawiała wrażenie ogromnie szczęśliwej, co stanowiło kontrast z przygnębieniem Poleona i Gale'a, którym zdarzenia ostatnich kilku godzin przysporzyły nowych zmartwień i przykrości. W niedwuznaczny sposób stary kupiec okazał ostatniej nocy niechęć swą do Stark'a, to jednak nie starał się usprawiedliwić gwałtownego czynu swego przed Poleonem, który, będąc niezwykle subtelnym, postanowił nie wszczynać więcej tego tematu. Bo czyż stary jego przyjaciel nie był wyjątkowo przyzwoitym człowiekiem? Czy nie starał się unikać wszelkich nieporozumień nawet ze Stark'iem? Młody Francuz zdawał sobie dokładnie sprawę, że Gale musiał mieć ważne jakieś powody, które wywołały zupełny brak panowania nad nerwami.

Straszliwa tajemnica płonęła w duszy Gale'a od lat piętnastu, tocząc myśli jego i organizm, jak czerw toczy drzewo, które z biegiem czasu próchnieje. Jedyną

osobą, z którą kupiec mógł mówić o tem, była Alluna, a rozmowy takie sprawiały mu zazwyczaj pewną ulgę.

Gromadka nasza dotarła do Flambeau dopiero dnia następnego, wyprzedzając jednak Stark'a i jego towarzyszy, co niezmiernie uradowało Lee, który z kilku przyjaciółmi swymi, zamieszkałymi w obozie, chciał się podzielić wiadomością o cudownem odkryciu. O zachodzie słońca obóz był wyludniony zupełnie, a całe masy obywateli Flambeau ciągnęły powoli w kierunku nieznanej doliny.

Gale zastał Allunę w sklepie, nie mógł jednak mówić z nią swobodnie. Dopiero późnym wieczorem, gdy Necia za przykładem malców również udała się na spoczynek, stary kupiec skorzystał z okazji zdania relacji swej squaw. Przyjęła wiadomości spokojniej, niż przypuszczał i nie okazała najmniejszego cienia emocji nawet wówczas, gdy opowiedział jej o niefortunnym strzale.

— Dlaczego chciałeś dokonać tego w obecności wszystkich? — zapytała ze zwykłą prostotą.

— Słuchając jego opowiadania, zapragnąłem nagle zabić go, a pragnienie to było tak silne, że nie umiałem się pohamować; poprostu graniczyło z szaleństwem prawie. Nigdy przecież nie uczyniłem czegoś podobnego. — Zadrżał na samo wspomnienie zajścia.

— Przykro mi — szepnęła Alluna.

— Tak! Mnie również!

— Przykro mi, żeś chybił, bo wątpię, czy nadarzy się kiedyś podobna okazja. Jakżeś celował? Zawsze byłeś takim doskonałym strzelcem.

— Ten człowiek jest czarodziejem; — mruknął Gale — kule go się nie imają.

— Bywają tacy — przyznała. — Między naszymi w plemieniu był również jeden taki — wróg mego ojca, — ale od stali uchronić się nie mógł.

— Zabił go twój ojciec, co?

Skinęła głową.

— Brr! — zatrząsł się starzec. — Nie mógłbym tego uczynić. Rewolwer jest przyjacielem ludzi uczciwych, lecz nóż — bronią zdrajców.

— Czy on się czegoś domyśla?

— Nie.

— A zatem to jest bagatela. Zastawimy pułapkę.

— Nie, na Boga! — przerwał Gale z lękiem w głosie. — Pogardzam tem! Zabójcą nie byłem nigdy.

— To są tylko słowa — rzekła spokojnie kobieta. — Prawo nakazuje zabijać wrogów.

W pokoju było zupełnie ciemno, tylko ogień z ustawionego w kącie pieca rzucał na ściany tajemnicze, drgające blaski, rysujące się na brunatnem tle drewnianych belek niesamowitym kształtem konturów.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, kobieta zniknęła na chwilę w ciemnościach przyległej izby, poczem wróciła, kryjąc w fałdach sukni jakiś przedmiot. Podała go kupcowi; był to stary, zużyty nóż w skórzanej pochwie.

— Żadna siła czarodziejska nie uchroni go od stali — wyszeptała Alluna, usuwając się w ciemny kąt, zdala od tańczących na ścianie płomieni.

Gale wyciągnął nóż z pochwy, próbując ostrość stali na dłoni.

— Dziecko mogłoby tem zabić — rzekła Alluna. — Ostrze jest tak cienkie, że zanurza się w ciele bez bólu.

Widok połyskującej w blasku ognia stali zdawał się

fascynować Gale'a, wpatrzonego w cienkie ostrze śmiercionośnego noża. Po dłuższej chwili milczenia stary kupiec zaczął mówić przyciszonym głosem:

— Piętnaście lat noszę z sobą tę straszną tajemnicę i pewien jestem, że zabijając tego człowieka, zabiłbym jednocześnie wszelką pamięć o tem, co było; wówczas byłbym wolny nareszcie od dręczącej mnie zmory. Jednakże myśl o zabójstwie przeraża mnie... uciekam od niej zawsze, choć od lat kilku przeczuwałem, że z wrogiem moim spotkam się kiedyś. Teraz, gdy chwila ta nadeszła, jestem niezdecydowany. Chętnie umknąłbym znowu przed tym człowiekiem, ale granica tu się kończy właśnie. Tak długo myślałem o tem spotkaniu, a teraz jestem na nie zupełnie nieprzygotowany.

— Zabij go! — rzekła Alluna.

— Zawsze byłem wrogiem zmartwień, a przecież martwić się muszę, gdy on żyje. Zawsze pragnąłem umrzeć normalnie, a wszakże on jest mordercą i okrucieństwo czai się w jego oczach. Może los zechce, abyśmy żyli tu obydwaj długie lata... Przeznaczenie niechaj rozsądzi moje z nim porachunki.

— Zabij go! To twoje prawo! — powtórzyła Alluna uparcie, lecz on potrząsnął przecząco głową i ociężale podniósł się z miejsca.

— Nie! Nie przypuszczam, abym to mógł uczynić, w każdym razie z zimną krwią nie zrobię tego nigdy. Dobranoc! Należy przespać wszystkie niezdecydowane zamiary.

Skierował się do drzwi sypialni, a gdy wychodził, kobieta dostrzegła połyskujący nóż w zaciśniętej jego dłoni.

IX. *Przebudzenie.*

Następnego dnia, wczesnym rankiem, gdy kapral Thomas wszedł do sklepu, zastał za ladą Necię; zastępowała ona nieobecnego chwilowo kupca. Od dnia, kiedy dziewczyna po raz pierwszy zapytała o Burrell'a, kapral korzystał z każdej sposobności pogawędzenia z nią, a gdy dzisiaj po przywitaniu zapytał o szczegóły cudownego odkrycia Lee, opowiedziała mu o swej eskapadzie z porucznikiem i o wszystkiem, co zaszło podczas ostatnich paru dni.

— Widzi pan, jestem teraz właścicielką kopalni — dodała przy końcu opowiadania. — Powiedziałabym panu wcześniej, gdyby nie było to tajemnicą; mógłby pan być również jednym z pierwszych.

— Wybiorę się tam w każdym razie, — rzekł — jeżeli tylko porucznik mi pozwoli i jeżeli nie będzie za późno.

Necia poradziła mu udać się doliną Czarnego Niedźwiedzia, ażeby zaoszczędził sobie kilka godzin drogi.

— Więc i pani z porucznikiem szła tamtędy? — zauważył, spoglądając na nią złośliwie. — Poszliście państwo z ojcem pani, prawda?

— O, nie! Wyprzedziliśmy go — odparła i zatopiła się w marzeniu o chwilach spędzonych przy boku Meade'a. Oczy jej błyszczały, a policzki pałały rumieńcem podniecenia.

Dostrzegłszy to, kapral umocnił swe podejrzenie, które zrodziło się przed kilku tygodniami w jego umyśle. Wymownym z natury nie był, jednak lubił ogromnie przyjmować jakikolwiek udział w historjach romantycznych, a zresztą Necia wpadła mu naprawdę w oko.

— Porucznik jest eleganckim młodzieńcem — zaczął ostrożnie. — Nic więc dziwnego, że położył swoje podpisy. Miło jest przysłużyć się takiej, jak pani, dziewczynie — widziałem go już niejednokrotnie w podobnej sytuacji w stosunku do innych kobiet...

— Co takiego? — zawołała Necia — w stosunku do innych kobiet?

— Tak. Zawsze lubił wyświadczać przysługi, przez które miał potem duże nieprzyjemnosci.

— Z mego powodu zmartwień mieć nie będzie, chyba, że Stark i Runnion coś zamyślają.

— Wątpię — rzekł kapral, szukając drogi, wiodącej do wytkniętego celu. — Oczywiście, doniesie się to do głównej kwatery na pewno. Również ,cośniecoś słyszałem o tem w obozie i obawiam się, aby nie doszło to do rodziny porucznika.

Kapral przekonywał się coraz bardziej, że sprawa nie była tak łatwą, jak mu się wydawało.

— Nic nie rozumiem — rzekła Necia. — Przecież na miejscu porucznika każdy postąpiłby tak samo.

— Nie o każdym przecież ludzie mówią — wtrącił kapral. — Obywatele tutejsi twierdzą, że państwo

jesteście w sobie zakochani. — Mówił śpiesznie, nie pozwalając jej dojść do słowa. — Oczywiście, są to tylko plotki, pani bowiem jest za piękna na takie rzeczy.

— Za piękna? — zaśmiała się Necia.

— Chciałem powiedzieć, że jest pani za piękna i za dobra, aby cię miano oszukać, on zaś musi się liczyć z opinją, która nazwałaby ten związek mezaljansem.

— Więc rodzina jego zwraca uwagę na takie rzeczy? — zapytała dziewczyna. Byli sami w sklepie, więc mogli rozmawiać zupełnie swobodnie. — Przypuszczam, że pan wie coś o tem?

— O Boże! Czy zwracają uwagę?

Kapral Thomas śmiał się nienaturalnie, co najbardziej irytowało Necię.

— Właściwie dlaczego? Chciałabym wiedzieć. Wszakże jestem równie ładna, jak inne dziewczęta i niegorsza od nich. Wiem tyle, ile one wiedzą, z wyjątkiem pewnych rzeczy.

— Na pewno wie pani więcej od innych — oznajmił kapral z zapałem. — Gdyby pani jednak znała życie tamtych ludzi, pojęłaby pani, że to wszystko jest naprawdę niemożliwe. Nie chciałbym dotknąć pani, bo lubię panią bardzo, panno Neciu. Zdaje mi się, że jestem pani ojcem, choć znam panią dopiero od kilku tygodni.

— Proszę mówić jaśniej; zaręczam, że mnie to nie dotknie — nalegała dziewczyna. — Musi mi pan powiedzieć. Sama niewiele wiem o tem wszystkiem, całe bowiem swe życie spędziłam z takimi ludźmi, jak ojciec mój, Poleon i księża misyjni. Lecz znajdzie się kiedyś taki, który będzie chciał, abym została jego żo-

ną, powinnam więc wiedzieć cośniecoś o swej wartości.

Smagła jej twarzyczka spłonęła ciemną purpurą rumieńca.

Kapral Thomas miał teraz takie uczucie, jakby zranił jakieś bezbronne zwierzątko szlachetniejszego gatunku. Począł się cofać niezręcznie, ale mu się to dziwnie jakoś nie udawało, straciwszy więc cierpliwość, ciągnął cierpko dalej:

— Opowiem pani pewną historję, nie dlatego, że zastosować ją można do porucznika Burrell'a, lub też, że jest on w pani zakochany, to jego osobista sprawa...

— Oczywiście — mruknęła.

— ...ale poprostu pragnę pani wytłumaczyć; co o tem myślę. Dawno to już bardzo stacjonowany byłem w twierdzy Supply, która była wówczas granicą, jak dzisiaj Flambeau. Kobiety nie było tam na lekarstwo, oprócz kilku brzydkich żon miejscowych oficjalistów. Miejscowości takie, jak Supply, dobre są dla ludzi żonatych, kawalerom jednak trudno wytrzymać na takiem odludziu; kompletnie po dłuższym pobycie człowiek musi zdziwaczeć. Otóż był tam z nami kapitan, człowiek młody, ogromnie podobny do naszego porucznika i usposobieniem też go przypominający; pochodził z pierwszorzędnej rodziny, mieszkającej na Zachodzie, a mimo swych lat dwudziestu pięciu miał już rangę kapitana. Starszy nasz frajter ożenił się z Indjanką i zbogacił się w Supply w ciągu lat kilkunastu. Miał on córkę, która mieszkała wraz z rodzicami w twierdzy; piękną miała twarz i niezwykle zgra[illegible] figurę. Tysiąc razy była ładniejsza od wszystkich [illegible] biet w twierdzy, a co do majątku, to ojciec [illegible]

kupić wszystkich naszych oficerów. Żony oficerów spoglądały na dziewczynę zgóry i nie zadawały się z nią zupełnie. Mówiąc krótko, kapitan poślubił dziewczynę. Zazdrosny był o nią, bo kochali się w niej wszyscy w okolicy, choć ona nie zwracała na nikogo uwagi. Obydwoje byli młodzi, pełni ognia, więc też kochali się bardzo. Niestety, żona żołnierza musi poczęści być uzależniona od starej, żołnierskiej tradycji. Kapitana Jefferson'a męczyć poczęły ciągłe dogadywania zwierzchników na temat młodej jego żony; wreszcie kompanja nasza odkomenderowana została gdzie indziej, kapitan zaś Jefferson został w Supply. Rozpoczęły się dni strasznej męki dla biednego kapitana; obcy oficerowie, przydzieleni tam po naszym wyjeździe, znęcali się nad nim formalnie, drwiąc z małżeństwa jego z metyską. Nazywano go złośliwie „Squawman" i przydomek ten powtarzano już niemal w głównej kwaterze; wreszcie oficerowie poczęli go ignorować, nie starając się ukryć swej pogardy dla nieszczęśliwego. Nie mogło trwać tak dłużej. Kapitan wystąpił z wojska, lecz, niestety, będąc od najmłodszych lat żołnierzem, do niczego innego wziąć się nie umiał. Próbował robić jakieś interesy po opuszczeniu armji, ale szczęście mu jakoś nie sprzyjało. Ostatnio spotkałem go na statku; porzucił swoją squaw, która żyła z jakimś tłuściochem w Tueson'ie.

— Czy pan przypuszcza, że jestem taką, jak tamta kobieta? — zapytała Necia dziwnym jakimś głosem.

Przez cały czas słuchała z zaciekawieniem historji [illegible]rała, unikając jego wzroku, aby nie mógł się do[illegible] [illegible]eć, co się w jej duszy działo.

[illegible]e! Pani jest inna, ale wojsko jest takie sam[illegible]

Opowiedziałem to tylko dlatego, aby się pani zorjentowała, jakie przesądy panują w Stanach. Zupełnie się to do pani nie stosuje, oczywiście.

— Oczywiście! — przyznała znowu Necia. — Ale coby się stało z porucznikiem Burrell'em, gdyby — gdyby uczynił coś podobnego? Tyle jest przecież metysek, jak tamta dziewczyna, albo — jak ja.

Nie zarumieniła się już teraz, przeciwnie, twarzyczkę jej pokryła śmiertelna bladość.

— Byłoby z nim o wiele gorzej, niż z kapitanem Jefferson'em, — odparł kapral — pochodzi on bowiem z wyższej sfery jeszcze. Wszyscy w jego rodzinie są na bardzo wysokich stanowiskach! Wszyscy są żołnierzami i mają ogromne stosunki w głównej kwaterze, są przytem ogromnie dumni; nigdy więc nie pogodziliby się z czemś podobnem. Ale on sam nie uczyni tego; zbyt jest rozsądny i za bardzo kocha swój zawód. Nie, pani! Gotów bodaj na zawsze zostać kawalerem.

— Nigdy nie myślałam o sobie, jako o Indjance — rzekła Necia posępnie. — W naszym kraju głównie na serce zwraca się uwagę.

— Tak być powinno; — zauważył kapral serdecznie — bardzo mi przykro, jeżeli panią dotknąłem, panienko. Jestem stary, nieobyty żołnierz; chciałem tylko, żeby mnie pani dobrze zrozumiała. Tutaj normalniej może patrzą się na życie, ale Stany to zupełnie coś innego.

— Cieszę się, że jestem tem, czem jestem! — zawołała dziewczyna. — Nic niema takiego w mojej krwi, [illegible] bym się wstydzić i jestem prawie zupełnie [illegible] ozchyliła bluzkę na piersiach. — Jeżeli mę-

czyzna mnie pokocha, weźmie mnie taką, jaką jestem, bez żadnych skrupułów.

— Zupełnie słusznie — zgodził się stary. — Sam, gdybym był młodszy, miałbym prawdopodobnie wiele miłych rzeczy do powiedzenia. Dla takiej pięknej dziewczyny zapomina się o wszystkiem. — Wśliznął się nieznacznie za kontuar, gdzie siedziała na niskiem krześle. — Poproszę porucznika o zwolnienie. Może uda mi się zdobyć działkę na terenach, a potem ją sprzedać.

Po jego wyjściu opuścił Necię dotychczasowy spokój.

— To jest kłamstwo! To jest kłamstwo! — poczęła krzyczeć głośno, bijąc zaciśniętemi pięściami w blat kontuaru. — On mnie kocha! Wiem, że mnie kocha! — Poczęła drżeć na całem ciele. — Taka sama jestem, jak inne dziewczęta.

Szlochała jeszcze pocichu, gdy wrócił Gale; struchlał na widok jej bladej, zapłakanej twarzyczki.

— Dlaczego poślubiłeś moją matkę? — zapytała przez łzy. — Dlaczego? Dlaczego to uczyniłeś?

Dostrzegł jej rozdrażnienie, więc rzekł z prostotą:

— Nie uczyniłem tego.

Podskoczyła na krześle.

— Więc czemu? Przecież to wstyd! Wstyd! To jeszcze pogarsza moją sytuację. O, dlaczego wziąłeś Indjankę? Czemu uczyniłeś mnie metyską?

— Uspokój się! Co ci się stało? — zapytał kupiec.

— Co mi się stało? — szydziła. — Nie jestem ani białą, ani czerwoną; nie jestem nawet prawdziwą Indjanką. Jestem... — wzdrygnęła się. — Uczyni[illegible] taką. Nie raczyłeś nawet poślubić mojej m[illegible]

— Ktoś ci opowiadał głupstwa — rzekł Gale spokojnie, biorąc ją w ramiona. — Któż to taki? Powiedz, kto taki?

— Nie, nie! To nie to! Nikt mi tego w oczy nie powiedział; boją się ciebie, przypuszczam, ale Pan Bóg raczy wiedzieć, co myślą i mówią za mojemi plecami.

— Ja ich... — zaczął kupiec, lecz ona nie pozwoliła mu dojść do słowa.

— Dopiero teraz zorjentowałam się, czem jestem. Nikt mnie nie szanuje, jak inne kobiety i nikt mnie nigdy szanować nie będzie. Jestem zwykłą squaw — squaw!

— Nie jesteś! — zawołał.

— To tylko piękne słowa, nieprawdaż?

— Zresztą, cóż w tem złego?

— Żaden uczciwy człowiek nie ożeni się ze mną. Pochodzę z włóczęgów! Dobra jestem najwyżej do łóżka i gospodarstwa, jak moja matka.

— Na Boga! Któż ci nagadał takich niedorzeczności?

Twarz Gale'a bledsza była teraz od twarzyczki Neci, ale ona nie zwracała na to najmniejszej uwagi, zajęta wyłącznie własnym swym bólem.

— On może jedynie bawić się ze mną, nic więcej, a gdy odejdzie, inny mnie mieć będzie znowu i tak ciągle, i tak ciągle — dopóki będę mogła prać i gotować. Przez całe życie bić mnie będą, jak każdą squaw, ale nie poślubią nigdy. Nie mogę zostać żoną porządnego człowieka.

Dostała ataku histerji, płacząc i śmiejąc się naprzemian w ramionach Gale'a, poczem podniosła

głowę i załzawionemi oczami spojrzała przez okno w stronę baraków.

— To wszystko głupstwo — rzekł kupiec. — Pięćdziesięciu porządnych ludzi jest w obozie; każdy z nich poślubi cię, chociażby jutro.

— Ba! Mam na myśli normalnych ludzi, nie górników. Pragnę być damą. Nie chcę nosić mokasynów przez całe życie i niańczyć dzieci. Chcę być kochaną! Chcę sostać żoną gentlemana.

— Burrell'a! — podchwycił Gale.

— Nie! — zaprzeczyła. — Ani jego, ani niczyją specjalnie, ale pragnę mieć męża takiego, jak on; takiego, który miałby czyste paznokcie.

Nie zauważył nic humorystycznego w tem jej określeniu „gentlemana", orjentował się bowiem jak rozdrażniona była i ile bólu sprawiało jej to straszne rozczarowanie.

— Córko, — rzekł — martwi mnie, że dowiedziałaś się o tem; widzę, że moja w tem wina, ale czasy się zmieniły od chwil, gdy poznałem Allunę. Nie było w zwyczaju brać za żonę squaw i żadne z nas nie myślało nawet o tem. Byliśmy z sobą szczęśliwi i żyliśmy zgodnie, jakgdyby ksiądz związek nasz pobłogosławił.

— A dlaczego nie poślubiłeś jej, gdy ja na świat przyszłam? Wiedziałeś z pewnością, jakie to mieć będzie znaczenie dla mnie. I tak nie byłoby zupełnie dobrze.

Stary człowiek wahał się przez chwilę.

— Wiem, że winien jestem — rzekł wreszcie, przyglądając się promieniom słonecznym z dziwnym wyrazem twarzy. — Było to z mej strony lekkomyślnością, ale kochałem cię więcej, niż córka kochaną być może;

pracowałem ciężko, marzłem, głodziłem się i oszczędzałem wraz z Alluną, abyś ty miała z czego żyć, gdy mnie nie stanie. Dałem ci wykształcenie, jakiego nie ma żadna z dziewcząt tutejszych; posłałbym cię chętnie do Stanów do klasztoru, lecz nie mogłem puścić cię samej tak daleko. Boże! Zanadto cię kochałem, więc nie mogłem puścić cię samej, dziewczyno. Przecież jesteś dla mnie wszystkiem, co posiadam na świecie, a ja jestem strasznym egoistą.

— Nie, nie! Nieprawda! — zawołała Necia impulsywnie. — Jesteś dobry, kochany, tylko inne pędziłeś życie, niż wszyscy ludzie i dlatego inaczej wszystko pojmujesz. Nie powinnam była mówić z tobą o tem, — zarzuciła mu ramiona na szyję — ale bardzo jestem nieszczęśliwa, ojcze.

— Czy możesz mi powiedzieć, z czego to powstało? — zapytał łagodnie, przesuwając pieszczotliwie spracowaną swą dłoń po jej puszystych włosach.

Potrząsnęła przecząco głową, a on ciągnął dalej:

— Pierwszym statkiem pojadę do Misji i poślubię twoją matkę, jeśli zechcesz.

— To nie pomoże — rzekła. — Pozostawmy lepiej wszystko tak, jak było. — Podeszła do drzwi i jeszcze raz zwróciła się ku niemu z bladym uśmiechem. — Nie powinna byłam doprowadzić do tego — szepnęła. — Czy mi wybaczysz?

Skinął głową w milczeniu, a gdy wyszła ze sklepu, spoglądał za nią długo, wzdychając:

— Biedna maleńka!

Necia nie mogła znaleźć sobie miejsca, a wiedząc, że Alluna wraz z dziećmi wybrała się na jagody do zagajnika, rosnącego opodal indyjskiej wioski, skiero-

wała swe kroki również w tę stronę. Najbardziej lękała się teraz spotkania z Meade'm Burrell'em; wolała sama dobrze przemyśleć tę kwestję, zanim on będzie mówić z nią o tem. Należało rozpatrzeć wszystko objektywnie i postanowić raz wreszcie konkretnie, aczkolwiek do tej pory nie wszystko jeszcze dokładnie pojmowała. A może i on zmienił zamiar po dłuższym namyśle w samotności? Umarłaby na pewno, gdyby dostrzegła w nim jakąś zmianę, a wie dobrze, że wyczytałaby ją zaraz z jego twarzy.

Przechodząc główną ulicą obozu, ujrzała Stark'a, zajętego czemś na wybrzeżu, tuż obok kupionego przezeń budynku. Zagadał do niej, gdy go mijała.

— Dzieńdobry, miss. Czy odpoczęła już pani po wycieczce?

Odpowiedziała mu grzecznie i chciała iść dalej, lecz on zatrzymał ją znowu.

— Nie chcę, aby pani sądziła, że ja byłem przyczyną wszystkich tych scysyj na temat działek — rzekł. — Nic nie mam przeciwko pani. Ojciec pani nie okazuje mi wprawdzie zbytniej uprzejmości, ale nie mogę mieć przecież o to pretensji do córki.

Dziewczyna wiedziała, że mówił szczerze, niezwykła bowiem powaga malowała się na szyderczej zazwyczaj jego twarzy, a oczy były jaśniejsze nieco i spokojniejsze. Poza tem wiadomo było w obozie, że Stark nie lubił zadawać sobie trudu dla zjednania przyjaciół, teraz więc, gdy zwrócił się do Neci z taką szczerą uprzejmością, i ona nie mogła zmrozić go chłodnem obejściem, jak zamierzała to przedtem uczynić. Wogóle od pierwszego spotkania w szałasie Lee człowiek ten wywierał na nią wpływ jakiś nieokreślony, które-

go nie potrafiłaby zanalizować, zresztą zbyt była przejęta zdaniem Poleona i ojca o Benie Stark'u. Spotkawszy go teraz w sympatycznym nastroju, nabrała szalonej ochoty pogawędzenia z nim trochę, nawet za cenę wymówek ojca na ten temat. Spotkanie to było jej bardzo na rękę, pragnęła bowiem dowiedzieć się wielu rzeczy od Stark'a, jako od człowieka światowego, który z pewnością szczerze odpowie na wszystkie jej pytania.

— Zamierzam wybudować tu wielką salę tańca i hotel — rzekł Stark, wskazując Neci wbite opodal pale. — Jak tylko gorączka rezerwowania odkrytych terenów minie, najmę ludzi do budowy. Dom ukończymy w ciągu tygodnia, a hotel otwarty zostanie przed napływem przyjezdnych.

— Czy przypuszcza pan, że obóz nasz się powiększy? — zapytała dziewczyna.

— Trudno przewidzieć, ale są wielkie szanse. Jeżeli alarm okaże się fałszywy — ruszam dalej; zawsze tak robię.

— Musiał pan być już w wielu obozach, prawda?

Odpowiedział jej na to, że podróżuje od lat dwudziestu i zna całą granicę aż po zachodni Texas.

— Czy wszystkie obozy są jednakowe?

— Bardzo do siebie podobne. Kraje różnią się, lecz ludzie są ci sami.

— Poza naszym obozem nie byłam nigdzie — szepnęła, krzyżując ręce na piersiach. — A tyle jest rzeczy, które pragnęłabym zobaczyć i o których nie mam pojęcia! Naprzykład jest coś, co mnie ciekawi; pan mógłby mi to wyjaśnić, bo przecież tyle pan podróżował.

— Cóż to takiego? — uśmiechnął się, dostrzegłszy poważną jej minkę.

Zawahała się przez chwilę, a potem zaczęła nieśmiało:

— Ojciec mój jest „Squaw-man“, mr. Stark, a ja przyzwyczaiłam się do myśli, że jest to rzeczą zwykłą.

— We wszystkich nowych krajach są tacy — zapewniał ją.

— Ale jak są traktowani, gdy kraj zaczyna się cywilizować?

— Nikt na nich nie zwraca uwagi, bo po większej części są to biedacy.

— Mój ojciec nie jest biedakiem — oburzyła się. — Czyż metysi nie są takimi samymi ludźmi, jak biali?

— Do czego pani zmierza?

— Jestem metyską — oznajmiła niedbale — i chciałabym wiedzieć, co ludzie o mnie myślą. Najbliżsi moi nigdy mi tego odczuć nie dali.

— Więc lęka się pani nowych przybyszów? Proszę nie myśleć o tem, miss. Mnie i przyjaciołom pani nie sprawia różnicy, czy jest pani czerwona, biała, czarna, czy żółta.

— Ale niektórym sprawia to większą różnicę — upierała się dziewczyna.

— Chyba tylko przyjezdnym ze Wschodu. Na wszystko śmiesznie się zapatrują, ale przecież my nie jesteśmy na Wschodzie.

— To właśnie chciałam wiedzieć. Biali ze Stanów nigdy nie będą tolerować takiej dziewczyny, jak ja, nieprawdaż? Na pewno nie chcieliby ze mną obcować?

Wzruszył ramionami.

— Dużo musiała pani przebywać między „nauczycielami dobrego tonu". Ale pocóż wogóle myśleć o tem? Tu jest pani ojczyzna i tu są pani ludzie.

Pragnęła za wszelką cenę rozmowę tę doprowadzić do końca, dostrzegła jednak zbliżającego się ku nim Runnion'a, którego nienawidziła z całej duszy, podziękowała więc tylko Stark'owi i śpiesznie się oddaliła.

— Zawieracie przyjaźń z tą squaw? — zauważył Runnion mimowoli.

— Tak — odparł Stark. — Ładna dziewczyna; lubię ją bardzo. Powiedziałem jej, że nie jestem winien całej tej scysji na terenach.

— Hm! Co się z wami stało? Przecież to wszystko waszą było robotą.

— Wiem, ale pocóż jej mam mówić o tem. Chciałem mieć działkę sąsiadującą z terenem Lee i chciałem jednocześnie dokuczyć staremu Gale'owi. Nie mogłem pozwolić na to, aby mi zawadzała ta dziewczyna, lecz teraz, gdy już wszystko minęło, chcę z nią być w przyjaźni.

— Ja też — rzekł Runnion, spoglądając za Necią, oddalającą się lekkim krokiem. — Jak Boga kocham! Zgrabna szelma i bielutka. Niktby nie domyślił się, że jest metyską.

— Dobra dziewczyna — zauważył Stark łagodnym głosem, który wprowadził w podziw Runnion'a.

— Wpadacie w sentymenty, co? Byłem pewien, że dawno już wyrośliście z tego, stary.

— Nie, nie w taki sposób ją lubię.

— A ja tak. Przyznaję; zazdrosny jestem o tego oficera.

— Ona nie jest twoim typem — rzekł Stark. — Zły

mężczyzna nie może wziąć dobrej kobiety. Uda mu się czasem coprawda, ale związek taki niedługo trwać będzie. Wiem coś o tem!

— Głupiec chyba chce mieć jedną kobietę przez całe życie — odparł Runnion. — Szczególnie squaw.

— Dopiero teraz właśnie Necia poczęła zastanawiać się nad tem, że jest metyską i różni się od białych kobiet. Martwi się biedaczka.

— Stawiam ośm przeciwko pięciu, że Burrell ją rzucił — zachichotał Runnion.

— Nie przyszło mi to na myśl. Może masz słuszność.

— O ile jest to prawdą, uścisnę dłoń oficerowi.

— Nie uczyniłbym mu tego zaszczytu, będąc na twojem miejscu — rzekł sucho Stark. — Niech nie włazi tam, gdzie go nie proszą.

Tymczasem Necia minęła miasto i wioskę indyjską, aż wreszcie u podnóża zalesionego pagórka ujrzała Allunę z dziećmi. Wszyscy czworo ulokowali się na wzgórzu, skąd widać było dokładnie dolinę zachodnią z przecinającym szmaragdową jej roślinność wartkim prądem rzeki. Necia przesiedziała na jednem i tem samem miejscu cały ranek i cały dzień niemal, nie zbierając jagód, a tylko wsłuchując się w głosy wewnętrzne, staczające w jej duszy zaciętą walkę. Była to pierwsza walka w jej życiu, a że młodość musi posiadać pewną znaczniejszą dozę optymizmu, Necia pocieszyła się szybko złudą, że człowiek przez nią ukochany inny jest zupełnie, niż wszyscy mężczyźni i że miłość jego ślepa będzie na to, czy Necia jest dziewczyną białą, czy też metyską. Humor jej uległ ogromnej poprawie, gdy

wraz z matką i rodzeństwem wracała przed wieczorem do obozu.

Gdy wchodzili do miasta, usłyszeli znany dobrze okrzyk „Steam-bo-o-oat!“ a zbliżając się do domu, dostrzegli na ulicy gromadę ludzi i psów. Ze wszystkich stron przybywano, ażeby za przykładem obywateli Flambeau wyruszyć nazajutrz w góry na poszukiwanie złotego runa.

Kapitan statku, który przybił przed kwadransem do przystani, po wyjściu na ląd, udał się niezwłocznie do sklepu Gale'a, gdzie opowiedziano mu o ostatniem, cudownem odkryciu. Nim jeszcze zdążył skończyć rozmowę z kupcem, jeden z pasażerów statku wszedł do sklepu i zwrócił się doń dziwnie podniecony:

— Kapitanie, kupiłem bilet do Dawson, ale zostaję tutaj. Czy nie zechciałby pan wyładować mego bagażu?

Za podnieconym pasażerem wtargnęli inni, żywo gestykulując.

— Zupełnie będzie mi tu dobrze — zauważył jeden.

— Mnie również — dodał drugi. — To całkiem nowe odkrycie; przybyliśmy tu w samą porę.

Przed sklepem gromadka mężczyzn otoczyła Lee, prosząc, aby opowiedział obszerniej o swem odkryciu. Nowiny biegły lotem ptaka na pokład stojącego w przystani statku, sprowadzając coraz więcej chętnych do pozostania na stałe w obozie. W niespełna godzinę potem zaroiło się na wybrzeżu od kolorowego płótna namiotów, wśród których uganiały się psy z głośnem szczekaniem.

X. *Prawa droga Meade'a Burrell'a.*

„No Creek" Lee stał się bohaterem chwili, historja bowiem o prześladującym go pechu uważana była teraz za wierutną plotkę; wszyscy spoglądali nań z niemem uwielbieniem, czego dotychczas jednooki górnik nie doświadczył nigdy.

— Czy ci ludzie kpią ze mnie? — pytał w zaufaniu Poleon'a.

— Dlaczego? Co macie na myśli?

— Bo, widzisz, wczoraj jeden z nich przemawiał nawet na mój temat.

— I cóż mówił?

— Aż wstyd powtarzać. Mówił, że jestem drugim Danielem Boom'em.

— Bardzo mi się podoba.

— Owszem, brzmi pięknie, ale to porównanie nie ma żadnego sensu.

— I ja tak sądzę — przyznał Poleon.

Odkrywca zapałał gniewem.

— Czemuż, u djabła, nie śpiewali mi takich hymnów dawniej?

Jedna, czy dwie uncje złota z nowoodkrytych terenów Lee połyskiwały na ladzie w sklepie Gale'a, jako

rzeczowy dowód żyzności zarezerwowanych działek. Przybywający do sklepu klienci podziwiali złocisty proszek, usypując choć szczyptę na pamiątkę, za co oczywiście stary górnik dostawał najrozmaitszego rodzaju upominki, a nawet cygara po dolarze za sztukę. Z upragnieniem wsłuchiwano się teraz w każde jego słowo, częstując go najdroższemi gatunkami trunków, których nadmierna ilość wyciskała łzy w jedynem oku Lee.

Od czasu, gdy Stark otworzył swój lokal, jednooki górnik był tam całodziennym gościem, raczony przez zwolenników swych niejednokrotnie aż do utraty przytomności. Późnym wieczorem zjawił się raz w sklepie starego Gale'a, przestępując próg wielce niepewnym krokiem.

— Pamiętam wyraźnie, że były tu cztery schodki; cóż się stało z czwartym? — zapytał Poleona z urazą.

— Jest na tem samem miejscu — odparł Francuz.

— Nie mogę go znaleźć. Zniszczyliście go od czasu, jak byłem tu po raz ostatni.

Poleon zaśmiał się głośno.

Lee zmierzył młodzieńca oburzonym wzrokiem i wsparł się bezsilnie na kontuarze.

— Powiedz! — wybełkotał. — Czyż to nie cudowna rzecz być bogatym?

— Nie wiem, nigdy nie próbowałem tego.

— Zapewniam cię, że niema nic lepszego. Doszedłszy do tego wniosku, postanawiam zmienić zupełnie dotychczasowy tryb mego życia. Skończyły się ekstrawagancje — nikomu nie pożyczę centa!

— Co się stało? — zapytał zdziwiony Doret.

— Dość mam już tej wegetacji i ciągłego zabiega-

nia o kawałek chleba. Jestem człowiekiem o zatwardziałem sercu! Byłem uosobieniem dobroci, lecz od dzisiaj wszystko się zmieniło.

— Ba Gar! Zabawni jesteście — śmiał się Poleon. — Przez całe życie pomagaliście przecież biedniejszym od siebie.

— Istotnie, dużo pieniędzy rozdałem przyjaciołom, ale to się musi zmienić. — Dobył z kieszeni otrzymane w upominku cygaro i począł szukać zapałek. Poleon przyglądał mu się z uśmiechem.

— Domyślam się, — rzekł — że nowi wasi przyjaciele oczyścili wam kieszenie, nieprawdaż?

— Mylisz się, mój drogi. Główną moją dolegliwością jest obecnie niestrawność.

— Szkaradna choroba. Większość ludzi bogatych cierpi na to. Radziłbym się wam położyć.

To mówiąc, Doret ujął starego pod ramię, wprowadził do komórki za sklepem i tam ułożył na stosie worków z mąką. Zaledwie jednak sam zdążył wrócić za kontuar, Lee wyszedł również z komórki, zataczając się od jednej ściany do drugiej.

— Cóż to za gatunek mąki? — wymamrotał.

— Najczystsza mąka, jaka istnieje.

— Niech cię licho porwie! — zaklął górnik z przekonaniem. — Czułem wyraźnie zapach drożdży. Zapach ten przyprawił mnie o morską chorobę. — Nierównym zygzakiem zatoczył się do drzwi.

— Dokąd idziecie? — zapytał Poleon.

— Muszę zażyć coś na te bóle żołądka... Ach, jakież to straszne. — I znowu począł niepewnemi ruchami nóg szukać nieistniejącego nigdy czwartego stopnia; nie znalazłszy go, zawołał z triumfem:

— A widzisz! Co powiedziałem! Położyłeś go zpowrotem wówczas, gdy ja drzemałem trochę.

Pogwizdując jakąś melodję, powlókł się do lokalu Stark'a, aby dostać tam coś na uspokojenie tych „szkaradnych bólów".

U Stark'a zastał tłum świeżo przybyłych, którzy go powitali serdecznie, zasypując niezliczoną ilością pytań na temat nowego odkrycia. Odkrycie to dla Lee było sensacją dawno już przestarzałą, to jednak starał się jak najgrzeczniej odpowiadać na zadawane sobie pytania, mimo niezupełnej jeszcze trzeźwości.

— Nasz kraj słynie z uczciwości — wołał z zapałem. — Niejeden z nas wychodzi w góry na kilka miesięcy, a wróciwszy potem, zastaje wszystko w domu tak, jak zostawił...

— Dawno już minęły te czasy — rzekł Stark, który przyłączył się również do rozmowy. — Zbyt wielu obcych przybyło, za których trudno byłoby ręczyć.

— Muszą być uczciwi — zawołał Lee. — Niema tu miejsca dla złodziei. Sam muszę dbać o dobro tego obozu; przysięgliśmy obydwaj z Johnem Gale'm, że każdego złodzieja obijemy publicznie na placu przed sklepem, przytem zimą puścimy go na śnieg bez obuwia, latem zaś, każemy mu zdjąć z pleców koszulę.

— Niejeden wolałby raczej śmierć, — odezwał się ktoś z pośród słuchaczy — niż mróz w zimie, a moskity w lecie.

— To prawda — wyrwał się inny głos z gromadki. — Ale każdy człowiek musi być zależnym od obyczajów, panujących w danym kraju. Sam ukarałbym odpowiednio każdego przyłapanego na kradzieży.

— A jednak trudno się tego ustrzec — rzekł

Stark. — Za dużo mamy obcych. Naprzykład ja ze swej strony postawiłem Runnion'a, ażeby pilnował mi zwiezionego drzewa. Znacie prawdopodobnie przysłowie, że „okazja rodzi złodzieja".

— Zgadzam się z wami; — rzekł Lee — zawsze twierdziłem, że każdy powinien dbać o swoje i...

W tej samej chwili drzwi otworzyły się z trzaskiem i Runnion wepchnął siłą jakiegoś człowieka, który pod wpływem silnego uderzenia zatoczył się aż pod bufet.

— Spójrzcie na tego łotra — sapał Runnion. — Nie wiem, skąd się tu wziął ten murzyn!

— Co się stało? — tłum obstąpił więźnia, który przerażonym wzrokiem wodził po sali; twarz jego i ubranie zabryzgane były błotem.

— To złodziej — oznajmił Runnion, ocierając rękawem spocone czoło. — Złapałem go przy waszym „cache", Stark.

— Przy mojem „cache"?

— Tak. Gdy mnie zobaczył, porzucił łup i chciał uciekać, ale nie udało mu się. — Runnion trzymał w prawej ręce rewolwer, a wąska struga krwi, spływająca z czoła pojmanego murzyna, świadczyła o tem, że oprawca nie przebierał w środkach.

— Dlaczego nie strzelałeś? — zacharkotał Stark gniewnie, na co murzyn porwał się z ziemi, chcąc wymownemi gestami zadokumentować swą niewinność. Klnąc głośno, Runnion obdarzył więźnia dzikiem kopnięciem, zdobywając tem szczerą pochwałę zebranych.

— Pozwólcie mi go zobaczyć — zawołał Lee, torując sobie łokciami dostęp do murzyna. Utkwiwszy swe jedno oko w twarzy złoczyńcy, rzekł z oburze-

niem: — Jesteś jedynym jawnym złodziejem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Czy dokuczał ci głód?

— Nie, miał wszystkiego poddostatkiem — odparł jeden z gromadki, który widocznie przybył tu na tym samym statku, co murzyn. — Większe miał zapasy ode mnie.

Więzień, wsparty ciężko o bufet, przyglądał się ponuro swym wrogom.

— Trzeba go stąd usunąć — zawołał Stark, sięgając po broń, schowaną za bufetem.

Oczy jego błyszczały dzikiem okrucieństwem, a palce zaciskały się kurczowo, niby szpony drapieżnego zwierza.

— Oszczędzę wam wszystkim kłopotu.

— Dlaczego nie uczynićby tego legalnie? — przedkładał Lee. — Przecież będzie to o wiele pewniejsze.

— Tak! Lee ma słuszność — zakołysał się tłum.

— Co zamierzacie ze mną uczynić? — jęknął przerażony złodziej.

— Zamierzamy cię wypróbować, — odparł jednooki górnik — i jeżeli okażesz się winnym, na co się zanosi, oczywiście, będziesz należnie ukarany. Odbędziesz sympatyczną podróż w dół rzeki w stroju adamowym.

— Ale moskity.

— Sądzę, że, kradnąc, nie myślałeś o tem. No, chłopcy, niema co gadać z tym półgłówkiem.

Na dalekiej Północy, gdzie ludziom największą trudność sprawia zdobycie jadła, połeć słoniny przedstawia dla każdego większą wartość, niż worek złota; dlatego też zapasy żywności są tu chronione nadzwyczaj troskliwie. Każdy z mieszkańców Flambeau chętnieby

nakarmił murzyna, gdyby ten był w biedzie, Północ bowiem, jak twierdzi przysłowie, „jest krainą ludzi dobrego uczynku“.

Natychmiast zwołano prowizoryczne zgromadzenie, które orzec miało, jak ukarać czarnego złoczyńcę, gdy wtem, w trakcie obrad, na sali ukazał się porucznik Burrell.

Cały dzień przepędził młodzieniec w swej kwaterze, staczając walkę z samym sobą, wreszcie wieczorem wyszedł trochę i skierował się w stronę restauracji Stark'a.

Wysłuchawszy opowiadania zebranych o dokonanej przez murzyna kradzieży i zapoznawszy się z planem kary, jaką zamierzało wymierzyć zgromadzenie, Burrell zbliżył się do stojących opodal Gale'a i Poleon'a, będąc pewnym, że oni dwaj również będą przeciwni podobnie barbarzyńskiej procedurze.

— Pan nie rozumie, poruczniku — rzekł Gale przyciszonym głosem. — Ten murzyn jest złodziejem!

— Ale nie można skazywać na śmierć człowieka, który ukradł kawałek słoniny.

— Niewiadomo, ileby ukradł, gdyby go nie schwytano. Zresztą taki jest zwyczaj u nas.

— Chłosta zupełnie wystarczy.

— Wstrętna to była kradzież — wtrącił Poleon. — Takim kawałkiem słoniny można zaspokoić głód kilku biedaków.

— Ależ to barbarzyństwo — rzekł porucznik, nie pozwalając się przekonać. — Nigdy na to nie pozwolę.

Gale przyjrzał się oficerowi z zainteresowaniem.

— Więc jaką znajdzie pan radę? — zapytał; lecz młodzieniec nie chciał snać tracić czasu na odpowiedź.

Począł torować sobie drogę wśród zebranych; tłum rozstępował się przed nim z wyrazem nieokreślonego lęku, połączonego z należnym szacunkiem

Gale pochylił się do ucha towarzysza:

— Miej oczy otwarte, chłopcze. Dużo będzie z tem kłopotu.

Wspięli się obadwaj na palce, obserwując z góry całą scenę.

— Panowie — zaczął Burrell, stając tuż obok posiniałego ze strachu winowajcy. — Ten człowiek jest złodziejem, lecz nie wolno go wam zabić!

Stark przechylił się nad bufetem, oczy jego pałały, gdy dotknął ramienia porucznika.

— Czy zamierza pan mieszać się do wszystkich moich spraw? — syknął.

— To nie pańska sprawa, lecz moja — rzekł oficer. — Poto zostałem tu przysłany i to jest moją jedyną powinnością. Sądzę, że i pan musi się z tem liczyć.

— Kradł moje mienie, zasłużył więc na karę.

— Zasłużył, lecz nie na taką.

Po raz już drugi w ciągu krótkiej znajomości dwaj mężczyźni spojrzeli sobie złowrogo w oczy. Stark posiadał duszę zwykłego mordercy i na pewno nie zawahałby się przed niczem, wiedział jednak, że godzina jego porachunków z Burrell'em jeszcze nie wybiła.

Wreszcie porucznik odwrócił wzrok w inną stronę i wymownym ruchem ręki nakazał obecnym milczenie.

— Niema celu dyskutować — rzekł, zwrócony twarzą do tłumu. — Nie wolno wam tego uczynić. Zatrzymam go do nadejścia następnego statku i odeślę w dół rzeki do St. Michael's.

Ujął za ramię murzyna i wraz z nim skierował się

ku drzwiom, mając wzrok wszystkich zebranych na sobie.

Gdy Poleon i Gale szli w stronę domu, Francuz zwrócił się do kupca:

— Ale to była historja.

Nie otrzymawszy odpowiedzi od starego, dodał:

— Stark zamierzał go zabić.

— Głupstwo — mruknął Gale. — Przyjdzie czas, że i on padnie z czyjejś ręki.

Podszedłszy do zakrętu ścieżki, spojrzał ku wybrzeżu; białe płótno namiotów połyskiwało w mroku granatowej nocy, przetykanej mirjadem złocistych gwiazd.

— Jeśli chłopak znalazł tyle odwagi, aby wyrwać czarnego złodzieja górnikom, — szepnął po chwili milczenia — i prowadzić go przez miasto, jakżeby się obszedł z białym przestępcą, jak myślisz?

— Widzicie, — zawahał się Poleon — zależałoby to z pewnością od rodzaju przestępstwa.

— Naprzykład, gdyby to był — zabójca?

— Takich ludzi nie mamy w Flambeau.

Pożegnali się przed domem Gale'a. Kupiec zastał Allunę oczekującą go ze strapioną twarzą.

— Co się stało? — zapytał.

— Necia płakała całą noc.

— Czy chora? — skierował się do drzwi pokoju córki, lecz Alluna go zatrzymała.

— Nie! To nie jest ten rodzaj płaczu; jej płacz pochodzi z serca i właśnie w sercu tkwi jej cierpienie. Gdy zajrzałam do niej, wpadła w złość, wymyślając mi, że mam ciemną skórę. Zupełnie tego nie pojmuję

Potem wybiegła na dwór, trzaskając drzwiami i nie wróciła dotychczas.

Gale usiadł zamyślony.

— Tak, cierpienie jej tkwi w sercu, masz słuszność, Alluno. Kiedy wyszła z domu?

— Przed godziną.

— A gdzie jest teraz?

— Na wybrzeżu; szłam za nią niepostrzeżenie. Lepiej pozostawić ją tam samą, dopóki się nie uspokoi.

— Wiem, co jej dolega — szepnął Gale. — Doszła do wniosku, że nie jest taką jak inne dziewczęta. Przekonała się, że śnieżna biel duszy nie wystarcza białym mężczyznom; żądają oni bieli rasy.

Opowiedział jej pokrótce zajście poranne w sklepie, dodając swój domysł, że Necia kocha Burrell'a.

— Czy wspominała coś o tem?

— Nie, zaprzeczyła nawet, przekonawszy się, że rasa jej będzie tutaj najważniejszą przeszkodą.

— Wątpię, czy będzie się z tem liczył — rzekła Indjanka posępnie. — Jeżeli ją kocha, weźmie ją taką, jaką jest; chyba, że nie żywi dla niej uczucia.

Przez chwilę Gale spoglądał na swą squaw, jakgdyby pragnął jej coś wytłumaczyć, potem jednak głowa opadła mu na piersi i znowu zatonął w głębokiej zadumie.

— Pragnę powiedzieć jej, Alluna — rzekła wreszcie.

— Nie, nie! — zawołała kobieta. — Nie wolno ci mówić prawdy. Nie mogłoby być nic gorszego.

Ale on mówił dalej przyciszonym głosem:

— Miłość jest największą rzeczą na świecie; dlaczegóż ona nie ma przeżyć choć jednej chwili szczę-

ścia? Zamiar ten powstał we mnie przed kilku tygodniami, ale ciągle odkładam to z myślą, że jakoś się ułoży. Dziś znów stanąłem oko w oko z mym zamiarem i czuję, że muszę to raz wreszcie skończyć. I tak dowiedzieć się o tem musi, więc im prędzej, tem lepiej.

— Nie uwierzy ci — rzekła kobieta.

Uderzyły go jej słowa.

— Nigdy mi to na myśl nie przyszło. Przypuszczam, że nie będzie wątpić o tem, co jej powiem! Tak dłużej trwać nie może.

— Zbyt wielkie byłoby poświęcenie; mógłbyś to życiem przypłacić. Życie porządnego człowieka więcej jest warte, niż szczęście młodej dziewczyny.

— I ja tak sądziłem dotychczas, — rzekł Gale z goryczą — ale nadszedł czas, kiedy trzeba grać w otwarte karty. Myślę tylko, czy uwierzy — milczał dłuższą chwilę. — Zaryzykuję jednak. Muszę tylko przedtem pozałatwiać różne sprawy; trzeba zabezpieczyć małych i ciebie.

— A co ze Stark'iem? — wtrąciła Alluna.

— Tak, masz rację! Co ze Stark'iem...

Burrell zaprowadził więźnia do baraków, gdzie umieścił go pod strażą, rozkazując żołnierzom strzec go, jak oka w głowie.

Przekonawszy się, że wszystko jest w należytym porządku, porucznik wyszedł z koszar, pragnąc uspokoić się nieco po całonocnej walce wewnętrznej, która wzmogła się jeszcze po rozmowie ze starym kapralem Thomas'em. Zorjentowawszy się w sytuacji na mocy tego, co usłyszał z ust Neci, kapral począł wywierać specjalny wpływ na młodego oficera, wspominając nieznacznie o szlacheckiem jego pochodzeniu, o dumie,

z jaką rodzina Burrell'a spogląda na wysokie bądź co bądź jego stanowisko i wreszcie powtórzył mu ową historję, którą opowiedział przed kilku godzinami Neci. Nie podejrzewając tendencji kaprala, młodzieniec wzruszony był niezwykłemi objawami jego przywiązania i doszedł do wniosku, że widocznie miłość zabiła w nim zupełnie możność wszelkiego rozumowania, sam bowiem dotychczas nie zdawał sobie tak jasno sprawy, że małżeństwo z Necią było zupełną niemożliwością. Stanowczo za daleko pozwolił się prowadzić tylko uczuciu, bo pewien był przecież, że naprawdę kocha tę dziewczynę. Gdyby chociaż w niej nie obudził tak silnego uczucia, a wszystkiemu był winien pierwszy gorący pocałunek... Trudno się było cofnąć teraz, na nic nie zdały się skrupuły... Gdyby mógł wyjechać stąd, uczyniłby to z największą chęcią, lecz, niestety, obowiązkami swemi związany był z tym obozem, a przebywając w Flambeau musiał rad nierad widywać Necię.

Wszystkie te zimne postanowienia rodziły się, gdy nadchodziła chwila rządzenia się trzeźwym rozsądkiem, chwile te jednak nastawały nieczęsto i trwały nader krótko, a potem znów opasywało zmysły jego przemożne pragnienie porwania Neci w ramiona i całowania jej do utraty przytomności.

Teraz, idąc w stronę miasta, rozmyślał o tem wszystkiem i postanowił za wszelką cenę przerwać tę złotą nić, łączącą go z piękną metyską, aczkolwiek wiedział zgóry, że rozstanie będzie ciężkim ciosem dla nich obojga. Przechodząc tuż obok sklepu Gale'a, postanowił nie zajrzeć nawet do wnętrza i szybko zboczył na wąską ścieżkę, biegnącą ku wybrzeżu.

Jasny księżyc srebrnemi promieniami oświecał porosłe rzadką trawą wybrzeże i skuloną na darni dziewczynę, zatopioną w niewesołych myślach. Noc już zapadła zupełnie, a duszne opary wisiały ponad szczytami okolicznych pagórków. Burrell minął już prawie skuloną postać, gdy wtem dosłyszał cicho wyszeptane swe imię; dojrzał ją zbliżającą się ku niemu cicho; sprawiała wrażenie nieziemskiej zjawy.

— Necia! — zawołał — cóż ty tu robisz o tej porze?

Patrzała nań ze smutkiem; policzki jej wilgotne były od łez. Bez słowa porwał ją w ramiona i przylgnął wargami do różanych usteczek, gdy tymczasem ona, drżąc lekko na całem ciele, tuliła się doń coraz mocniej.

— Maleńka, maleńka! — szeptał łagodnie, domyślając się powodu jej przygnębienia.

Zbyteczne były wyrazy; atmosfera nocy i namiętny, długi pocałunek przeniosły ich w krainę ekstazy; nie było czasu na ubieranie w słowa szybko przesuwających się myśli.

Czując gorący uścisk męskich jego ramion, zapomniała na chwilę o wszystkich swych troskach, bo cóż znaczyło to, że była metyską, jeżeli on kochał ją naprawdę?

Również i Meade Burrell nie myślał w tej chwili o niedawnem swem postanowieniu. Przeszkoda, wzniesiona przez zimny rozsądek, runęła nagle pod wpływem delikatnego podmuchu miłości; wahania i skrupuły wydały się porucznikowi czemś śmiesznem w tej chwili. Zorjentował się teraz, że wszystko to było pro-

stym egoizmem i że tylko prawdziwe uczucie może dać ludziom maximum ziemskiego szczęścia.

— Zapach twych ust odurza mnie — westchnęła dziewczyna.

— Nie powinnaś się temu poddawać — szepnął, jakby naprzekór samemu sobie.

— Silniejsze to od nas — wionęło z półprzymkniętych jej warg.

— A jednak musisz — odparł twardo, pozwalając jej odejść.

Świtać już zaczynało, gdy zbliżał się do koszar; tarcza księżyca przybrała teraz kolor zaśniedziałego mosiądzu. Porucznik popatrzał na mrugające jeszcze na firmamencie gwiazdy i westchnął głęboko, zadowolony sam z siebie. Znów słała się przed nim droga jasna i równa, nieocieniona absolutnie niczem. Porucznik Burrell nie zdawał sobie jednak sprawy, że wlecze się za nim karykaturalnie wyolbrzymiony cień własnej jego postaci...

XI. Dokąd droga prowadzi?

Następnego ranka wszyscy niemal mężczyźni i większość kobiet z pośród przybyszów wyruszyli w góry — kobiety postanowiły walczyć o równe prawa dla swej płci na odkrytych terenach. Po zarezerwowaniu wszystkich odkrytych działek ruch przyjezdnych nie ustawał, każdy bowiem żył ciągle jeszcze nadzieją, że nowe pokłady odnalezione zostaną. Każdy teren jest odgraniczoną przestrzenią i dlatego każdy odkrywca ustanawia odrębne prawa dla poszukiwaczy-przybyszów. Pragnąc przyjmować czynny udział w walce o równouprawnienie, rozentuzjazmowane poszukiwaczki pociągnęły za swymi mężami, ojcami i braćmi, pozostawiając nieliczną straż przy namiotach. Oczywiście, po upływie dwóch dni rozpoczął się gremjalny powrót z przedsięwziętej wyprawy, tylko bowiem silniejsze z pośród niewiast dotrzymały placu mężczyznom w wielce uciążliwej wędrówce.

I teraz rozpoczęła się w Flambeau nowa era — era rozkwitu przemysłu, czego dotychczas to miasto graniczne zupełnie nie znało. Drzewa padały pod sprawnemi uderzeniami siekier, a w ciągu godzin kilkunastu powstawały nowe domostwa, niczem grzyby po de-

szczu. Leniwa zazwyczaj atmosfera obozu dźwięczała teraz pogwarem nawołujących się ludzkich głosów, a od rana do nocy zastanawiano się nad umożliwieniem prymitywnego dotychczas życia codziennego, rezultatem czego był cały szereg zamówień, przesyłanych do Dawson za pośrednictwem zatrzymujących się w przystani statków.

Codziennie przybywały do Flambeau wiadomości o odnalezieniu nowych pokładów; wiadomości te powiększano, oczywiście, co sprowadzało nowe zastępy przybyszów z Południa i Północy, żądnych zbogacenia się na odkrytych terenach.

Spotkawszy pewnego dnia Necię, Burrell zakomunikował jej w obecności starego Gale'a, że są chętni, którzy pragną wydzierżawić zarezerwowane przez nią działki, pozostające dotychczas pod jego protektoratem. Zdaniem jego powinna się była na to zgodzić, cena bowiem działek rosła, więc i dzierżawa przedstawiała teraz pokaźny dochód. Nie zdecydowano się jednak konkretnie na to, gdyż stary kupiec zamierzał i tak udać się w góry, postanowił więc obejrzeć sam działki dokładnie i namyśleć się nad proponowaną Neci tranzakcją.

Ostatniemi czasy Gale przeważnie przebywał w górach, pozostawiwszy sklep pod opieką Doret'a; stary kupiec niechętnie teraz zostawał w obozie, jakgdyby w obawie przed porachunkami ze Stark'iem, który zajęty wykończaniem swej sali, nie wydalał się z Flambeau zupełnie.

Podczas tych dni ustawicznej, gorączkowej pracy w obozie Burrell rzadko widywał Necię, również bowiem bardziej zajęty był ostatnich tygodni, ona zaś

wraz z Poleonem zastępować musiała nieobecnego ojca. Gdy spotykali się nawet na chwilę, przeszkadzała im zwykle czyjaś obecność, a szczególnie Alluna starała się być zawsze wpobliżu młodej pary. Mimo wszystko Necia czuła się szczęśliwa, upojona krótkiemi spotkaniami z Meade'm i jego szaleńczą miłością. Był tym samym kochanym chłopcem, jak owej pamiętnej nocy w dolinie Czarnego Niedźwiedzia, gdy gorące jego usta muskały jej oczy i szyję, a rozkochane spojrzenie mówiło o tem wszystkiem, czego nie mogły dopowiedzieć słowa.

Z Burrell'em rzecz się miała zupełnie inaczej, jedynemi bowiem chwilami spokoju były dlań te, które przepędzał przy boku Neci, wówczas zimny rozsądek przestawał w nim walczyć z uczuciem. Ta niezwykła trudność decyzji przyprawiała go kompletnie o napady furji; nienawidził sam siebie, co osłabiało, oczywiście, tak rozwinięte w nim poczucie obowiązku.

Żadnej pory roku nie możnaby porównać z porą letnią na dalekiej Północy, kiedy dobrotliwa natura przystraja ziemię we wszystkie jej krasy, a ludziom każe kochać wszystko, co ich otacza. Jednego z takich upalnych dni, owianych tchnieniem zbliżającej się jesieni, Necia otrzymała wiadomość o swem bogactwie.

Jeden z górników, któremu wydzierżawiła swe działki, wstąpił do sklepu, aby pokazać jej i Poleonowi woreczek złotego piasku. Obadwaj z wspólnikiem natrafili na żyłę złota, więc przyszedł specjalnie, aby jej zakomunikować, że będzie jeszcze kiedyś ogromnie bogatą.

Wiadomość przyjęła napozór spokojnie, lecz oczy

jej pojaśniały radością; Poleon ujął obydwie jej dłonie i serdecznie uścisnął:

— Bien! Jestem ogromnie zadowolony! Teraz będziesz już na pewno bogatą dziewczyną i będziesz nosić tylko takie suknie, jak ta, którą ci przywiozłem z Dawson.

— Ach, Poleon! — zawołała. — Zostanę wreszcie wielką damą, a od tak dawna marzę już o tem! Kopalnia jest przecież moją własnością! Wiesz, że nigdy nie miałam własnych pieniędzy! Sądzę, że przyjemnie być bogatą!

— Jakby ci to powiedzieć...

— Jestem pewna, że i twoje tereny będą żyzne.

Potrząsnął głową przecząco.

— Stuknij trzy razy w drzewo, zanim wypowiadasz swój sąd o tem. Postaram się sprzedać swoją działkę; kilka już razy zaczynałem kopać i zawsze napróżno.

— Niemożliwe. Musi tam być złoto. Zresztą, jeśli zechcesz, weźmiesz połowę tego, co ja mam, bo przecież byłabym stanowczo za bogata.

Zaśmiał się głośno, a ona, uradowana swem szczęściem, nie zauważyła nawet, że Doret śmiał się dzisiaj po raz pierwszy od kilku niemal miesięcy.

— A co poczniesz z sobą, gdy zostaniesz królem Flambeau? — zapytała po chwili wesoło. — Sądzę, że nie będziesz już wówczas szukać swej dalekiej „nieznanej ojczyzny", bo nigdy nie będzie w niej tak pięknie, jak tutaj.

Wskazała połyskującą wdali rzekę i zwartą ścianę lasu, na którym zbliżająca się jesień wyryła już swoje piętno.

— Spójrz na te góry, — mówiła gorącym szep-

tem — na te mgły zwisające nad wierzchołkami; całunem tym Pan Bóg zwykł okrywać najdroższe swe skarby. — Odetchnęła pełną piersią. — Powietrze pachnie świeżością i radością życia, nieprawdaż? Czy wiesz, że niejednokrotnie pragnęłam być zwierzęciem, aby mieć wyostrzony węch — jednem z tych dzikich stworzeń o śmiesznym, ostrym, zimnym nosie. Chciałabym mieszkać na drzewach, skakać z gałązki na gałązkę, jak wiewiórka i pić tę czystą woń wiatru... Słońce świeci jasno, świat jest taki duży, a ja się dziwnie jakoś czuję, poprostu brak mi czegoś.

— Tu tak ładnie, — zamyślił się Kanadyjczyk — a nie pojmuję, czemu każdy pragnąłby mieszkać w wielkiem mieście. Przecież i poza miastem jest dużo miejsca i powietrza.

— O, ale w miastach też musi być pięknie — rzekła Necia. — Oczywiście, na pewno nie jest tak miło, jak tu. A jednak straszniebym chciała zobaczyć wielkie miasto!

— Zamierzasz stąd wyjechać? — spytał szybko.

— Naturalnie. — Widząc posępną jego twarz, pośpieszyła dodać: — To znaczy, jeżeli działki moje nie zawiodą pokładanych w nich nadziei.

— O — odetchnął z ulgą. — To zupełnie coś innego. Ale sądzę, że w wielkich miastach musi być dziwnie głupio; nigdzie nie można pójść, nic nie można zobaczyć, oprócz mnóstwa domów.

— Tak — przyznała Necia. — Bezwątpienia musi się to znudzić wkrótce, ale chciałabym zobaczyć miasto i wybiorę się tam, jak tylko będę dostatecznie bogata. Czy pojechałbyś ze mną?

— Nie wiem, — odparł w zamyśleniu — może zo-

stanę tutaj, a może popłynę znów w świat daleki. Dawniej uważałem Flambeau za ziemię obiecaną, ale teraz zmieniłem już zdanie.

— Jakaż to jest ta twoja upragniona ojczyzna?

— Hm! Nie widziałem jej nigdy, ale ciągnęło mnie do niej, gdy byłem jeszcze małym chłopcem. Musi tam być nie za gorąco latem i nie za zimno zimą; ptaki tam śpiewają, kwiaty pachną, słońce świeci, a człowiek zapomnieć tam musi o wszelkich swych troskach.

— Jeżeli jest to „kraina zadowolenia" — nie odnajdziesz jej nigdy, gdy będziesz podróżować. Zdradzę ci tajemnicę, Poleon. Krainę tę ja już znalazłam, rozumiesz? Jest ona tutaj. — Przyłożyła drżącą dłoń do piersi. — Ojciec Barnum opowiadał mi o twoich rodakach. Podobno dusze wasze trawi ustawiczny głód włóczęgi.

— To samo dzieje się ze mną! Nigdy jeszcze dotychczas nie znalazłem kraju, w którym pragnąłbym zostać do śmierci, ani też takiego miejsca, do którego pragnąłbym wrócić; wyjątkiem pod tym względem było Flambeau. Lubię je i dlatego siedzę tu tak długo i nie wiem, kiedy mi się ten obóz znudzi. Zależy to od wielu rzeczy.

Pochylił się ku niej z wyrazem wiernego przywiązania w swych szczerych oczach; przez chwilę szukał jej spojrzenia, lecz ona nie myślała o nim teraz. Po chwili znowu rzekł nieśmiało:

— Ojciec Barnum ma tu przybyć w niedzielę na chrzest Indjan. Constantine otrzymała wiadomość.

— O, przecież to już przypada pojutrze! — zawołała Necia. — Ogromnie się cieszę, że go zobaczę!

— W dużych miastach trudno znaleźć dobrych

ludzi — zauważył Poleon. — Nigdy nie lubiłem duchownych, bo tacy rozmodleni i śpiewający przez nos księża zawsze działali mi na nerwy. Coś innego ojciec Barnum — Ba Gar! Ten jest wyjątkiem:

— Wiesz — szepnęła z kuszącym uśmiechem. — Zawsze marzyłam o tem, aby ojciec Barnum dawał mi ślub.

— Więc zamierzasz poślubić kogoś? — zapytał posępnie. — Mogą się urzeczywistnić twoje marzenia. Ojciec Barnum pozostanie tu całą dobę, możesz więc to uczynić. Niejeden byłby szczęśliwy, gdybyś została jego żoną. Ale jeżeli nie kochasz nikogo, a chcesz wziąć ślub, możesz przecież zostać moją żoną.

Necia zaśmiała się srebrzyście.

— Wierzę, że ożeniłbyś się ze mną, gdybym chciała; wszystkie prośby moje spełniałeś zawsze. Lecz nie obawiaj się, nigdybym cię nie wzięła.

Ani razu dotychczas Poleon nie wspomniał dziewczynie o swem uczuciu, a ona nie domyślała się niczego. Chętnie słuchała pieśni jego i opowiadań, uważając go zawsze tylko za przyjaciela; inna myśl nie powstała nigdy w jej głowie.

Podczas ich rozmowy łódź jakaś przybiła do przystani; po chwili ujrzeli przez otwarte drzwi wysiadającego na brzeg Indjanina, który skierował się wprost do sklepu. Wszedłszy do wnętrza, przybyły odciągnął Francuza na stronę.

Po chwili ożywionej rozmowy z Indjaninem Poleon zwrócił się do Neci:

— Przywiózł sto skórek kuny do Flambeau. Popilnuj chwilę sklepu, a ja pójdę z tym człowiekiem, aby zakończyć tranzakcję.

Wyszli obadwaj, pozostawiając Necię samą. Po pięciu minutach na progu sklepu ukazał się Runnion.

— Hallo, Necia! — zawołał poufale. — Dowiedziałem się przed chwilą o odkryciu na twych terenach. Wspaniała historja.

Przyjąwszy chłodno powinszowania, starała się nie zwracać uwagi na zbytnią jego poufałość, zresztą większość klientów ojca nazywała ją po imieniu.

— Sam miałem wczoraj dobrą wiadomość, — mówił dalej — jeden z moich ludzi natrafił na jakąś żyłę, jutro mam już wiedzieć coś konkretnego. Z pewnością zbogacę się wkrótce, niedarmo uchodzę wszędzie za szczęściarza. A gdzie jest ojciec?

— Na kopalni.

— Zabrakło nam cukru w restauracji, chciałem więc kupić nowy zapas.

— Bardzo chętnie panu zapakuję.

Obserwował zręczne jej ruchy pełne gracji, próbując zbliżyć się do niej, lecz przekonawszy się, że Necia na wszystkie zaczepki odpowiada chłodno, odsunął się znów przed ladę.

— Neciu, — rzekł przymilnie — jesteś ładną dziewczyną. Miałem na ciebie oko od chwili przybycia tutaj i im więcej patrzę, tem więcej mi się podobasz.

— Niepotrzebnie mi pan mówi o tem — odparła. — Cena cukru będzie taka sama.

— Taka jesteś rozsądna — mówił dalej, nie zrażając się jej chłodem. — W kobiecie cenię najbardziej ładne liczko i rozum. Jestem zwolennikiem siły i nie uznaję romantycznych serenad przy księżycu. Gdy mi się dziewczyna podoba, biorę ją i basta! Taki już jestem. Traktuję miłość tak, jak mężczyzna powinien ją...

— Więc pan mi się oświadcza? — zapytała Necia ze zdziwieniem.

— Wiem, że trochę za prędko, ale zdarzają się i takie wypadki. Przypuszczam, że ci to dogadza. Oboje będziemy mieli pieniądze, a ja dobry będę dla ciebie.

Dziewczyna roześmiała mu się prosto w twarz.

— Proszę nie być taką wielką — syknął po swojemu. — Zaproponowałem dobry interes. Wprawdzie nie noszę błękitnego munduru, nie tracę napróżno pięknych słów, ale nie porzucę mej żony, gdy wpadnie mi jakaś fantazja i nie przyczepię się do dziewczyny, nie mając zamiaru się z nią żenić.

— Co to ma znaczyć?

— Tak, nie jestem pięknie przemawiającym południowcem ze złotemi guzikami i arystokratycznem obejściem. Nie zwracam na to uwagi, że jesteś metyską, chcę wziąć cię...

— Proszę nie mówić tak do mnie! — zawołała z szczerem oburzeniem.

Lecz on mówił dalej nieubłaganie:

— Przestańmy bawić się w sentymetny. Wiem, co mówię. Zakochałaś się w Burrell'u, lecz on... Boże drogi! nie chciałby cię, choćbyś była nie wiem jak bogatą. Źle robisz, chodząc z nim ciągle; plotki krążą po obozie... aż wstyd powtarzać.

— Zabiję pana! — syknęła przez zaciśnięte zęby, drżąc na całem ciele w namiętnej nienawiści. — Każę pana zabić Poleonowi!

Machinalnym gestem wskazała ku przystani, gdzie Kanadyjczyk zajęty był sortowaniem skór.

Runnion roześmiał się ironicznie i rzekł z pogardliwem wzruszeniem ramion:

— Radzę pomyśleć o tem, co powiedziałem. Jestem zawsze do usług.

— Precz! Precz! — wykrzyknęła z niepohamowaną pasją.

Niedbałym ruchem wziął z lady przygotowany cukier i rzekł, stojąc już we drzwiach:

— Dobrze. Lecz wrócę tu jeszcze, a wówczas musisz się zgodzić. Nie chcę, by mnie nazywano „squawman", zresztą ładna jesteś i sprawiasz wrażenie białej. Chcę zostać legalnym mężem, mogę więc wziąć z tobą ślub. Naprawdę!

Oddech zamarł w jej piersi; nie mogła już wyrzec ani słowa; pocieszała się tylko tem w myśli, że Poleon zastrzeli go, jak psa na jej rozkaz. A potem całe mnóstwo innych domysłów poczęło się kłębić, niby rój małych, rozpalonych owadów. Słowa Runniona otwarły jej oczy i skierowały uwagę na wiele rzeczy i na tę jedną najstraszniejszą, o której zapomniała, a która była jedyną przeszkodą na drodze do szczęścia. Uprzytomniła sobie teraz, że podczas wszystkich tych długich godzin, spędzonych u boku ukochanego, nigdy nie było mowy o małżeństwie. Spoglądał pieszczotliwie w jej oczy, mówiąc, że żyć bez niej nie może, ale nigdy nie wspomniał o tem, co mogłoby ich związać na zawsze. Zimny dreszcz przerażenia wstrząsnął ciałem dziewczyny. Przyszły jej na myśl słowa kaprala, wypowiedziane przed kilku tygodniami, a potem rozmowa ze Stark'iem, tam na wybrzeżu. A co, jeżeli to wszystko prawda, co powiedział przed chwilą Runnion? Jeżeli Meade nie myśli nawet o małżeństwie? Może bawi się

tylko jej młodem, dziewczęcem uczuciem? Z piersi jej dobył się rozpaczliwy jęk, a gdy Doret, ukończywszy sortowanie skór, wrócił do sklepu, zastał Necię w stanie niezwykłego podniecenia.

— Poleon — rzekła. — Mam zmartwienie, szalone zmartwienie!

— Przez Runnion'a! Widziałem, jak wychodził stąd przed kwadransem — brwi Francuza zbiegły się w jeden łuk złowrogi, a głos stał się nagle dziwnie chrapliwy. — Cóż ci powiedział, co?

— Ależ, nic brutalnego — zaśmiała się szyderczo. — Począł mi nawet prawić komplementy, a potem zaproponował, abym została jego żoną.

Poleon porwał się z miejsca, lecz ona, nie zważając na to, ciągnęła dalej:

— Nie bądź na niego zły za to, że mnie kocha, jestem przecież jedyną kobietą w promieniu stu mil (a właściwie byłam, dopóki tamte nie przybyły), cóż więc dziwnego, że zwróciłam na siebie uwagę? Chciał mi dowieść, że, odmawiając mu, postępuję bardzo niemądrze.

— Opowiedz mi lepiej szczegółowo o wszystkiem — rzekł Poleon. — Wiesz przecież, że w każdej chwili gotów jestem ci pomóc, Neciu.

— Tak, wiem o tem, Poleon — szepnęła z wdzięcznością. — Byłeś mi zawsze bratem, a teraz bardziej mi jesteś potrzebny, niż kiedykolwiek. Do ojca pójść nie mogę, nie zrozumiałby mnie, lub też zrozumiałby za wiele i popsuł wszystko gwałtownem swem usposobieniem.

— I ja nie jestem zbyt pojętny — odparł ponuro

Kanadyjczyk; widać było, że obchodziło go żywo wszystko, co tyczyło się tej dziewczyny.

— Nie myśl, Poleon, że jestem niekobieca, gdyż taka nie jestem absolutnie. Mogę być głupia, łatwowierna, ale przedewszystkiem jestem kobietą. Widzisz, nigdy nie byłam taka, jak inne dziewczęta — a on taki smukły, piękny i pozwolił się kochać — widocznie jest to specjalnością wojskowych. Tak rozkosznie być przy nim blisko, słuchać opowiadań o nim samym i o szerokim świecie, który zna tak dobrze... Zakochałam się... A teraz lękam się, że słuchałam zbyt uważnie tego, co mówił i słyszałam więcej, niż on mi powiedział — mam pełną głowę przeczytanych książek, wiesz...

— Powinien był również wiedzieć o tem — wtrącił.

— Tak, — szepnęła, rumieniąc się — wiedział, że jestem tylko Indjanką!

Kredowa bladość pokryła rumiane policzki Doret'a, uśmiechał się jednak do Neci swym ciepłym, przyjaznym uśmiechem i wielką swą opaloną dłoń złożył delikatnie na ramieniu dziewczyny.

— Patrzałem mu niejednokrotnie w oczy i doszedłem do wniosku, że to porządny człowiek. Jestem pewien, że nie zrobiłby sobie zabawki z biednej dziewczyny.

— A jednak tak jest, Poleon — głos jej załamał się nieco; odchrząknęła i dodała z patosem: — Mówią już o tem w obozie, Runnion mi powtórzył.

— Łatwo się o tem przekonać — rzekł. — Runnion nie takie już zmyślał historje.

— Nie dbam o to, co mówią. Chcę wiedzieć prawdę; chcę wiedzieć, jakie są jego myśli i jakie zamiary. Przysięgał, że kocha mnie, a nigdy nie zaproponował,

abym została jego żoną. Zabrnął za daleko; uczynił ze mnie głupią gąskę, ażeby się bawić — i nie widziałam tego do dzisiaj! On się śmieje ze mnie, Poleon, on się śmieje ze mnie teraz! Och, nie zniosę tego!

Doret wziął z lady szeroki swój kapelusz i wkładał go sobie ostrożnie na głowę; zatrzymała go, gdy szedł ku drzwiom z dzikim błyskiem w oczach.

— Poczekaj, aż zrozumiesz, poczekaj! On jeszcze nic złego nie uczynił.

— Z tem właśnie kłopot. Idę, aby go sprowokować.

— Nie, nie! Tak nie można; zabija mnie ta ciągła niepewność... nie jestem pewna...

— Słyszałem już — obruszył się. — Nie czas teraz na grę w ciuciubabkę.

— Powiadam ci, że może on być najuczciwszym — tłumaczyła mu spokojniej nieco, — może nawet zamierza ożenić się ze mną, ale ja muszę w i e d z i e ć o tem. I dlatego właśnie zwróciłam się do ciebie, bo muszę się dowiedzieć o tem za wszelką cenę.

— Jestem dobrym kupcem, Neciu — rzekł Kanadyjczyk po chwili. — Zaproponuję ci pewien interes. Jeżeli on powie „tak", wyjdziesz za niego i nie będę pytał o nic więcej; jeżeli zaś powie „nie", oddasz go wtedy w moje ręce. Zgoda?

Zawahała się, a on tymczasem ciągnął dalej:

— Nie wyobrażam sobie mężczyzny, który mógłby bawić się tobą. Czy przyjmujesz moją propozycję?

— Tak — odparła (przemówiła w niej w tej chwili krew półdzikiej Indjanki) — lecz musisz się dowiedzieć prawdy, nie wolno ci się omylić; byłoby to okropne.

— Bądź spokojna.

— Jeżeli odmówi, zostanę żoną innego jak najśpi-

szniej. Cały obóz mówić będzie o tem, stanę się pośmiewiskiem wszystkich. Och, Poleon! Zaufałam mu wszystko bez zastrzeżeń, nawet pierwszy w życiu pocałunek...

Doret załamał ręce i począł kiwać głową bezradnie, jakgdyby pod wpływem wielkiego bólu; wargi jego były suche i milczące. Podeszła bliżej ku niemu i ciągnęła dalej:

— Nigdy nie pozwolę na to, aby mnie wytykano palcami i mówiono: „Oto idzie squaw, którą on porzucił“.

— Ciężką mi powierzasz misję — rzekł Poleon złamanym głosem.

— Posłuchaj — odezwała się znowu po chwili. — Powiadasz, że ojciec Barnum będzie tu w niedzielę? Doskonale, wezmę ślub z kimkolwiek, wszystko mi jedno z kim! — Nagle krzyknęła z rumieńcem na twarzy: — Wiesz, wezmę ślub z tobą, sam mówisz, że byłabym dla ciebie odpowiednią żoną.

Powstrzymał stłumiony okrzyk radości.

— Czy naprawdę myślisz o tem, Neciu?

— Tak — oznajmiła. — Czemużby nie? Przecież uczynisz to dla mego dobra, nieprawdaż?

— A będziesz mogła odpowiedzieć „tak“, gdy ksiądz zapyta cię, czy mnie kochasz?

— O, tak, naturalnie! Wolę ciebie, niż kogoś innego, ale w niedzielę muszę być mężatką. Nie pozwolę, aby się ze mnie śmiano.

Doret milczał chwilę, a potem spojrzał w twarz dziewczyny i rzekł przyciszonym głosem:

— Najłatwiejszą rzeczą jest pójść i zapytać go, lecz

ty musisz słyszeć jego odpowiedź na własne uszy, abyś nie sądziła, że kłamię. Sprowadzę go tu, do sklepu, a ty ukryjesz się za tą szafą. Przypuszczam, że tak będzie najlepiej.

Wyszedł krokiem zgrzybiałego starca z opuszczoną na piersi głową. Wrócił po kilku minutach.

— Posłałem po niego małego John'a. Wejdź tam za szafę i czekaj.

XII. Pasmo powikłań.

Wszedłszy do sklepu, Burrell pozdrowił serdecznie Poleona.

— Domyślam się, czemu przysłał pan po mnie, Poleon. Słyszałem o odkryciu i zamierzałem nawet przyjść, aby powinszować Neci. Strasznie się cieszę.

— Tak, wielkie to dla niej szczęście; będzie bogatą dziewczyną.

— Jestem tak rad, jakgdyby działki należały do mnie; sądzę, że i pana uradowała ta wiadomość.

Francuz skinął głową.

— Bardzo kocham Necię, jak — jakgdybym był jej bratem. — Świadomość, że dziewczyna słyszy całą rozmowę, krępowała go dziwnie. — Chciałem pomówić z panem w pewnej kwestji — rzekł po chwili, zwracając się do zdziwionego jego zmieszaniem oficera, — lecz nie chciałbym, aby pan sądził, że mam w tem jakiś osobisty interes.

— Nonsens, — oburzył się Burrell — zbyt dobrze się znamy.

— Uważa mnie pan za przyzwoitego człowieka, nieprawdaż? I wie pan o tem, że nie lubię się wtrącać do

cudzych interesów. Zwracam się teraz do pana, jak człowiek do człowieka zwraca się w zmartwieniu.

— Proszę się nie krępować, Poleon. Mów pan śmiało. Jeżeli będę tylko mógł w czemś pomóc, może pan liczyć na mnie.

— Dobrze; — zaczął, nerwowo chrząkając — otóż kwestja wygląda w ten sposób. Ludzie zaczynają obgadywać Necię, a wie pan, że opinja jest najważniejszą rzeczą dla dziewczyny.

— Któż to mówi o niej? — wykrzyknął oficer.

Okrzyk ten przyśpieszył bicie serca w rozfalowanej piersi ukrytej za szafą dziewczyny.

— W lokalu Stark'a mówią i śmieją się, że Necia szaleje za panem i że pan nie ma zamiaru jej poślubić.

— To Runnion! — zawołał Burrell, biegnąc do drzwi. — Załatwię się z nim natychmiast!

Poleon zastąpił mu drogę i mówił dalej poważnie:

— Nie, monsieur, przed załatwieniem porachunków z Runnion'em musi mi pan powiedzieć, czy to prawda.

— Prawda! — odburknął gniewnie porucznik. — To nie pański interes, tyczy się to tylko mnie.

— I mnie również. Jestem opiekunem Neci do powrotu Johna Gale'a, poza tem jestem jej bratem. Obiecał pan mówić ze mną spokojnie, a ja pytam tylko, czy prawdą jest to, o czem mówią w obozie?

Powaga jego i sroga mina obrażały Burrell'a, nie był bowiem przyzwyczajony, aby ktoś zwracał się doń w ten sposób.

— Poleonie Doret, — rzekł, pochmurniejąc nagle — nie wrogowie obmawiają człowieka, lecz przyjaciele.

Uważałem pana za człowieka odważnego i uczciwego, a okazuje się, że jest pan sentymentalnym idjotą.

— Czcze słowa, — odparł spokojnie Doret — właśnie dlatego nie mam zamiaru się obrażać. Uważał mnie pan za człowieka uczciwego? Słusznie i dlatego zwracam się do pana z zupełnie szczerem zapytaniem. Jestem przyjacielem Neci i do ostatniej kropli krwi walczyć będę z tym, kto jej wyrządzi jakąkolwiek krzywdę. Dziś muszę wiedzieć prawdę: czy ma pan zamiar z nią się żenić?

Cisza, która nastała, była ogromnie przykra dla obydwóch. Ukryta za szafą dziewczyna wstrzymywała oddech, zatapiając paznokcie we własnych dłoniach. Czemuż on się waha? Czyż nigdy już nie usłyszy odpowiedzi jego?

— Dziwi mnie pańskie pytanie, — rzekł wreszcie Meade — zaskoczyło mnie ono. Zanim odpowiem panu, pragnąłbym zaznaczyć, że Necia jest tak samo czystą teraz, jak była, gdy ją poznałem.

Poleon strzepnął niecierpliwie palcami.

— Monsieur, nie mamy potrzeby mówić o tem.

— Ma pan rację! Nie powinienem nawet o tem wspominać. Przyznaję, że nie była mi ona obojętną, ale jestem gentlemanem i odnosiłem się do Neci z całym szacunkiem, jak do kobiety z towarzystwa.

— A czy zamierza pan ją poślubić? — powtórzył Doret natrętne swe pytanie.

Wątpliwe, czy któryś z mężczyzn potrafiłby odpowiedzieć na nie bezpośrednio, tem bardziej dla Burrell'a nie było to rzeczą łatwą, trwał on bowiem dotychczas jeszcze w ustawicznej rozterce; dwie przemożne siły: uczucie i zimny rozsądek, staczały w nim nadal uciążli-

wą walkę. Chciał już powiedzieć: „Tak, ożenię się z nią jutro“, lecz coś dziwnego zdławiło niewypowiedziane słowa; czyż miał prawo złożyć swą złotą wolność, nadzieję i ambicję na ołtarzu miłości. Czyż postanowienie to nie kształtowało się w duszy jego w ciągu ostatnich miesięcy? Jednakże wahał się jeszcze teraz.

— Trudno mi powiedzieć — oznajmił po dłuższej chwili, — wątpię bowiem, czy mnie pan zrozumie dokładnie. Życie pańskie różni się od mego, zbyteczne więc byłoby wyjaśnienie, dlaczego nie mogę poślubić Neci. Pominąwszy istotę sentymentu, składa się na to wiele najrozmaitszych okoliczności...

Przyciszony, histeryczny śmiech przerwał dalsze jego wywody; dostrzegł Necię, stojącą opodal, w ciemnej niszy.

— Zabawny z pana jegomość! — zawołała. — Ciężka to była sprawa nie odzywać się przez cały czas, gdy pan tymczasem biedził się nad dobraniem odpowiednich słów, któreby mogły usprawiedliwić całe pańskie postępowanie. Wiedziałam, że prędzej, czy później parsknę śmiechem.

— Co to ma wszystko znaczyć? — oburzył się porucznik. — Więc to jest żart?

— Tak, istotnie; — oznajmiła, śmiejąc się znowu — jeden z najlepszych żartów, jakie kiedykolwiek słyszałam. Czyż to nie śmieszne, Poleon — zwróciła się do Francuza, — słyszeć go jąkającego się i nie mogącego ci wytłumaczyć, że zbyt arystokratycznie jest urodzony, aby mógł zostać mężem metyski! O, bardzo szlachetnie postąpił pan, sir, żadnego bólu nie sprawił mi pan swą szczerością.

— Necia!

— Jest to widocznie oznaką rycerskości pańskiej. Doskonale, bawiłam się panem dość długo, poruczniku Burrell, znudziła mi się ta gra; przestał mnie pan intresować.

— Więc ty, ty mówisz, żeś się bawiła mną? — wybełkotał oficer. Wszystko, co go otaczało, poczęło się dziwnie chwiać przed jego oczami, ziemia zdawała się pod nim rozstępować.

— Dlaczegóżby nie, — zawołała wyzywająco — a jak pan zwerbował mnie sobie dla zabawy? Był pan piękny, wytworny, ubrany bez zarzutu, a ja wiedziałam, że jestem tylko Indjanką, ale przypuszczałam, że mogę być jednak podobną do innych kobiet; pan przecież też nie był dla mnie mężczyzną takim, jak wszyscy. — Mówiła teraz szybko i głośno, krzyczała prawie, jakby pragnąc powetować tamte przymusowe, milczące chwile, spędzone w ukryciu. — Nie powinien pan tracić czasu na próżne debaty, czy jestem odpowiednią żoną dla pana, ponieważ zdecydowanie nie jestem pańskim typem, a pan jest dla mnie tylko uosobieniem żartu.

Z trudem stłumił okrzyk rozczarowania; przyglądał się błędnym wzrokiem gorejącym jej oczom i posiniałym, drżącym wargom.

— Widzi pan — zaczęła znowu po chwili, — czas skończyć z temi głupstwami, gdyż biorę ślub już w niedzielę.

— Pani wychodzi zamąż? — wykrzyknął nieprzytomnie.

— Tak, za Poleona. Przecież wiadome to było oddawna.

Rzuciła Kanadyjczykowi przelotne, znaczące spoj-

rzenie, gdy tymczasem oficer zwrócił się doń złamanym głosem:

— Więc i pan jest w tem, Doret? I pan odgrywa rolę w tej oryginalnej farsie? Przywołał mnie pan tu, aby wystawić mnie na dudka, nieprawdaż? Doskonale, mogę służyć panu...

— On jest niewinny! — zawołała dziewczyna histerycznie. — To wszystko moja robota! Poleon nie przyjmował w tem udziału.

— Czy to prawda? — zwrócił się Burrell do Francuza.

— Tak — odparł Doret zmienionym głosem. — Nic o tem nie wiedziałem.

— Jesteś pan kłamcą! — wykrzyknął oficer z furją; tamten spojrzał mu w oczy głęboko, nie uczyniwszy żadnego ruchu.

— Monsieur — rzekł. — Przeżyłem trzydzieści lat i nigdy nie nazywano mnie w ten sposób. Dla pewnych powodów nie odpowiem panu na to. — Znacząco spojrzał w stronę Neci i zanim porucznik zdążył zareagować, ciągnął spokojnie dalej:

— Źle jest walczyć z dwojgiem ludzi naraz. Twierdzi pan, że jest pan gentlemanem; ja, coprawda, nim nie jestem, ale nie zwykłem kłócić się w obecności kobiety.

— Czemu pan się oburza, poruczniku Burrell? — ironizowała Necia. — Był to poprostu żart niekulturalnej metyski. Nie warto kłócić się o Indjankę.

— Ma pani zupełną słuszność — odparł z przekąsem. — Jestem bardzo niemądry, wolno się pani śmiać ze mnie. — Za wszelką cenę starał się uśmiechnąć, lecz nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. — Żart pani nie jest żartem używanym przez nas i to wszystko. Przyj-

mijcie ode mnie najserdeczniejsze życzenia długotrwałego szczęścia. Niewątpliwie będzie wam dobrze razem; macie obydwoje doskonały humor i jednakowe dążenia.

Skłonił się głęboko i wyszedł ze sklepu.

Gdy zniknął za drzwiami, Necia podbiegła bez tchu do Francuza.

— Musisz się ze mną ożenić, Poleon — zawołała. — Teraz nie mamy już innego wyjścia.

— Czy myślisz o tem na serjo? — zapytał.

— Jest to nieodwołalne po tem wszystkiem, co zaszło. Pokażę mu, że nie wolno sobie ze mnie robić zabawki. Powiedziałam, że wychodzę za ciebie w niedzielę, więc muszę to uczynić. Ty mnie nie kochasz, oczywiście, bo sądzę, że wogóle nie wiesz, co to jest miłość, nieprawdaż? — Urwała nagle, wybuchając stłumionym szlochem, choć oczy ciągle miała suche i gorejące. — Ja jestem bardzo nieszczęśliwa, ale będę dla ciebie dobrą żoną. Och, Poleon, gdybyś ty wiedział...

Westchnęła głęboko. Głos jego dziwny był jakiś i drżący, gdy począł mówić, pochylając się tuż nad nią:

— Nie! Oczywiście, że nie rozumiem tego rodzaju miłości. Miłością, którą ja znam, jest ta, o której śpiewam w mych pieśniach, sądzę, że różni się ona od twojej i mam wrażenie, że prawdziwe uczucie tylko w pieśni istnieje. Oddawna już jestem tutaj, bo od lat pięciu, ale jutro wyruszam na dalsze poszukiwania nieznanej ojczyzny.

— Poleon! — zawołała, patrząc nań szeroko otwartemi oczami. — Nie jutro, lecz w niedzielę, wyruszymy razem.

Potrząsnął głową przecząco.

— Jutro, Neciu! Pojadę sam.

— Więc nie chcesz poślubić mnie? — spytała zalęknionym głosem.

— Nie! Tej jednej rzeczy nie mogę uczynić nawet dla ciebie, Neciu, tej jednej rzeczy na świecie. Nie mogę zabijać dobrego anioła ostrą, zatrutą strzałą. Dzięki niemu słońce świeci, ptaki śpiewają i drzewa szepcą do mnie; jest on jedynym dobrym aniołem, dzięki któremu życie ma dla mnie jakąkolwiek wartość i dzięki któremu dusza moja śpiewa. Z chwilą, gdy go zabiję, nic mi więcej nie pozostanie, nie dotrę nigdy do „krainy zadowolenia“ i nie będę już śmiać się, ani śpiewać. Wolę śpiewać aniołowi memu i gawędzić z nim, gdy będę sam w swej łodzi, niż mieszkać z tobą w pięknym pałacu i pozwolić mu umrzeć z zimna.

— Lecz ja mu powiedziałam, że bierzemy ślub, że nosiliśmy się z tym zamiarem oddawna. Posądzi mnie o kłamstwo — biadała w rozpaczy.

— Bardzo źle, ale nie może to być uskutecznione ze mną. Miłości zabijać nie wolno. Pozwoliłbym sobie uciąć rękę, Neciu, lecz nie mogę zostać niczyim mężem na żarty.

— Głupia twoja głowa przepełniona jest romantyzmem — wybuchnęła Necia. — Sądzisz, że robisz mi łaskę, a wcale tak nie jest. Nawet Runnion chętnieby mnie poślubił! — Dziki jej śmiech wyprowadzał Poleona z równowagi. — Niema tu takiej drugiej dziewczyny, jak ja! Wzbudziłam miłość w sercach wszystkich mężczyzn, chociaż jestem metyską, jednak na myśl o ślubie każdy z was blednie i wycofuje się czem prędzej. Okazuje się, że jestem odpowiednią żoną tylko dla oszustów, którzy nie zwracają uwagi na rasę. — Padła na krzesło i ukrywszy twarz w dłoniach, wy-

buchnęła głośnym płaczem. — Gdybym chociaż mogła się zwierzyć kobiecie, ale tu sami mężczyźni, sami mężczyźni...

Poleon czekał cierpliwie, aż się dziewczyna uspokoi, poczem pomógł jej wstać z krzesła i wyprowadził na rozsłoneczniony plac przed sklepem. Spoglądał za nią przez chwilę, dopóki nie zniknęła na zakręcie ścieżki, prowadzącej do domu Gale'a.

— Taki jest koniec wszystkiego — mruknął do siebie. — Pięć lat oczekiwania i wszystko napróżno.

Meade Burrell cudem jakimś dotarł do swej kwatery; wszedłszy do wnętrza, przekręcił klucz w zamku i począł dopiero teraz przeżywać raz jeszcze to wszystko, co miało miejsce przed godziną niespełna. Biegał jak szalony po pokoju, nie rozpoznając własnych sprzętów, a nawet to, co mówił do siebie, wydało mu się dziwnie obcem i niezrozumiałem. Jednakże po upływie kilku godzin energja wyładowywać się poczęła i Meade uspokajał się nieco. Trapiła go ciągle jeszcze myśl, że Necia zostanie żoną innego. Za dwa dni będzie już mężatką. Ten wielki, muskularny Poleon będzie ją pieścić i całować, a ona, połączona z nim małżeńskim sakramentem, ulegać będzie musiała każdemu kaprysowi Francuza. W chwilach zupełnej przytomności umysłu Burrell orjentował się doskonale, że myśl o małżeństwie ukochanej dziewczyny doprowadzić go mogła do szaleństwa; w tej chwili dopiero pojął, jak bardzo była mu drogą. Dlaczego jednak nie znalazł w sobie tyle silnej woli, aby zatrzymać ją dla siebie i aby nikt inny nie miał do niej dostępu? Czyż mógł jednak wyzywać świat cały przeciwko sobie? Czyż mógł walczyć z taką potęgą, jaką była rodowa tradycja?

Po kilku minionych godzinach, gdy zimny rozsądek upomniał się znowu o swe prawa, porucznik począł zastanawiać się nad tem, dlaczego właściwie Necia zdobyła się na takie kłamstwo. Bezwątpienia musiała oddawna już być zaręczona z Francuzem, a on, Burrell, był dla niej tylko chwilową zabawką. Pocóż jednak niejednokrotnie zapewniała go o swej miłości? Potwierdzeniem jej słów był zresztą sam wyraz niewinnej twarzyczki, która przecież kłamaćby nie umiała.

Całe poobiedzie przepędził zamknięty w swym pokoju i podczas długich godzin samotnego rozmyślania po raz pierwszy zastanawiać się zaczął nad wnętrzem własnej duszy. Prawdziwe życie poznał dopiero teraz i przekonał się, jak ważną rolę odgrywa w niem miłość.

Gdy ordynans przyniósł mu wieczerzę, Burrell odesłał go zpowrotem, nie otwierając drzwi. Powoli zapadała noc, a wraz ze zbliżającemi się ciemnościami uczucie samotności poczęło dolegać Burrell'owi; zapalił wszystkie znajdujące się w pokoju lampy i świece, lękając się podświadomie snujących się po kątach złowrogich cieniów. Noc wydawała mu się ciemniejszą, niż zwykle. Opuścił go chwilowy gniew i pragnął nadewszystko wyjaśnić Neci całą przykrą sytuację. Pragnął powiedzieć jej raz jeszcze, że ją kocha naprawdę i że nigdy nie miał zamiaru jej okłamywać. Może wówczas zmieni ona plan swego małżeństwa, ale przedewszystkiem porucznik musi się dowiedzieć, co było kłamstwem, a co poprostu grą tylko. Owładnęło nim znowu przemożne pożądanie ujrzenia jej raz jeszcze i usłyszenia słodkiego jej głosu. Porwał ze stołu czapkę i, jak szalony, wybiegł z kwatery.

Na wybrzeżu przygotowywano jakąś łódkę do dr

gi. W słabem świetle księżyca rozpoznał Burrell Poleona, zajętego naprawianiem burty. Przechodząc koło domu Gale'a, porucznik dostrzegł przez okno Allunę; prawdopodobnie Necia była w swoim pokoju. Wiedział, że do pokoju dziewczyny prowadzi oddzielne wejście wprost z bocznej uliczki, gdy jednak na parokrotne pukanie nikt nie odpowiedział, oficer wszedł do wnętrza i nagle stanął oczarowany na progu. Na środku pokoju stała Necia w swej pięknej, balowej toalecie, przywiezionej jej przez Poleona z Dawson. Ujrzawszy Burrell'a, zapomniała snać o wszystkiem, co zaszło w sklepie i zdawała się oczekiwać, aż przemówi do niej pierwszy.

Niezwykła piękność dziewczyny podziałała na porucznika do tego stopnia, że nie mógł wymówić ani słowa, lecz gdy ona uczyniła nieznaczny jakiś ruch, jakgdyby zamierzała umknąć mu znowu, oficer postąpił kilka kroków naprzód.

— Nie odchodź! — zawołał błagalnym tonem. — Muszę ci coś powiedzieć. Myślałem o tem długo, a teraz wysłuchaj mnie, Neciu.

— Słucham — odparła ze spokojem.

— Zrozum mnie, nie mogę zbyt trzeźwo myśleć po tem wszystkiem, co zaszło. Wiedz tylko, żeś była w błędzie.

— Tak, wiem, niesłusznie postąpiłam. Kobieta nie powinna postępować w ten sposób, nieprawdaż? Ale, widzisz, jestem bardzo nieszczęśliwa.

— Nie o tem myślałem. Chciałem ci zaznaczyć, żeś była w błędzie, sądząc, że uważałem cię tylko za chwilową zabawkę. W obliczu Boga przysięgam, że się mylisz. Kocham cię naprawdę, Neciu. Czy sama tego nie mogłaś zauważyć?

Nie wyrzekła ani słowa.

— Jeżeliś nie zauważyła tego, słuszne było twoje przypuszczenie. Nie wstydzę się teraz mówić o mem uczuciu, chociaż zamierzasz poślubić Poleona. Zaznaczam ci przytem, że kochać cię będę zawsze.

Milczała ciągle jeszcze. Czyż nie powtarzał tych samych, pustych słów, któremi tak często starał się ją omamić? Dlaczegóż i teraz nie wspomniał nic o małżeństwie? Dotkliwy ból przeszył serce dziewczyny, a on, widząc zmienioną jej twarz, począł szeptać dalej:

— Przecież i ty mnie kochasz, Neciu; widzę to w twoich oczach.

Zbliżył się do niej z otwartemi ramionami, lecz ona usunęła się zręcznie pod ścianę.

— Nie, nie! Nie dotykaj mnie! — zawołała z bojaźnią prawie.

— Najdroższa moja, — wybiegło z zaciśniętych jego warg — musisz mnie wysłuchać. Nie powinnaś się mnie lękać, bo cię kocham nad życie! Stworzona jesteś tylko dla mnie i musisz zostać moją żoną. Tak, w niedzielę odbędzie się twój ślub, lecz nie z Poleonem, ani też z żadnym innym mężczyzną.

Czy słyszała dokładnie? Więc on, ten ukochany jej Meade, prosił ją, indyjską dziewczynę?...

— Kochasz mnie, nieprawdaż? — szeptał jej tuż nad uchem.

Lecz ona mówić nie mogła, a on starał się wyczytać słodką dla siebie odpowiedź w błyszczących, półprzymkniętych jej oczach.

— Powiadasz... że chcesz... mnie poślubić? — wybełkotała wreszcie, wahając się w doborze słów, które

odgrywały w tej chwili tak wielką rolę w maleńkim światku jej uczuć.

— Istotnie, chcę! — oznajmił szczerze. — Pomimo wszystko co zaszło i co zajśćby mogło. Reszta nie ma dla mnie znaczenia.

— Doprawdy?

— Doprawdy! Wystąpię z wojska; porzucę służbę i dotychczasowych przyjaciół. Mam zamiar rozpocząć nowe życie wraz z tobą.

— Zaczekaj chwilkę — szepnęła, wydostając się z jego objęć. — Czemu zamierzasz zrywać z tem wszystkiem, co było dla ciebie całym światem dotychczas.

— Nie pytaj czemu, niech ci się zdaje, że już zerwałem. Nigdy nie zrozumiesz tego...

— Sądzę, że teraz rozumiem. Czy rzeczywiście jestem dla ciebie wszystkiem?

— Więcej nawet, niż wszystkiem.

— Posłuchaj mnie teraz — rzekła dziewczyna spokojnie. — Pragnę, aby nie było między nami nieporozumień. Jeżeli poślubisz mnie, poświęcić musisz zawód swój, rodzinę i przyszłość.

— Nie mówmy o tem, Neciu, zdobyłem ciebie...

— Proszę, odpowiedz mi — nalegała. — Mam wrażenie, że rozumiem dokładnie sytuację. Rasa moja jest jedyną przeszkodą na drodze...

— Nie istnieją żadne przeszkody...

— ...do naszego szczęścia. Wiem, że pokonać tego nie mogę, choć mogłabym wznieść się do poziomu twego myślenia. Pochodzenie moje jednak zawsze będzie się różnić od twego.

— Niedorzeczność! — zawołał oficer. — Poco się martwisz, Neciu, jeżeli mnie to nie obchodzi?

— Więc chcesz naprawdę wyrzec się swej rodziny, swej siostry? Odejdziesz od wszystkich tych, których tak kochałeś i którym byłeś tak drogi?

— Niema mowy o wyrzeczeniu się, choć w danym wypadku zależy mi tylko na tobie, najdroższa.

— Wytłumacz mi to jaśniej — prosiła. — Widzisz, taka niedoświadczona jestem pod tym względem.

— Są oni dla mnie niczem w porównaniu z tobą. Zastąpisz mi ich w zupełności.

— Czy małżeństwo nasze zaważy również na szali wojskowej twej karjery.

— Lepiej będzie dla nas obojga, jeżeli zrezygnuję ze służby — przyznał szczerze, — właściwie miałem zamiar już oddawna wystąpić z wojska.

— Nie, nie! Nie powinieneś tego czynić. Dzisiaj jestem dla ciebie wszystkiem, lecz kiedyś przyjdzie dzień...

Pochylił się nad nią i ujął obydwie jej dłonie.

— ...Meade, nie pozwolę ci na to.

— Musisz mi nawet w tem dopomóc — rzekł stanowczo.

— Nie mogę i nie chcę. Nie powinieneś się żenić ze mną, Meade, niesłusznie robisz, nie mogę zostać twoją żoną.

Zrozumiała nagle, czem mogła być dla niej ta odmowa i poczęła drżeć na całem ciele. Myśl o utracie ukochanego była dla niej teraz nie do zniesienia. Jednocześnie jednak pojęcie miłości łączyło się w jej umy-

śle z koniecznością poświęcenia, a kochała go przecież tak bardzo, że nie powinna była dopuścić, aby przyszłość jego zniweczona była na zawsze.

— Nim się zorjentujesz, będzie już po wszystkiem — usłyszała głos jego pełen powagi. — Ojciec Barnum jest specjalistą i cała ceremonja nie potrwa nawet dziesięciu minut.

— Meade, wysłuchaj mnie, proszę — rzekła z niezwykłą u niej stanowczością, która zaniepokoiła go w tej chwili. — Czy sądzisz, że kobieta może być szczęśliwą, zdając sobie sprawę, że mężczyzna całe swe życie poświęcił dla niej? Wolę raczej umrzeć, niż zgodzić się na coś podobnego. Nie zniosłabym takiego życia. O, wiem, że szczęście nasze trwałoby krótko, a potem...—w żaden sposób nie mogła teraz znaleźć odpowiednich wyrazów dla określenia swych myśli. Więzień nienawidzi łańcuchów, które odbierają mu swobodę; nastałby dzień, że zaczęłaby nienawidzieć samą siebie. — Nie, nie! wierz mi, że to się stać nie może. Ty jesteś nie dla mnie, a ja nie dla ciebie.

W tej samej chwili doszły ich głosy starego kupca i jego squaw, zbliżających się do drzwi pokoju. Z zapartym w piersi oddechem Necia zarzuciła ramiona na szyję ukochanego w ostatnim spazmie pożegnania

— Meade, Meade! mój najdroższy! — szlochała — pocałuj mnie po raz ostatni!

— Nie — rzekł twardo.

Przylgnęła rozpalonemi wargami do jego czoła.

— Teraz musisz już iść — szepnęła, odsuwając się od niego. — Dla mego spokoju nie staraj się zobaczyć mnie więcej.

— Zobaczę! zobaczę! Poproszę ojca o twą rękę dzisiaj jeszcze.

— Nie, nie! Nie czyń tego! Zaczekaj do... do... jutra... dopóki nie dam ci odpowiedzi! Przyrzeknij mi! Przez wzgląd na naszą miłość, przyrzeknij!

W oczach jej było tyle bólu i prośby, że Burrell nie rzekł już ani słowa. W tej chwili stary Gale i Alluna weszli do pokoju.

XIII. Udział Stark'a w grze.

Stary kupiec pozdrowił przyjaźnie porucznika, lecz na widok córki zatrzymał się, jak wryty, na progu.

— Prosiłem cię, abyś nigdy nie nosiła tej sukni — rzekł suchym, twardym głosem.

Dziewczyna wybiegła z pokoju bez słowa. Burrell'em owładnęła w tej chwili przemożna żądza zakomunikowania Gale'owi o wszystkiem, lecz, niestety, przyrzekł Neci milczenie. Banalna z początku rozmowa zeszła na tory ostatnich wieści z kopalni.

— Działki Neci nabierają wartości z każdą godziną — odezwał się kupiec. — Wczoraj znaleziono nową żyłę złota.

— A pańskie działki czy są równie żyzne?

— Nie; widocznie obydwaj z Poleonem mamy nieszczęśliwą rękę. Kilku jego robotników zrezygnowało z dalszego kopania. Poszukiwania żyły nie dały żadnego rezultatu.

— Na terenach musi być jeszcze dużo miejsca niezarezerwowanego, nieprawdaż?

— Nie mam nadziei znalezienia żyznych pokładów. Czy słyszał pan o Runnion'ie?

— Tak; zwykła historja. Źli ludzie są właścicielami

żyznych kopalń, dobrym zaś przypadają najmniej urodzajne działki. Jestem pewien, że stałoby się ze mną to samo, gdybym zarezerwował cośkolwiek dla siebie; na samą myśl o tem czuję się ogromnie szczęśliwy.

Śmiejąc się, życzył im dobrej nocy, zadowolony z siebie i z wszystkiego, co go otaczało.

Po wyjściu Burrell'a Gale zawołał Necię z przyległego pokoju, przeraził go jednak tragiczny wyraz jej twarzy.

— Córko — rzekł, — nie mam zamiaru gniewać się na ciebie, ale wiesz, że nie lubię tej sukni.

— Więc byłeś zły na mnie, ojcze? — spytała bezdźwięcznym głosem. — Nic nie wiem o tem. Cóżeś mi takiego powiedział?

Przyjrzał się jej z niepokojem.

— Neciu, dziecino, co tobie?

Patrzała gdzieś w przestrzeń z palcami zatopionemi w fałdach sukni; sprawiała wrażenie obłąkanej.

— Odtrąciłam go, odtrąciłam go, a on mnie kocha, kocha mnie bardzo. Och, ojcze! On chce mnie poślubić, a ja go odtrąciłam.

Alluna stłumiła krótki okrzyk zadowolenia.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze — szeptała, spoglądając znacząco na Gale'a. — On przecież obcy.

Lecz stary kupiec nie zwracał uwagi na jej słowa.

— Powiedział, że chce cię poślubić bez względu na to, czem jesteś ty i czem jest twój ojciec?

— Tak; gotów jest zrezygnować ze swych ambicyj, wyrzec się stanowiska, przyszłości, rodziny, wszystkiego dla mnie. Chce poświęcić wszystko, ale ja, oczywiście, nie mogę na to pozwolić.

Mówiła tak prosto, jakgdyby ojciec wtajemniczony

był w całą jej rozmowę z Burrell'em. Po chwili głos jej załamał się nieco:

— Widzisz, nigdy nie przypuszczałam, że pochodzenie moje będzie tak wielką przeszkodą. Byłam bezmyślna i samolubna, a teraz pragnę być żoną Meade'a, bo kocham go bardziej, niż sądziłam. Nie mogę jednak przyjąć od niego tylu poświęceń!

Podeszła do otwartych drzwi i oparła się o drewnianą framugę, odwrócona do nich plecami.

Alluna przysunęła się do kupca z cichym szeptem:

— To minie za chwilę, John. Młoda jest. Jutro wyślemy ją zpowrotem do Misji. Zapomni wkrótce.

— Zapomni? Czy przypuszczasz, że można zapomnieć?

— Każda kobieta zapomnieć może. Tylko mężczyźni pamiętają.

— Rasa twoja kłamie przez twe usta. Wiesz przecież, że mówisz nieprawdę.

— Chcę uratować ci życie — rzekła.

— Wiem, lecz napróżno. — Zwrócił się do Neci: — Nie martw się, córko. — Lecz ona była głucha. — Nie powinnaś go odtrącać; zapewniam cię, że wszystko skończy się dobrze.

Widząc, że dziewczyna nie rusza się z miejsca, podszedł bliżej i spojrzał jej prosto w oczy.

— Czy nie możesz mi zaufać ten jeden raz? Zawsze wierzyłaś mi, Neciu. Zostaniesz jego żoną z pewnością.

Beznadziejnem spojrzeniem zawisła na twarzy ojca.

— Wiem, że nie rozumiesz — szepnęła. — A ja... o Boże!... ja go tak bardzo kocham!

Z okrzykiem ranionego zwierza wybiegła z domu

w ciemną noc, aby w samotności ukoić ból, który żarł jej duszę; nigdy jeszcze nie płakała w obecności ojca. Zaniepokojony Gale chciał biec za córką, lecz Alluna zatrzymała go przezornie.

— Nie, nie! Od tego zależy twoje życie, John. Pozwól umrzeć tajemnicy, a ona na pewno zapomni. Jest jeszcze młoda. Czas uleczy ją, bo czas leczy wszystko. Nie mów jej, nie mów nikomu, a przedewszystkiem nie zwierzaj się oficerowi! On i tak nie uwierzy, bo nawet ja wątpiłam!

— Ty?

— Tak, John. A jeżeli mnie trudno było uwierzyć, cóż mówić o człowieku zupełnie obcym? Każdy, kto zna ciebie, zwątpi o prawdziwości tej historji. A czy myślałeś kiedyś o tem, że i ona twym słowom nie uwierzy? Czyż nielepiej, aby przeżyła swe życie z wiarą i zaufaniem do ciebie?

— Tak, tak! Naturalnie, myślałem o tem, lecz... Kobieto, jesteś gorsza od węża!

— A i on, jeśli się dowie, nie poślubi jej z pewnością. Przecież ty jesteś niewinny, a tamten człowiek zamordował. Nie wolno poświęcać życia dobrego człowieka za cenę smutku, który minąć musi.

Alluna mówiła przez cały czas w swem rodzimem narzeczu; twarz jej płonęła, a w oczach zapalały się nieznane błyski.

— Sądzisz, że czas uleczy tę miłość? — zapytał.

— Tak, tak!

— To wszystko, co wiesz o tem. Czas działa na uczucia mieszczuchów, ale my, tu w górach, jesteśmy innymi ludźmi. Nawet i ty pod wpływem świeżego tchnienia Północy stałaś się inną, niż byłaś przedtem.

Czas — czemuż to ja w ciągu lat piętnastu nie zapomniałem ani na chwilę? Każdej nocy śniłem o tem i co dnia przeżywałem to na nowo; wieczorem przy ognisku ukazywała mi się jej twarz, a lekki, górski wiaterek przynosił mi jej głos słodki. W burzliwe noce patrzały na mnie oczy, podobne do oczu Neci, a czerwone, rozchylone wargi przywoływały mnie do siebie. Wielka tarcza księżyca uśmiechała się do mnie jej śmiechem, który niknął potem o świcie. Miłość! Czas! Widzisz, Alluno, miłość nie umiera nigdy, a czas, który mija, potęguje zwykle to uczucie.

Podniósł z ziemi biały, górniczy kapelusz, który rzucił, wchodząc do pokoju, i skierował się ku drzwiom.

— Dokąd idziesz? — indagowała squaw lękliwie.

— Idę do koszar poddać się!

Rzuciła się ku niemu z okrzykiem rozpaczy.

— Nigdy mnie nie kochałeś, John, lecz ja byłam zawsze dobra dla ciebie, choć wiedziałam, że ustawicznie myślisz o niej, a nigdy o mnie. Kochałam tę dziewczynę, gdyż wiedziałam, że ty ją kochasz. Nienawidziłam twych wrogów, i ty bowiem ich nienawidziłeś, a teraz pamiętam, choć ty zapomniałeś.

— Zapomniałem! Co masz na myśli?

— Stark'a!

Mężczyzna zamilkł na chwilę.

— Istotnie — prawie że zapomniałem o nim — po piętnastu latach!

— Zabij go dziś jeszcze! Potem pójdziemy razem na posterunek, ramię przy ramieniu — wszak jestem twoją squaw. Necia zajmie się małymi.

Gale przyjrzał się jej uważnie; nie poznawał teraz tej lękliwej, pokornej Indjanki, oczekującej każdego

skinienia swego męża i pana. Skąd się wzięło tyle energji u tej kobiety? Żadna inna nie byłaby zdolna do takich poświęceń. Wykradł ją przecież z plemienia i kazał wierzyć w to, w co on wierzył. Od lat piętnastu nie opuszczała go ani na chwilę, spełniając każdy jego rozkaz i nie pytając o nic. Była mu żoną, przyjaciółką i niewolnicą zarazem, nie domagając się niczego wzamian, choć sama dawała z siebie wszystko.

— Na Boga! Przeliczyłaś się, Alluno! Nie wolno mi wymagać od ciebie tego — szepnął zdławionym głosem po dłuższej chwili milczenia. — Postanowiłem sam załatwić swe porachunki, dla ciebie niema tam miejsca. Necia zmarnować się nie może. Im prędzej dotrze to do Burrell'a, tem lepiej. — Pochylił się i dotknął ustami zimnych jej warg. — Dzięki ci, Alluno, za to, żeś uczyniła ze mnie człowieka w chwili, gdy zwątpiłem o sobie i o ludziach. Teraz pozostań tutaj. — Wiedział, że może liczyć na jej posłuszeństwo, to też wyszedł, nie oglądając się nawet poza siebie.

Stojąc w otwartych drzwiach, owinięta nieodstępnym swym szalem, patrzała za nim długo, dopóki nie zniknął w ciemnościach.

Jedyną myślą Neci było teraz odejść jak najdalej od tych, którzy, jej zdaniem, absolutnie zrozumieć jej nie mogli; pragnęła zaszyć się w jakieś ustronie sam na sam ze swym smutkiem, którego nic przecież nie zdołałoby ukoić. Bez tchu prawie biegła ku wybrzeżu, ślepa i głucha na wszystko, co ją otaczało, nie mogąc w tej chwili zdecydować się na nic. Silny wiatr, dmący z północy, rozwiewał włosy dziewczyny, utrudniając szybki jej krok i chłodząc jednocześnie rozpalone czoło.

Dobiegłszy do wybrzeża, padła na zroszoną murawę i wybuchnęła głośnem łkaniem.

Niedługo jednak była zupełnie sama, w promieniach bowiem księżyca zamajaczył woddali cień zbliżającego się mężczyzny. Necia nie dostrzegła jego obecności, kroki przybysza tłumiła miękka trawa i nawet na zapytanie jego: „Kto tu?“, dziewczyna nie dała żadnej odpowiedzi, leżąc bez ruchu z zanurzoną w trawie twarzą.

— Co się stało? — zapytał. — Kto tu jest?

— To ja, Necia, mr. Stark — odparła cicho wśród łkań.

Podszedł bliżej i dotknął jej ramienia.

— Co ci jest, dziecko? Na litość Boga, co robisz tutaj? Pójdź. Zaledwie kilka kroków stąd do mego domu; musisz odpocząć i uspokoić się trochę. Kark można złamać w tych ciemnościach.

Zmusił ją do powstania z ziemi i troskliwie objął ramieniem.

— Chodź, chodź, — przemawiał do niej niezwykle łagodnym tonem — jesteś przecież moją małą przyjaciółką. Nie pozwolę ci zostać tu samej; za bardzo cię lubię.

Istotnie, w ciągu ostatnich kilku tygodni korzystał z każdej sposobności porozumiewania się z nią, pragnąc wzbudzić do siebie jej zaufanie. O przypadkowych tych spotkaniach Necia nie wspominała nikomu, wiedziała bowiem o niechęci starego kupca do Stark‘a, bała się więc nadmieniać o swej sympatji dla niego.

Gdy weszli do wnętrza domu, Stark zaryglował drzwi i zapalił światło.

— Nie mógłbym zostawić cię tam samej — powtórzył, podsuwając jej fotel. — Ponieważ jesteśmy już tu-

taj... — przerwał nagle, patrząc na nią z niemym podziwem.

Zamiast małej, skromnie ubranej metyski, stała przed nim piękna, wysmukła dziewczyna w balowej toalecie.

— Na Boga! — zawołał oczarowany; ona tymczasem z iście kobiecym wdziękiem poprawiała bezwiednie zgniecione fałdy sukni i potargane od wiatru włosy.

— Wybaczy mi pan chyba tę przykrą scenę — uśmiechnęła się przez łzy, a ujrzawszy powagę na jego twarzy, zapytała z niepokojem: — Co się stało, mr. Stark? Czy gniewa się pan na mnie?

Drapieżna jego twarz miała w tej chwili barwę ziemistą, a w czarnych oczach zapalały się groźne błyski; podany naprzód, sprawiał wrażenie dzikiego zwierzęcia, mającego się rzucić na swą ofiarę.

— Nie — odparł, siląc się na spokój. — Nie, nie! Oczywiście, że nie, lecz strasznie zdziwił mnie widok pani. Przypomina mi pani kogoś. Któż panią ubrał w ten strój? Nie wiedziałem, że posiada pani takie toalety.

— Poleon przywiózł mi tę suknię z Dawson; jest to pierwsza elegancka suknia, jaką miałam w życiu.

Pochylił się nad nią nieznacznie.

— Sprawia pani wrażenie białej kobiety, myślałem... właściwie sam nie wiem, co myślałem.

Wstrząsnął nim dreszcz nagły, choć w pokoju było zupełnie ciepło.

— I ja myślałam o tem niejednokrotnie — szepnęła, a oczy jej napełniły się łzami.

— Ma pani szyję białą, jak mleko — nie chcę pani

obrazić — lecz... Poprostu jest to dla mnie niezwykła niespodzianka! Proszę usiąść tu przy mnie i pomówić ze mną szczerze.

Usiadła w miękkim fotelu, przykrytym puszystem futrem wilka, gdy tymczasem Stark postawił na stole butelkę wina i kilka szklanek. Z ciekawością rozglądała się wokoło, lecz wnętrze pokoju nie miało w sobie nic oryginalnego, oprócz niezwykle wielkiego pieca, na którym płonął wesoło ogień.

— Niezupełnie urządziłem się jeszcze — tłumaczył. — Zbyt zajęty jestem budową i doglądaniem restauracji; lecz dla takiego samotnika, jak ja, i taki apartament wystarczy. Byleby mieć ciepłe ubranie, pełny żołądek i jakikolwiek kąt do spania. Wszystko poza tem, co daje zadowolenie, każdy człowiek posiada we własnem wnętrzu. Zresztą i tak nigdy jeszcze nie byłem zupełnie szczęśliwy.

Mówiąc to, krzątał się w swem gospodarstwie, nalewając wino do szklanek.

— Wiele szczegółów zauważyłem w swem życiu, miss Necia, zazwyczaj lżej bywa ludziom na duszy, gdy się podzielą zmartwieniami swemi z kimś życzliwym. W takich wypadkach i ja niejednokrotnie byłem powiernikiem, chociaż niewielu mam przyjaciół. Może i pani dzisiaj pomóc w czemś zdołam. — Widząc wahanie z jej strony, ciągnął dalej. — Wiem, że nie zdołałem sobie zaskarbić pani zaufania. Chociaż ojciec i ludzie jego nie lubią mnie, to jednak pewien jestem, że mógłbym być pani przyjacielem.

— Właściwie niewiele miałabym do powiedzenia, — szepnęła Necia — ot, zwykłe, dziewczęce

zmartwienia; trudno mi nawet mówić o nich — uśmiechnęła się boleśnie.

— Czy ojciec zrobił pani jakąś przykrość?

— Nie, nie! Nic w tym rodzaju.

— Więc może ten oficer? — uśmiechnął się szyderczo. — Wiem, że zajęta jest nim pani bardzo. A on czy panią kocha?

— Tak! I to mnie właśnie martwi; chce, abym została jego żoną; nie zwraca uwagi na moje pochodzenie.

— No! I czemuż się pani sprzeciwia? Przypuszczałem, że lubi go pani choć trochę — niejedna kobieta wyszłaby za niego chętnie.

— Czy lubię go? — dziewczyna drżała na całem ciele. — Czy lubię go! Przecież uczyniłabym wszystko, aby tylko on był szczęśliwy.

— Nic nie pojmuję.

— Jakto? Przecież ja jestem Indjanką.

— Indjanką? O tak białej cerze? A co na to mówi ojciec pani?

— Chce, abym wyszła za porucznika. Powiada, że wszystko będzie dobrze, ale on przecież nie rozumie tego, bo skąd mógłby rozumieć?

— Ma pani słuszność — przyznał z chytrym wyrazem twarzy. — Jak przyjął porucznik odmowę pani?

— Nie przyjął wogóle. Roześmiał się tylko i oznajmił, że jednakże ożeni się ze mną. — Myśl ta wprowadzała ją znowu w stan podniecenia.

— Czy wie, że pani go kocha?

Głośny, nerwowy jej śmiech był jedyną odpowiedzią.

— I cóż pani zamierza?

— Nie wiem. Jestem tak złamana tem wszystkiem, że nie umiem nic postanowić, lecz sądzę, że najlepiej byłoby, gdybym wyjechała dokądś.

— Doskonale — zawołał szybko, lecz okrzyk jego sprawił wręcz przeciwne wrażenie, niż się tego spodziewał.

— Och, ale nie mogę, nie mogę — szeptała, zalewając się znowu łzami. — Nie mogę wyjechać i nie widzieć go więcej! Muszę pozostać tu, gdzie on jest. Dlaczegóż nie urodziłam się taką, jak inne dziewczęta? Nigdy dotąd nie czułam się Indjanką. Zawsze wierzyłam w to, że więcej jestem warta od innych i wiem, że w duszy mej jest wszystko to, co w duszach ludzi białych. Zupełnie nie jestem podobna do mego rodzeństwa; tamci są zimni, jak bryły lodu na Północy, a ja biała jestem i pełna życia. Nie śnią się im nigdy białe kobiety, które ja widzę we śnie co nocy. Przed oczami ich nie staje zjawa pięknej matki o białej cerze, purpurowych wargach i smutnych, beznadziejnych oczach.

— Więc miewa pani takie halucynacje?

— Tak. Widocznie w duszy nie jestem Indjanką. Nie jestem również metyską. Nazywam się Merridy — Merridy! Oto, czem jestem.

Nie patrzała w tej chwili na niego, to też nie mogła dostrzec zmiany, jaka zaszła w jego twarzy.

— Skąd pani przyszło na myśl to imię? — głos jego drżał dziwnie. Po chwili dodał: — Prawdopodobnie są to wspomnienia historji, którą pani niegdyś opowiadałem.

— O, nie — odparła. — Wiedziałam o tem zawsze, choć nazywano mię Necią. Matka ojca mego miała rów-

nież na imię Merridy. Jestem podobna do niej pod wielu względami i często myślę, że jej duch jest we mnie.

— Matka ojca pani? — powtórzył automatycznie.— To, dziwne. — Zdawał się otrząsać z czegoś usilnie. — To przywidzenie. Śni się pani niejednokrotnie biała kobieta, mająca na imię Merridy? — Nagle głos jego stał się dziwnie twardy i chrapliwy: — Skąd pani wie? Skąd pani wie, że to była jego matka?

— Sam mi mówił o tem...

— Skłamał — syknął Stark.

— Mogę panu pokazać jej obrączkę, którą zawsze noszę przy sobie. — Drżącemi palcami dobyła z za gorsu łańcuszek. — Na obrączce tej wyryto jej imię — „dla Merridy — od Dana".

Stark wysunął łakomie rękę i porwał łańcuszek z drżących palców dziewczyny, poczem, przysunąwszy bliżej lampę, obejrzał dokładnie napis na złotej obrączce.

Necia porwała się z krzesła, pragnąc odebrać zrabowany sobie skarb, on jednak z dzikim błyskiem w oczach odepchnął brutalnie dziewczynę. Z krtani jego dobył się chrapliwy okrzyk zdziwienia i triumfu zarazem.

— Proszę mnie stąd wypuścić — wołała, lecz on uchwycił ją mocno za kiść ręki i przyciągnął blisko ku sobie. Po chwili porwał się z krzesła i puszczając rękę dziewczyny z kleszczowego uścisku, potężną swą postacią zastąpił jej drogę do drzwi. Wsparty ciężko na szerokim stole z szyją, wtuloną w ramiona, z niesympatycznym uśmiechem na bladych wargach, wpatrywał się uporczywie w swą ofiarę. Nie patrząc na zwierzęcą

jego twarz, ruszyła śmiało ku wyjściu, gdy wtem usłyszała rozkazujący jego głos:

— Proszę zaczekać! Nie wypuszczę stąd pani!

Zagryzł z uporem wargi i niepewnym ruchem przetarł zroszone potem czoło.

— Proszę mnie wypuścić stąd! — domagała się dziewczyna stanowczo.

— Niech mi pani wybaczy — rzekł nieco spokojniej. — Chwilowe nieporozumienie. Proszę się nie gniewać, wszakże nic złego pani nie uczyniłem.

— Wykręcił mi pan rękę — szepnęła bliska płaczu. — Podarł pan suknię, — dodała gniewnie — moją najlepszą suknię. Czemu gniewa się pan na mnie?

— To wszystko przez to imię Merridy i przez ten pierścionek, stanowczo za wiele naraz, postradałem na chwilę zmysły. Spadło to na mnie tak nagle, że myślałem... mniejsza o to, co myślałem, ale przykro mi. Postaram się zrehabilitować i kupię pani nową suknię — całe mnóstwo sukien, jeżeli pani zechce.

Zdawało się bawić go to niezmiernie, zaczął się bowiem śmiać nierównym, przytłumionym śmiechem.

W pierwszym porywie pragnął jej powiedzieć wszystko, lecz nie mógł wydobyć z siebie ani słowa, a teraz zadowolony był z tego, że milczał uparcie.

Zorjentowawszy się w niezwykłem swem odkryciu, oszołomiony był przez chwilę, a potem w umyśle jego błysnęło radosne zrozumienie zwycięstwa nad znienawidzonym wrogiem. I nagle z mroków wyłonił się plan, którego kontury rysowały się z każdą chwilą wyra niej. Plan ten nabierał coraz żywszych kształtó widok pięknego krajobrazu, wyłaniający si nej, szarej mgły. Necia nie powinna wied

wówczas bowiem pobiegłaby niezwłocznie do ukochanego i żadna siła na świecie nie zmusiłaby jej do opuszczenia go znowu. Sytuacja taka powikłałaby plan Stark'a i całą kampanję należałoby rozpocząć na nowo. Musi przedewszystkiem usunąć dziewczynę z Flambeau.

— Zastanowiło mię to imię i ta obrączka — rzekł po chwili Stark. — Przypuszczam, że zaszła tu jakaś omyłka — prawdopodobnie utkwiła w pamięci pani historja, którą opowiadałem w szałasie Lee. Pragnąłbym niektóre szczegóły wytłumaczyć. Jestem człowiekiem nerwowym i przyjmuję wszystko niezwykle impulsywnie. Częstokroć nawet trudno mi się opanować, przykro mi, że zniszczyłem pani suknię, lecz będzie pani miała nową.

Wyjaśnienia te zdawały się uspokajać nieco lęk Neci. Istotnie, Stark był teraz tak łagodny i miły, że przerażenie dziewczyny zniknęło nagle, a na jego miejsce zrodziła się w jej duszy prosta ciekawość, która skłoniła ją do spokojnego zapytania:

— Czy naprawdę pan sądzi, że jestem tamtą dziewczyną?

— Nie wątpię o tem ani na chwilę. Matka była... moją przyjaciółką i dlatego tak nagle... straciłem głowę. A teraz jest już wszystko w porządku i jeżeli zechcesz mi pani wybaczyć moment brutalności, możemy mówić dalej o twych troskach.

W ciągu ostatnich kilku minut zapomniała zupełnie o swem zmartwieniu, które wróciło teraz ze zdwo... siłą.

...spomniała pani o chęci wyjazdu stąd — ... z powagą. — Sądzę, że jest to niezwykle

dobry plan i powinna pani to uczynić z wielu względów. Będzie pani miała czas do obmyślenia i powzięcia własnego zdania o wszystkiem...

— Zdanie to mam już teraz, lecz, niestety, wyjechać nie mogę.

— „...i Burrell zdobędzie sposobność wypróbowania swych uczuć. W danej chwili postanowił poświęcić wszystko dla pani; gdy pierwszy zapał minie, a on postanowienia nie zmieni, będzie pani mogła wrócić, a wówczas posiądzie pani pewność, że jest on człowiekiem stałych zasad. Tu, w Flambeau, żadne z was spokojnie myśleć nie może, gdy jesteście razem.

Wzruszona była niezwykłem zainteresowaniem się Stark'a, a argumenty jego zdawały się zupełnie odpowiadać dotychczasowym jej pragnieniom; jednakże wahała się jeszcze przez chwilę.

— Pragnę pomóc pani tak, jakbyś była moją córką.

I znowu ten przykry, nierówny jego śmiech.

— Nie mam dokąd wyjechać, — szepnęła Necia ze smutkiem — chyba do Misji.

— Proszę się nie martwić. Sam załatwię wszystko; najlepiej byłoby wyjechać dziś jeszcze — tak, jeszcze dzisiaj, niema przecież sensu przedłużać tej wegetacji. Każę przygotować łódź i poślę z panią zaufanego człowieka. Rzeka dzisiaj wyjątkowo spokojna i przy dobrem wiosłowaniu jutro wieczorem znajdzie się pani na miejscu. Wioślarzowi każę zabrać kilka koców, aby mogła pani przespać noc jak najwygodniej.

— Zdaje się, że i tak nie zasnę — westchnęła.

— Wszystko będzie dobrze, uspokoi się pani. Odprowadzę panią do łodzi, lecz, niestety, sam muszę tu-

taj pozostać; mam moc roboty. Ważne sprawy muszę załatwić jutro.

— Wrócę do domu, aby się przebrać — rzekła.

Słowa jej zaniepokoiły go nieco, lękał się bowiem, że w ciągu tego czasu Necia zmieni swój zamiar. Musiał jednak przystać na to.

— Doskonale — zawołał. — Ale proszę się postarać, żeby nikt pani nie widział.

— Oczywiście.

— Późno już, więc rodzina śpi pewno. — Spojrzał na zegarek. — Północ! Musi pani być tu za godzinę, przez ten czas każę przygotować łódkę.

Blask poświęcenia zamajaczył w oczach Neci, a wargi jej zaciął wyraz niezłomnego postanowienia. Nie myślała teraz o tem, z jakiej racji Stark miał dysponować jej przyszłością; plan jego wydał jej się w tej chwili jedynem wyjściem z ciężkiej sytuacji.

— Wrócę tu za godzinę — rzekła z prostotą.

Wypuścił ją z mieszkania, poczem zamknął uważnie drzwi na zasuwę. Westchnienie ulgi dobyło się z jego piersi, a twarz rozjaśnił uśmiech zwycięstwa. Dobył z kieszeni swój sześciostrzałowy rewolwer i począł go opatrywać troskliwie.

Naładowawszy nowy zapas nabojów, wsunął rewolwer zpowrotem do kieszeni i spoglądając przez okno w kierunku domu Gale'a, rzekł głośno:

— Długo nie przybywałem, Gaylord, lecz jestem wreszcie. Znalazłem tutaj ciebie i na dodatek Burrell'a! Dzisiejsza noc jest nocą mojego zwycięstwa!

Twarz jego wykrzywił znowu grymas zwierzęcości, a panterze oczy błysnęły tajonem okrucieństwem. Zdecydowanym ruchem zgasił światło i wyszedł z pokoju.

XIV. Tajemnica się wyjaśnia.

Zaledwie kwadrans upłynął od powrotu porucznika Burrell'a do kwatery, gdy Gale zapukał do drzwi jego pokoju; wizyta starego kupca o tak niezwykłej porze zdziwiła mocno oficera.

— Cóż go tu może sprowadzać? — pomyślał Burrell, witając przybyłego.

Szybkiem spojrzeniem ogarnął Gale wnętrze pokoju, jakgdyby urządzenie kwatery świadczyć mogło o usposobieniu jej mieszkańca.

— Muszę z panem pomówić, poruczniku — zaczął nieśmiało gość. — Proszę mi poświęcić ze dwie godziny czasu.

— Niech pan zajmie miejsce i rozgości się jak najwygodniej.

Meade podsunął głęboki, miękki fotel i przyniósł z szafy butelkę wina i woreczek tytoniu. Zauważywszy wyraz zmęczenia na twarzy kupca, który ciężko opadł na fotel, porucznik odezwał się przyjaźnie:

— Mr. Gale, musiał pań chodzić dzisiaj zbyt dużo i jest pan szalenie zmęczony. Jeżeli rozmowa ta ma być tak długa, możebyśmy zostawili ją do jutra?

— Od osiemnastu lat jestem zmęczony, — odparł kupiec — i dziś właśnie zamierzam odpocząć.

Zaległa cisza, podczas której Gale obserwował gospodarza, nalewającego wino do szklanek i sadowiącego się wygodnie w drugim fotelu. Zgrabna postać porucznika w flanelowem ubraniu zdawała się być w tej chwili uosobieniem męskości i młodzieńczej siły, co wzbudziło mimowolną zazdrość w duszy steranego już życiem Gale'a.

— Słucham pana — pierwszy przerwał milczenie Burrell.

— Sądzę, że w wielu momentach przerywać mi pan będzie, pragnąc zadać mi jakieś pytanie, to też chciałem pana prosić, abyś mi pozwolił opowiedzieć mą historję spokojnie do końca, a potem będziemy mogli wrócić do niektórych, niejasnych dla pana, szczegółów. Rzecz ta działa się przed osiemnastu laty i od tego czasu powtarzałem ją sobie tylko w myśli, rozumie pan więc, z jaką trudnością przyjdzie mi teraz ubrać ją w formę prostego opowiadania. Pan będziesz pierwszym człowiekiem, który ją usłyszy — jest pan młody, a historja ta nauczy pana, że niema na świecie rzeczy niemożliwych. Sądzę, że pragnąłby pan wiedzieć, co ma wspólnego moje opowiadanie z panem... Necia — tak, mówiła mi o wszystkiem i dlatego zjawiłem się tutaj. — Umilkł na krótką chwilę. — Czy rzeczywiście ją pan kocha?

Burrell wyjął z ust fajkę i przyglądał się apatycznie rozżarzonym węglom na kominku.

— Kocham ją tak bardzo, mr. Gale, że nic nie potrafiłoby zmienić dzisiejszego mego postanowienia. Z początku wahałem się, czy mam zaproponować, aby została moją żoną, pochodzę bowiem z kraju, w któ-

rym mieszana rasa uważana jest za coś pośledniejszego, a trudno mi było jeszcze wówczas wyrzec się rodzinnej tradycji, która dla pana jest prawdopodobnie czemś śmiesznem, teraz jednak spojrzałem na wszystko jaśniej i widzę, jak błahe były urojone przeze mnie przeszkody. Zamierzam poślubić Necię, mr. Gale; i uczyniłbym to już pojutrze, w niedzielę, lecz nie jest ona jeszcze pełnoletnia, jeżeli więc pan żąda, zaczekam do listopada, gdy Necia skończy lat osiemnaście. Pragnęlibyśmy obydwoje uzyskać pańską zgodę, przykroby bowiem nam było działać wbrew woli ojca, jednakże, gdy odmówi nam pan swego błogosławieństwa, zmuszeni będziemy pobrać się bez pańskiego pozwolenia. — Z szczerością spojrzał gościowi w oczy. — Teraz gotów jestem wysłuchać długiej pańskiej historji, choć nie sądzę, aby mogła ona zmienić moje postanowienie.

Stary kupiec uśmiechnął się ironicznie.

— Zobaczymy. Dałby Bóg, abym był tak stanowczy w pańskim wieku, wówczas historja moja zmieniłaby się nieco i byłaby łatwiejsza do opowiedzenia.

Znów zamilkł na chwilę, poczem z głębokiem westchnieniem przystąpił do rzeczy.

— Kopałem w owym czasie w Mother Lode, w Kalifornji, która była wówczas granicą. Rodzina moja przybyła ze Wschodu, lecz ja, chociaż nie tamtejszy, kochałem te góry i lasy, jakgdyby były one moją ojczyzną. Byłem jednym z założycieli tamtejszego obozu, zwanego Chandon, pomocny byłem przy jego rozwoju, z czego zyskałem wiele moralnego zadowolenia. Ciężkie jednak było to kopanie, ziemia bowiem okazała się niezwykle ubogą. Również ze Wschodu z Ver-

mont — przybyła ona, po ukończeniu szkoły. Prawdopodobnie wykształcenie najbardziej zaważyło na szali jej życia. Najbliżsi jej wkrótce umarli i została sama. Była naprawdę niezwykła. Trudno mi opowiedzieć panu, w jaki sposób spotkałem ją po raz pierwszy i dlaczego odrazu cały świat, oprócz niej, przestał dla mnie istnieć. Przepędziwszy większość swego życia w dziewiczych lasach, bardziej znałem się na rodzajach ptaków i zwierząt, niż na kobietach, poprostu, nie umiałem z niemi postępować; jedynie przy tej dziewczynie czułem się doskonale i nie zdarzyło mi się nigdy odczuć nieumiejętności obcowania mego z ludźmi. Okazało się jednak, że byłem zbyt łagodny dla niej. Pojąłem to dopiero po zjawieniu się drugiego mężczyzny. Nazywał się Dan Bennett — scharakteryzować go może to, że nienawidziły go nawet zwierzęta. Aczkolwiek zamieszkał w tym samym obozie, ja osobiście nie widziałem go nigdy, a słyszałem o nim wiele z ust rozentuzjazmowanej kobiety, domyśliłem się, że zapałał do niej afektem. Przypuszczałem jednak, że prędzej czy później pozna go ona dokładniej i zgłębi niegodziwy jego charakter, lecz o Boże! dla kobiet nawet zły, łańcuchowy pies posiada w sobie pewien niezwykły urok. Wiele kobiet w obozie kochało się w Bennecie, a tylko ona jedna przypadła mu do gustu.

Przybył on z sąsiedniego miasteczka, w którem był właścicielem restauracji i sali gry, to też wyjeżdżał często z obozu i z tego prostego powodu nie zdarzyło mi się nigdy spotkać z nim oko w oko. Z nadejściem wiosny miłość moja do niej stała się bardziej szaleńczą, a im więcej ją kochałem, tem częściej szukałem ukojenia w pracy; im rzadziej ją widywałem, tem czę-

ściej przebywała w towarzystwie Bennett'a. Kilka ostatnich miesięcy przesiedziałem w górach, aż wreszcie pewnego dnia postanowiłem choć na kilka godzin wpaść do obozu. W tym celu udałem się wcześniej niż zwykle do mego szałasu, a gdy spojrzałem w małe, wiszące na ścianie lusterko, przeraziłem się sam wychudłej mej twarzy. Mimo wszystko dnia tego świat wydał mi się jaśniejszy, wybierałem się bowiem przecież do mej ukochanej. Gdy dotarłem do Chandon i skierowałem się do domu, w którym mieszkała, zastałem w nim starą Indjankę o pożółkłej, usianej zmarszczkami twarzy. Zapytałem o Merridy; odparła mi, że zeszłej nocy, po wzięciu ślubu z Bennett'em, wyjechała wraz z nim do sąsiedniego miasteczka. Serce zamarło mi w piersi. Z całego opowiadania Indjanki to jedno utrwaliło się w mym umyśle, że Merridy nie było już w obozie. Ze skupioną uwagą począłem liczyć błyszczące guziki na kaftanie starej kobiety; przebiegłem je wzrokiem kilkanaście razy, a widocznie twarz moja sprawiała wrażenie twarzy obłąkańca, w pewnej bowiem chwili stara zapytała mię troskliwie, czy nie jestem chory. Ale przecież chory nie byłem. Dobra kobieta zapraszać mię poczęła do wnętrza, abym odpoczął nieco. Ponieważ jednak nie czułem ani odrobiny zmęczenia, powlokłem się leniwym krokiem do dawnego mego domostwa, którego nienawidziłem teraz z całej duszy.

Kupiec przerwał i sięgnąwszy po butelkę, napełnił stojącą przed nim szklankę, poczem wypiwszy wino jednym tchem, ciągnął dalej swe opowiadanie.

— Na pewien czas postradałem zmysły. Ludzie przyglądali mi się z szyderczym uśmiechem, a ja szep-

tałem coś do nich niezrozumiale i wracałem znowu do mojej samotni, gdzie siedziałem bezmyślnie, nie tęskniąc za światem. Wreszcie postanowiłem zabrać się do pracy; leśni moi przyjaciele przyjęli mnie bez zdziwienia do swego grona, za co byłem im wdzięczny i przywiązałem się do nich więcej jeszcze. Od czasu do czasu dochodziły mnie wieści o niej, lecz nie wzbudzały one w duszy mej radości. Jak każda kobieta wiedziona intuicją, tak i ona w ciągu krótkiego stosunkowo czasu zgłębiła niemiły charakter Bennett'a. Gdy dowiedziałem się, że urodziła córeczkę, napisałem długi list, który, oczywiście, zniszczyłem, nie wysławszy go. Wieści, zasłyszane o niej, niepokoiły mnie coraz bardziej i niejednokrotnie już postanawiałem osiodłać mego konia, aby biec jej z pomocą. Wiedziałem jednak, że sama przyśle po mnie, gdy cierpienia jej staną się nie do zniesienia. Czekałem więc cierpliwie. Trzy długie lata bez końca czekałem, czekałem na dźwięk jej głosu, na jedno słowo od niej. Wreszcie przywołała mnie i poszedłem. Dnia tego wdzięczny byłem zręczności mego rumaka, jechałem bowiem jak wicher przez doliny i góry. Wjechałem wreszcie w wąskie ulice Mesy, gdzie ona mieszkała. Kroki moje usłyszała na schodach i sama mi drzwi otworzyła. — Przysłałaś po mnie — rzekłem. — A gdzie on? — Lecz on wyruszył do sąsiedniego obozu i miał wrócić nazajutrz rano. Czułem się teraz jak złodziej, który znalazł się w obcem mieszkaniu, w nieobecności jego właściciela. Straszne wrażenie wywarł na mnie jej widok; była chuda, smutna i wynędzniała, smutniejsza niż wszystkie kobiety, które widziałem do tej pory, a zupełnie niepodobna do owej Merridy, którą widziałem przed trzema laty. Wi-

docznie zmiana, która we mnie zaszła, również rzuciła jej się w oczy, spojrzenie jej bowiem zasnuło się nagle mgłą łez, a oddech stał się dziwnie nierównym.— Biedny, biedny chłopcze! Tak bardzo sobie wziąłeś to do serca? — Przysłałaś po mnie, — rzekłem znowu, — którędy on pojechał? — Nic mu nie możesz zrobić — odparła. — Przywołałam cię, aby się przekonać, czy mnie jeszcze kochasz.

— Czyś kiedykolwiek wątpiła? — spytałem, na co ona przestała płakać, szlochając tylko, jak kobieta, która uważa życie za coś, co już dawno minęło.

— Czy możesz mnie kochać po tych wszystkich cierpieniach, jakie miałeś przeze mnie? — wyszeptała. Przypuszczam, że odpowiedź na to wyczytała z mych oczów, nigdy bowiem nie byłem specjalnie wymowny, a widok jej, tak szalenie zmienionej, odebrał mi wszelką zdolność mowy, nie pozostawiając nic, oprócz tępego bólu i garści szarych popiołów. Po zamienieniu kilku pierwszych zdań opowiedziała mi historję, historję pełną okrutnego tragizmu. Sama nie umiała wytłumaczyć teraz, dlaczego poślubiła tego człowieka, lecz gdy miesiąc upłynął od ich ślubu, doskonale już zdawała sobie sprawę ze swego losu. Znała teraz jego samego i życie, jakie prowadził. Z każdym dniem stawał się dokuczliwszym, częstokroć wpadał w furję, pragnąc przełamać śmiały opór jej ducha; przyjście na świat dziecka nie podziałało nań zupełnie, wreszcie poprzysiągł jej i sobie, że nie uspokoi się, dopóki żony i dziecka nie zmieni na swoją modłę. Zrozumiała teraz, że dalsza jej walka nie odniesie żadnego rezultatu, posłała więc po mnie.

— To istny szatan — mówiła, oglądając się w oba-

wie, czy nikt nie słyszy. — Dłużej nie mogłam już wytrzymać. Uczyniłby ze mnie zbrodniarkę, jak i z dziecka, gdybyśmy zostały przy nim dłużej; postanowiłam więc stąd uciec i małą zabrać z sobą.

— Uciec? Dokąd? — zapytałem.

— Dokąd ty zechcesz — odparła; nie pojmowałem słów jej zupełnie, dopóki nie spojrzałem głęboko w jej oczy.

— To wszystko dla dziecka — zawołała. — Życie małej od tego zależy. Musimy ją stąd zabrać.

— Wiedziała, że jest to jedyne jej wyjście i zwracała się tam, gdzie przywoływało ją serce.

W szczerem spojrzeniu porucznika wyczytał stary kupiec zupełne dla siebie zrozumienie.

— Niektóre kobiety kocha się za ich dobroć, inne znów za ich słabość, żadna jednak nie posiadała tyle zalet, co Merridy, a teraz, gdy dowiedziałem się, że mnie kocha, uwierzyłem znowu, że Bóg jest nad nami. Ponieważ nie znałem zupełnie jej dziecka, wprowadziła mnie do pokoju, gdzie spało ono; pamiętam, że ciężkie me buty skrzypiały niemiłosiernie, a ona, przyłożywszy biały palec do warg, uśmiechała się do mnie figlarnie. Wszystkie szpony świata zacisnęły się dokoła mej krtani, a cała krew spłynęła mi do serca, gdy spojrzałem na śpiące maleństwo. Oczy me nabiegły łzami i zapłakałem po raz pierwszy od lat czterech. To widok jej dziecka wycisnął łzy z suchych, wyblakłych mych oczu.

— Kocham ją już — szepnąłem — i poświęcę życie, aby była szczęśliwą.

Byłem gotów pognać z niemi obiema, jak wicher poprzez ulice Mesy i przepaść wraz z niemi gdzieś

w górach; byłem gotów walczyć z Bogiem i ludźmi w ich obronie.

— Musimy uciec stąd daleko, — rzekła — gdzie niktby nas znaleźć nie mógł i gdzie dziecko nie dowiedziałoby się o niczem. Nie powinna wiedzieć, kim był jej ojciec i co robiła matka. Wyruszymy w świat wszyscy troje, ty, ja i dziecko, i wszyscy troje postaramy się zapomnieć o tem, co było. Czy zdolny jesteś uczynić to dla naszej miłości?

Stłumiłem szaleńczy okrzyk i porwałem ją w ramiona, w ramiona, które tak długo tęskniły za nią. A potem po raz pierwszy przywarłem szczęśliwemi wargami do jej ust.

Stary kupiec usiłował zapalić fajkę, która mu zgasła przed chwilą, nie mógł jednak utrzymać zapałki w drżących ze wzruszenia palcach; Burrell bez słowa podał ogień gościowi.

— Postanowiła, abym zabrał maleństwo tej samej jeszcze nocy, ona zaś miała przyłączyć się do nas potem, trojgu nam bowiem trudniej byłoby umknąć niepostrzeżenie, wówczas, gdy ona sama miała skorzystać z pierwszej, nadarzającej się okazji. Umówiliśmy się, że umknę z dzieckiem na Zachód, a ona tymczasem wytłumaczy Bennett'owi, że zginęło ono podczas wycieczki łodzią. Uśpiona dziecina nie zbudziła się i wówczas nawet, gdy ją brałem w ramiona i gdy matka pochyliła się nad nią z ostatnim, rozdzierającym jękiem pożegnania. Merridy była niezwykle dzielną i spokojną, dopóki nie uprzytomniła sobie, że rozstać się musi z maleństwem i powierzyć je człowiekowi, bądź co bądź, prawie obcemu; zmusiła mnie do uroczystej przysięgi, że cokolwiekby się stało, zawsze żyć będę

dla tej drugiej Merridy. Błagałem ze swej strony, aby uciekła wraz z nami, ale paniczny lęk przed tyraństwem Bennett'a zatrzymywał ją na miejscu.

Jechałem przez całą noc, a o świcie zmuszony byłem zmienić mego wierzchowca; minąwszy dzikie przestrzenie, wjechałem w nieznaną zupełnie krainę, gdzie wyszukałem kobietę meksykańską, która zajęła się dzieckiem; było to umówione miejsce, gdzieśmy się mieli spotkać z Merridy. Co noc udawałem się do pobliskiej wioski, w nadziei otrzymania jakiejkolwiek wiadomości od niej; niecierpliwie oczekiwałem cały tydzień. Pewnego dnia wpadła mi do ręki gazeta, w której omawiano obszernie straszliwą zbrodnię, która przed kilku tygodniami jakoby się zdarzyła w Kalifornji. W opisie wydrukowano moje nazwisko, co spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. Pani Bennett została przeze mnie zamordowana pod wpływem nagłej zazdrości, poczem zniknąłem, uwożąc jej dziecko. Mąż, który wrócił nieoczekiwanie tej samej nocy, zastał ją martwą, jak twierdził; oczywiście, rozwodzono się szeroko nad kwestją mojej miłości i wspomniano nawet o tem, że od lat kilku nosiłem się z zamiarem uprowadzenia Merridy z domu Bennett'a. Nazywano mnie wyrzutkiem społeczeństwa, człowiekiem o zwierzęcych instynktach mimo tego, że byłem Bogu ducha winnym. Najmniej zastanawiałem się w danej chwili nad niecnem tem posądzeniem, najważniejszą była wiadomość, że jej już niema. W ciągu kilku dni nie mogłem się pogodzić z tą myślą, a potem coraz bardziej utwierdzałem się w mniemaniu, że to on był sprawcą jej śmierci. Cóż miałem robić? Nie wolno mi było myśleć teraz o zemście, przyrzekłem bowiem opie-

kować się maleństwem. Nie wolno mi było wrócić, aby udowodnić mą niewinność, wówczas przecież dziecko należałoby znowu do niego. Po kilku dniach przekonałem się, że jestem poszukiwany przez władze; wyznaczono nawet wielką nagrodę za ujęcie mnie, Bennett, oczywiście, nagrodę tę podwoił. Dziękowałem teraz Bogu, że stara Meksykanka, opiekunka małej Merridy, nie umiała czytać, nie mogła więc wydać obecności mej w jej domu. Po kilku dniach wyruszyłem wraz z dzieckiem dalej. Było to w samą porę, nazajutrz bowiem odkryto miejsce mego pobytu i rozpoczęto na nowo poszukiwania. Podczas następnych dni pogoń dawała mi się we znaki, znałem jednak niegorzej od Indjan okoliczne lasy, a mieszkańcy ich byli przecież zawsze moimi przyjaciółmi, ucieczkę jednak utrudniała obecność maleństwa. Rozpoczęła się teraz dla mnie era koczownicza — w nocy jechałem, we dnie zaś odpoczywałem w zaroślach; przywiązanie moje do dziecka wzrastało z dniem każdym. Było ono jedyną cząstką mej ukochanej, którą pozostawiła mi ona w spadku i zdawało mi się, że duch zmarłej krąży nad moją głową i błogosławi każdy mój dobry uczynek. Wszakże kochała mnie ona również i ufała mi bezgranicznie, wyczytałem to z jasnych jej oczu, gdy mnie żegnała po raz ostatni.

Pogoń trwała dość długo, lecz wreszcie ja zwyciężyłem. Zaszyłem się w dziką pustynię Nevady, gdzie prawie nie postała żadna stopa ludzka. Omal jednak nie utraciłem przez to małej Merridy. Uciążliwa podróż zbyt niewygodna była dla dziecka, które z trudem znosiło głód i pragnienie. Starałem się dotrzeć do najbliżej obozującego plemienia Indjan i tam właśnie

spotkałem Allunę. Należała ona do plemienia Pah-Ute, które nie znało wogóle białych, to też nie interesowało się ich sprawami. Dostrzegłszy drobną Indjankę, skierowałem w jej stronę mego wierzchowca i oddawszy jej dziecko w ramiona, wypadłem z siodła zemdlony. Indjanie zajęli się doprowadzeniem mnie do przytomności, Alluna zaś zaopiekowała się małą. Po upływie kilku dni powróciłem do równowagi. Tymczasem plemię pociągnęło na Wschód, zabierając nas z sobą. Widząc, że Indjanka coraz bardziej przywiązuje się do maleństwa, kupiłem ją za ostatnie pieniądze, jakie posiadałem, zdawałem sobie bowiem sprawę, że mała Merridy musi mieć opiekę kobiecą. Od tej chwili podróżowaliśmy we troje. Pewnego razu zostawiłem je obie w Idaho, a sam wróciłem do Mesy, jadąc przeważnie nocami, jednakże Bennett'a w Mesie już nie zastałem; podobno po śmierci Merridy przyjmował czynny udział w pościgu za mną. Rozczarowany wróciłem do Alluny i maleństwa z przeświadczeniem w duszy, że jednak kiedyś spotkam się z mym wrogiem. Trudniejsze to było, choćby dlatego, że nigdy Bennett'a nie widziałem, a byłem pewien, że zmienił nazwisko.

Poza tem niewiele już mam do opowiedzenia. Uczyniłem to, co każdy uczyniłby na mojem miejscu. Wyruszyliśmy z Alluną na Północ, poza granicę, aż wreszcie osiedliliśmy się tutaj. Z każdym rokiem mała Merridy stawała się piękniejszą, podobną do swej matki i z każdym rokiem obydwoje z Alluną przywiązywaliśmy się do niej bardziej. Zmieniliśmy jej imię w obawie przed prawem; potem przyszło na świat tamtych dwoje i żyliśmy w spokoju, oczekując ciągle spotkania z Bennett'em. Wreszcie pan się tu zjawił, po-

ruczniku, i posiadł pan serce Neci, czego, oczywiście, w danem opowiadaniu nie możemy brać w rachubę. Dziś dopiero powiedziała mi Necia, że nie może zostać pańską żoną, ze względu na swe pochodzenie, postanowiłem więc dla jej szczęścia wyjawić panu tajemnicę i oddać się w ręce władzy.

Gale zamilkł i napełnił znowu stojącą przed nim szklankę.

— Oddać się w ręce władzy? — powtórzył Burrell w zamyśleniu. — Jak pan to rozumie?

Przez cały czas opowiadania młodzieniec siedział bez ruchu, a tylko oczy jego, wpatrzone w starego kupca, lśniły niesamowicie.

— Jestem przecież mordercą, a właściwie byłem nim przed piętnastu laty i obecnie nie mam sposobu udowodnienia mej niewinności.

— Czy mówił pan o tem Neci? — indagował młodzieniec.

— Nie, pan to uczyni najlepiej — nie mogłem się zdobyć na to w obawie, że nie uwierzy. I pana proszę, abyś zaczekał z tem nieco, może jeden dzień najwyżej. Pragnąłbym przez ten dzień być na wolności, mam bowiem jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Burrell podniósł się z miejsca i rozprostowywał zmęczone długiem siedzeniem członki.

— Oczywiście, powinien pan wszystko załatwić — mamrotał automatycznie, jakgdyby nie rozumiejąc znaczenia własnych słów. Przez chwilę stał bez ruchu w głębokiej zadumie, poczem zbliżył się do gościa i rzekł drżącym od wzruszenia głosem:

— John Gale, jest pan najdzielniejszym człowiekiem, jakiego znałem kiedykolwiek. Całą swą młodość

poświęcił pan dla tej dziewczyny, gdy była jeszcze dzieckiem, a teraz własne swe życie oddaje pan jej w ofierze. Jest pan wyjątkowym człowiekiem. Niech mi wolno będzie uścisnąć pańską dłoń.

Stary kupiec spoglądał na młodzieńca z zawstydzeniem.

— Więc nie wątpi pan o moich słowach? — zapytał szeptem.

— Oczywiście, że nie.

— Zawsze najbardziej obawiałem się, że nikt mi nie uwierzy.

Oficer spoglądał teraz w płomień stojącej przed nim lampy.

— Lękam się tylko — rzekł, — czy miłość moja do córki może się równać uczuciu pańskiemu do matki. Obawiam się, czy będę mógł dać jej tyle, ile pan jej dał w życiu. Ale co się dzieje z Bennett'em, mr Gale? Czy znalazł go pan wreszcie?

— Niewiele się zmieniło — odparł kupiec po chwili milczenia. — Pragnąłbym go spotkać w pańskiej obecności.

Gale zdradzał ochotę mówienia dalej, lecz w tej samej chwili doszedł ich odgłos ciężkich, męskich kroków na korytarzu. Spóźniony jakiś gość zakołatał do drzwi.

— Poruczniku Burrell! — odezwał się chrapliwy głos z zewnątrz.

— Kto tam? — zapytał głośno młodzieniec.

— Wpuść mnie pan! Prędko! Znalazłem coś dla pana! Wpuść pan, powiadam! To ja, Ben Stark!

XV. Węzeł się zacieśnia.

Poleon Doret nigdy jeszcze nie przeżywał podobnego rozczarowania.Podczas dnia zajęty był pracą, to też starał się nie myśleć o tem, co zaszło i dopiero, gdy noc zapadła, począł przeżywać raz jeszcze przykrą rozmowę Neci z porucznikiem. Pocóż mu było to wszystko, gdy Necia go nie kochała? Niczem było dla niego życie bez niej. Zapragnął znowu włóczęgi i dotarcia do tej upragnionej krainy, gdzie jedynem bogactwem jest szczere, kochające serce. Gdy Runnion z uśmiechem zadowolenia powiadomił go o odkryciu nowej żyły na należących doń działkach, Poleon przyjął tę wieść obojętnie, był bowiem pewien, że tamten posiądzie to wszystko, co on utracił. Cały wieczór przesiedział w lokalu Stark'a zaszyty w najodleglejszy kąt sali, sam na sam z przykremi swemi myślami.

Koło północy zjawił się Stark. Uderzył Poleona niezwykły wyraz jego twarzy i energiczny głos, którym odwołał od stolika Runnion'a.

— Wrócę za chwilę skończyć partję — rzekł Runnion do towarzyszy, wstając leniwie z krzesła.

— Prędzej — syknął Stark.

— Jestem bliski wygranej, — tłumaczył się Runnion — psujecie mi wszelkie szanse, Ben.

Tamten zmarszczył brwi niecierpliwie i odciągnąwszy Runnion'a na stronę, począł mówić coś szybko. Nagła zmiana w twarzy Runnion'a zdziwiła niezmiernie Doret'a, rozmowy ich jednak dosłyszeć nie mógł. Zresztą, cóż go mogły obchodzić ich sprawy; wiedział, że Runnion jest pomocnikiem Stark'a i zawsze ślepo słucha jego rozkazów. W pewnej chwili dobiegł go głośniejszy okrzyk:

— Nie ze mną! Nigdy ze mną nie pojedzie!

A potem odpowiedź Stark'a:

— Pojedzie, jeżeli ja ją wyślę. Nikt więcej nie ma do niej prawa.

Reszty Doret już nie słyszał. I dopiero, gdy się przybliżyli nieco, doszedł go przyciszony głos Runnion'a:

— Jedyna łódka jest w obozie, możeby sprzedali ją za pokaźną sumę.

Stark przywołał kogoś z bufetu.

— Ani centa mniej — oznajmił przywołany górnik głośno. — Drugiej nie znajdziecie w całem mieście.

Po chwili wszyscy troje zniknęli z sali. Runnion został wyłączony z gry i ożywiona pogawędka przy stole, od którego wstał przed chwilą, rozpoczęła się znowu.

Gdy znaleźli się przed domem, Runnion zwrócił się do Stark'a:

— Nie pojedzie ze mną, Ben, ona mnie nie lubi. Widzicie, oświadczyłem się jej dzisiaj i zagroziła nawet, że mnie zabije.

— Nie będzie wiedziała, z kim jedzie, a potem już będzie za późno — odparł tamten. — Jesteś jedynym

człowiekiem, któremu mogę ufać. Zbyt wiele jesteś mi winien, abyś mógł zawieść me zaufanie.

— Uczynię wszystko, czego żądacie ode mnie. Lecz zastanówcie się. Co wam tak na niej zależy? Sami mówiliście, że wam się ta dziewczyna wcale nie podoba. Czyżbyście mieli zmienić zamiar? A może nowy kaprys jakiś — zaśmiał się nieprzyjemnie.

— To nie twój interes — odparł Stark groźnie. — Potrzebna mi jest i na tem koniec. Wszystko, co masz uczynić, to przewieźć ją do St. Michael's i trzymać ją tam tak długo, dopóki nie dam ci znać. Ona jest pewna, że jedzie do Misji i nie wolno ci wyprowadzać jej z błędu, dopóki nie odpłyniecie od brzegu. Chcę, aby była jak najdalej stąd. A teraz przygotuj się do drogi.

— All right! Nie wiedziałem, że jestem typem opiekuna dla młodych dziewcząt.

Stark położył ciężką dłoń na ramieniu Runnion'a.

— Pamiętaj tylko o tem, że ona należy do mnie — rzekł stanowczo.

— Sami mówiliście przed chwilą...

— Nie zważaj na to, co mówiłem. Jest ona moją, a tobie wara od niej. Chcę ci ją powierzyć, lecz, jeżeli nie jesteś pewien silnej swej woli, powiedz szczerze. Zaoszczędzi ci to wiele kłopotów.

— Och! Naturalnie! — wykrzyknął Runnion z przeświadczeniem. — Tylko to wszystko wydaje mi się ogromnie dziwnem.

Zniknął w ciemnościach, a Stark wrócił do swego mieszkania, gdzie, zamknąwszy drzwi na klucz, począł spacerować nerwowym krokiem, uśmiechając się szatańsko; od czasu do czasu spoglądał niecierpliwie

na zegarek. Niepokój jego minął, gdy weszła Necia. Powitał ją rozradowanym uśmiechem.

— Lękałem się, że pani stchórzy — rzekł. — Wszystko już gotowe. Znalazłem łódkę i wynająłem doskonałego wioślarza, któremu wydałem odpowiednie instrukcje. Przygotowałem również odpowiedni zapas prowjantów, abyście nie potrzebowali lądować po drodze. Nim się pani obejrzy, będziecie już na miejscu.

— Jaki pan dobry — szepnęła dziewczyna. — Nie wiem, jak mam panu dziękować!

Była teraz w codziennym swoim stroju i sprawiała znowu wrażenie małej metyski o pięknych, ciemnych oczach i miękkich lokach, wijących się nad czołem.

— Czy nikt pani nie widział?

Potrząsnęła przecząco głową. Wyszli razem z mieszkania i skierowali się w stronę wybrzeża, gdzie oczekiwała ich łódka. Na głośny gwizd Stark'a ktoś odpowiedział w ciemnościach i po chwili ujrzeli wysoką, męską postać tuż przed nimi.

— Czy wszystko gotowe? — zapytał Stark, na co obcy mężczyzna odpowiedział coś niewyraźnie. Ująwszy Necię pod ramię, Stark pomógł jej usadowić się przy sterze.

— Ten człowiek pojedzie z panią, — rzekł — może mu pani zaufać.

Nieznajomy mężczyzna ujął za wiosła; Stark podał dziewczynie rękę na pożegnanie.

— Dowidzenia, szczęśliwej drogi.

— Dowidzenia, mr. Stark. Dziękuję panu za wszystko — odparła dziewczyna, nie orjentując się w tej chwili, kto był jej przewoźnikiem.

W pół godziny potem ostatnie światła obozu znik-

nęły z przed oczu Neci. Zebrawszy przygotowane koce, ułożyła się wygodnie na dnie łodzi, nie patrząc nawet na tajemniczego wioślarza. Zdawała się poddawać tajemnemu urokowi błyszczących fal, które szmerem zadowolenia lizały gładki kadłub łodzi.

Stark nie wrócił do mieszkania, a prosto z wybrzeża udał się do swej restauracji, gdzie zastał jeszcze Poleona Doret'a, pogrążonego w zadumie z łokciami wspartemi na stole, tuż obok wypróżnionej butelki. Stark przeszedł lekkim krokiem przez salę i zbliżył się do bufetu, gdzie wychylił jednym tchem pełną szklankę whisky, poczem, nie patrząc na nikogo, wyszedł, kierując się w stronę baraków. Światło w przysłoniętem zasłoną oknie oficera świadczyło, że Burrell nie spał jeszcze; długą jednak chwilę Stark czekać musiał w korytarzu, zanim mu drzwi otworzono, a przez ten czas słyszał w pokoju dziwny jakiś ruch i niepokój. Gdy wreszcie wszedł do wnętrza, zastał Burrell'a zupełnie samego w zadymionym pokoju. Na stole, przy którym siedział młodzieniec, dostrzegł Stark wypróżnioną butelkę i dwie szklanki.

Na dźwięk bowiem głosu wroga Gale szepnął Burrell'owi: — Nie wpuszczaj go pan. — A porucznik zamierzał nie przyjąć spóźnionego gościa, gdy wtem uprzytomnił sobie, że może przecież ukryć kupca w przyległej swej sypialni. Zrozumiałą bowiem było rzeczą, że Gale niechętnieby dziś właśnie spotkał się z takim człowiekiem, jak Stark.

— Niech pan wejdzie tu, — rzekł porucznik — a ja się dowiem, czego on chce ode mnie.

Wepchnąwszy kupca do sypialni, wyszedł na spotkanie spóźnionego gościa. Stark wszedł do pokoju, zamykając uważnie drzwi za sobą.

— Mam coś dla pana, poruczniku.

— Sądzę, że mógłby pan z tem poczekać do jutra — zauważył Meade.

— Byłoby za późno; musi to być załatwione stanowczo dzisiaj jeszcze. Jest pan przedstawicielem prawa, w ten bowiem sposób przedstawiał się pan dotychczas, lubiąc nadewszystko wtrącać się do każdej, najmniejszej nawet drobnostki; dzisiaj przychodzę do pana ze sprawą nader ważną. Jako człowiek, lubiący nadewszystko spokój, zmuszony byłem udać się pod opiekuńcze skrzydła władzy wyższej. Losy wszystkich obywateli tutejszych spoczywają na pańskich barkach, pragnąłbym więc udzielić panu kilku niezbędnych informacyj.

Burrell zdawał się nie słyszeć ironji w głosie Stark'a.

— Za późno jest nieco na rozwlekłe konwersacje — rzekł ze spokojem. — Proszę pana, do rzeczy.

— Mam dla pana kryminalistę.

— Jakiego rodzaju?

— Morderca.

— Czy zbrodnia zdarzyła się w pańskim domu?

— Nie. Przed chwilą tylko uczyniłem to odkrycie. Stało się to przez prosty przypadek. Należałoby wierzyć, że Opatrzność czuwa nad nami. Osobnik ten przez cały czas był między nami i nikt z nas nie miał pojęcia, że jest on mordercą.

— Dobrze, dobrze! Mów pan dalej.

Burrell strzepnął niecierpliwie palcami.

— Jest on pańskim przyjacielem i cieszy się ogromnym szacunkiem na całem wybrzeżu.

Zdziwienie odmalowało się na twarzy oficera. Czyż to możliwe? pomyślał. Czyż wiadomość o całej tej sprawie dotarłaby już do uszu Stark'a? Niewygodna mu była w danej chwili obecność Gale'a w przyległym pokoju.

— Któż jest tym człowiekiem? — zapytał, usiłując powrócić do równowagi.

— Pański przyjaciel. Jest to...

Stark umilkł nagle, chcąc wyczuć, jakie wrażenie wywrze wiadomość ta na poruczniku.

— Mów pan dalej.

— Jest on przyjacielem wszystkich, jest chlubą tutejszego obozu. Mordercą tym jest stary Gale.

— John Gale?

— Nazywa się Gaylord, a ja głupcem byłem, żem go nie poznał dotychczas.

— Skąd pan wie o tem? — indagował Burrell chłodno. — Jakie pan ma dowody.

Stark posiniał z gniewu, nie spodziewał się bowiem tak nikłego efektu.

— Niema to nic do rzeczy, — syknął — dość, że człowiek ten jest mordercą; poszukiwano go w Kalifornji, skąd przybyłem tutaj. Figuruje na liście przestępców i wyznaczona została wielka nagroda za odnalezienie go. Ukrywał się przez piętnaście lat, lecz teraz wisieć będzie na pewno tak, jak ja tu stoję w tej chwili.

Wypadki ostatnich godzin tak przygnębiły Burrell'a, iż zdało mu się, że jest ogniskiem w tej całej niefortunnej grze. Sytuacja stawała się coraz trudniejszą, a komplikowało ją jeszcze bardziej zjawienie się Star-

k'a, domagającego się wymiaru sprawiedliwości. Oficer pragnął teraz nadewszystko chociażby kilku chwil czasu, aby móc uporządkować rozpierzchłe myśli; jeden fałszywy krok mógłby zdruzgotać wszystko. Nie wolno mu było rozsądzać sprawy naprędce, to też wzruszył tylko sceptycznie ramionami, starając się zignorować wiadomość Stark'a.

— Piętnaście lat? — rzekł z niedowierzaniem. — Morderca? John Gale mordercą? To wszystko — wybaczy pan — zakrawa na żart. Jakie pan ma dowody?

— Dowody! — zarechotał tamten. — Dowody! zapytaj pan Gaylord'a. Kobieta, którą zamordował, była moją żoną!

Burrell usiłował zachować nadal spokój, choć sytuacja z każdą chwilą stawała się bardziej zawikłaną. Czyżby Stark był Bennett'em? Ojcem Neci? Ten człowiek, którego on tak nienawidził, człowiek o tak złej opinji, miał być ojcem jego ukochanej? Poczęło mu się dziwnie mieszać w umyśle. Przed oczami jego wyobraźni przesuwały się epizody opowiadanej przez Gale'a historji. A potem uprzytomnił sobie, że ten stojący przed nim oskarżyciel tyranizował niecnie matkę Neci, opowiadaniu bowiem Gale'a ufał bezgranicznie. O, jakże pragnął teraz zdusić tego złoczyńcę.

— Dowody! — wściekłość Stark'a wzmagała się z każdą chwilą. — Jakież dowody są panu potrzebne? Śledziłem go przez piętnaście lat; ścigałem go poprzez lasy, pustynie i górnicze obozy. Tropiłem ślady jego na przestrzeni pięciu tysięcy mil. I przypuszcza pan, że się mylę teraz? Zabił moją żonę, powiadam, i zrabował mi dziecko! Córka moja jest u niego dotychczas.

Dał jej imię Necia. Necia jest moją córką — moją córką, rozumie pan? A on musi to życiem przypłacić.

Wrzała w nim w tej chwili nienawiść dzikiego zwierzęcia. Pragnienie zemsty pchało go do najpodlejszych nawet czynów. Burrell jednak nie tracił spokoju.

— Tak. A skąd pan wie o tem? — zapytał znowu naiwnie.

— Necia nosi oczywisty dowód na szyi, a jeżeli i to panu nie wystarcza, postaram się o inne dane. Stark nie jest mojem prawdziwem nazwiskiem; dla wielu powodów zmuszony byłem zmienić nazwisko przed laty; zmieniałem je zresztą kilkakrotnie, ale to przecież moja osobista sprawa, nieprawdaż? Necia nazywa się właściwie Merridy Bennett.

— Sądzę, iż wie pan o tem, że zamierzam ją poślubić — rzekł oficer.

— Nie — odparł tamten. — Wiadomość ta nie dotarła jeszcze do mnie.

— A więc jest tak. Będę pańskim zięciem.

Powiedział to z wrodzoną sobie prostotą, co wywołało ironiczny uśmiech na ustach Stark'a.

— Dużo jeszcze rzeczy musimy z sobą załatwić przedtem — zauważył. — Przedewszystkiem działki jej należą do mnie.

— Dlaczego?

— Jestem bowiem jej ojcem, a ona nie jest jeszcze pełnoletnią.

— Pomyślę o tem.

— Wezmę je bez względu na pańską zgodę.

Burrell nie zwracał znowu uwagi na rosnącą pasję Stark'a.

— Należałoby o tem pomówić z Gale'm, który, bądź co bądź, ma do niej prawa. Jednocześnie chciałbym wiedzieć, jakie są pańskie żądania.

— Żądam, aby zaaresztował pan człowieka, który zabił moją żonę, jeżeli pragnie pan uniknąć rozsądzenia tej sprawy przez górników. Mam dość duże stosunki w obozie i w ciągu piętnastu minut zwołam zgromadzenie, które wyda rozkaz powieszenia tego złoczyńcy przed oknami pańskiej kwatery. Nie chcę jednak dopuścić do tego, pragnę być w porządku z prawem, o którem ostatnio mówi się tutaj tak wiele. Do pana należy wykonanie wyroku.

Nareszcie Burrell zorjentował się w niecnych planach Stark'a. Znając zbyt dobrze złą jego opinję, był pewien, że Stark lęka się teraz spotkania oko w oko z Gale'm, z drugiej znów strony nie chciałby, aby ten nieszczęśliwy starzec zginąć miał z ręki swego wroga. Wiedział, że Stark chce go uczynić swojem narzędziem w obliczu prawa, a czyż mógł występować przeciw Gale'owi, którego naprawdę polubił serdecznie? Prawdopodobnie plany Stark'a łączyły się również z kwestją ślubu porucznika z Necią. Jakżeby on, Burrell, wyglądał w oczach dziewczyny, aresztując dotychczasowego jej opiekuna, którego przez lat tyle przywykła nazywać ojcem? Jeżeli znowu odmówi Stark'owi, ten skompromituje go wobec władzy i tem samem wszelki ratunek dla Gale'a będzie niemożliwym. Słowem, Stark miał go teraz w swej mocy. Postanowił odnaleźć jakąś czułą strunę w duszy tego człowieka.

— A czy myślał pan o Neci? — zapytał łagodnie — przecież ona kocha Gale'a. Jakie to wywrze na niej wrażenie?

— Mniejsza z nią. Zależy mi głównie na Johnie Gaylordzie.

Z tkliwością pomyślał teraz Burrell o tamtym, ukrytym w przyległym pokoju. Właściwie, dlaczegóżby nie? Ci dwaj ludzie nienawidzili się zupełnie wyraźnie i siłą rzeczy powinni byli załatwić swe porachunki. Czem był on, Burrell, który stanął między nimi w tej chwili? Czy miał prawo zabierać głos w całej tej sprawie?

Słowa Stark'a dźwięczały mu teraz w uszach — „zależy mi na Johnie Gaylordzie" — i bez chwili namysłu odparł ze spokojem:

— Doskonale. Wydam go panu.

Skierował się w stronę sypialni i drzwi otworzył naroścież. Stanął w progu jak wryty. Pokój był pusty, lekki wiaterek igrał figlarnie z firanką w otwartem oknie, które świadczyło o ucieczce Gale'a.

— Jeżeli pan szuka płaszcza, to jest on tutaj — usłyszał głos Stark'a. — Ubierz się pan, pójdziemy po niego.

Umysł porucznika pracował w tej chwili ze zdwojoną szybkością. Opanowała go złość na myśl o tem, że obydwaj ci ludzie kpią sobie z niego. Lecz zaraz potem uprzytomnił sobie tragiczną sytuację Neci. Przecież zasadniczo ona była główną osią, koło której obracały się wszystkie okoliczności. Postanowił zakończyć tę kwestję natychmiast. Stanowczym krokiem wrócił do pierwszego pokoju, wziął ze stołu rewolwer i wyszedł znów do sypialni.

— Będzie to panu zupełnie niepotrzebne — zauważył Stark na widok broni. — Nie przewiduję żadnego oporu z jego strony.

— Postanowiłem zostawić go w spokoju — rzekł Burrell.

— Pozostawić go w spokoju? — zawołał tamten. — Więc pan stchórzył? Nie ma pan zamiaru aresztować tego mordercy?

— Nie — odparł oficer. — Dość już długo słuchałem kłamstw pańskich, pragnę temu kres położyć. Jest pan stanowczo zbyt niebezpieczny dla tutejszego otoczenia.

Przez długą chwilę patrzyli sobie prosto w oczy, poczem Stark zapytał z udanym spokojem, aczkolwiek oczy jego błyszczały niesamowicie:

— Co to wszystko ma znaczyć? Czyś pan oszalał?

— Gale przybył tu dawno przed panem i opowiedział mi, kto zabił pańską żonę. Wiem o wszystkiem.

— Pan wie?

— Tak.

— I cóż?

— Jest już dość późno. Jesteśmy zupełnie sami. Najprostszy byłby sposób...

Stark w milczeniu obserwował swego przeciwnika, gdy tymczasem Burrell mówił dalej:

— Zmierzmy się. Daję panu szanse.

Stark potrząsnął przecząco głową.

— Niech się pan nie lęka — nalegał porucznik. — Nie mamy świadków. Nikt o tem wiedzieć nie będzie. Nie chce pan chyba, abym zabił go, jak psa?

— Byłoby to niemożliwe — odezwał się wreszcie Stark. — Nie jest pan typem zabójcy, a ja też się bronić potrafię. Żyję już na świecie czterdzieści lat i niezwykłem nigdy brać mniej, niż mi dają.

— Dam panu fory.

— Nie pojmuje mnie pan. Nie pana miałem na myśli, lecz tamtego; skoro się z nim załatwię, pomyślę o panu. Dzisiaj nie wolno mi ryzykować. Tej jednej chwili poświęciłem całych lat piętnaście. Oddam teraz wszystko za jednego Gale'a. Schowaj pan rewolwer.

Po chwili wahania oficer opuścił na dół lufę rewolweru. Widocznie Stark lepiej znał jego usposobienie, niż on sam.

— Czynię zadość pańskiemu życzeniu, lecz stwierdzam, że walczyć będę w obronie Johna Gale'a.

— Jeszcze dziś wisieć będzie przed pańskiemi oknami.

— Nigdy!

— A ja panu ręczę!

Stark zwrócił się jeszcze od progu ku niemu:

— I wierzy pan w to, że Necia zostanie pańską żoną?

— Jestem tego pewien.

— Nic z tego nie będzie! Należałoby wpierw ją znaleźć.

— Co pan ma na myśli? Stój pan...

Lecz Stark zniknął już za drzwiami, pozostawiając za sobą żrącą niepewność w duszy młodzieńca. Co on powiedział? Czyżby uwiózł dokądś Necię? Myśl ta oślepiła Burrell'a. Nie przypuszczał, aby Necia poszła za namową Stark'a. Nie było jednak czasu do stracenia, to też młodzieniec porwał czapkę ze stołu, postanawiając przedewszystkiem uprzedzić Gale'a o tem, co zaszło. Miał przecież walczyć ze Stark'iem nie jak żołnierz z cywilem, lecz jak człowiek z człowiekiem — walczyć przeciwko prawu. Uśmiechnął się na samą myśl o oryginalnej tej sytuacji. I tak już wszakże mi...

skończyć z wojskiem; obrał sobie zupełnie inną drogę, która prowadziła go do miejsc absolutnie nieznanych; nie obawiał się jednak, droga ta bowiem prowadziła przedewszystkiem do „niej“. Dawne życie należało do przeszłości. Dziś miała się rozpocząć zupełnie nowa era.

Szybkim krokiem Stark zbliżał się do swego mieszkania. Wkładając klucz do zamku, przekonał się ze zdziwieniem, że drzwi były otwarte; widocznie zapomniał je zamknąć, gdy wychodził przed dwiema godzinami z Necią. Wszedł do wnętrza i począł szukać zapałek w kieszeni. Po chwili pokój rozjaśnił się słabym płomieniem stojącej lampy. Stark spojrzał wokoło i nagle krew zastygła mu w żyłach. Za stołem siedział wsparty na łokciu John Gale, z oczami utkwionemi w twarzy wroga. Tuż przed nim, na zielonem suknie stołu, spoczywał obnażony, błyszczący nóż.

XVI. Godzina zemsty wybiła.

Meade Burrell postanowił za wszelką cenę zobaczyć się z Necią. Spojrzawszy na zegarek, przekonał się, iż pięć godzin minęło od pobytu jego w domu kupca. Musi jednak obudzić dziewczynę; ona zrozumie z pewnością trawiący go niepokój.

W chwilę potem pochylił się nad skuloną postacią Alluny, drzemiącej na progu mieszkania Gale'a. Kilka sekund minęło, zanim zdołał doprowadzić ją do przytomności.

— Co się stało? Gdzie Necia? — wołał, lecz Alluna potrząsała tylko głową, dobywając z krtani niewyraźne jakieś dźwięki.

— Poszła — odparła wreszcie i poczęła drżeć na całem ciele.

— Dokąd poszła? Kiedy?

Ujął ją silnie za ramiona, pragnąc wymóc na niej szybszą odpowiedź.

— Nie wiem, nie wiem. Poszła już dawno.

Poczęła mamrotać coś znowu w niezrozumiałem dla porucznika narzeczu, pozostawił ją więc na progu i bez słowa wbiegł do pokoju Neci. Przekonał się, że naprawdę wyszła i to musiała wyjść w ogromnym po-

śpiechu, o czem świadczył nieporządek, panujący w pokoju. Na poręczy krzesła wisiała balowa suknia, podarunek Poleona, podarta na strzępy. Na podłodze poniewierały się jedwabne pantofelki i para mokrych, cieniutkich pończoch. Suknia przedarta była na dwie połowy. Cóż mogło skłonić dziewczynę do zniszczenia toalety, która była jej dumą?

— Zabrała inną suknię, którą jej uszyłam zeszłego lata — usłyszał za sobą przyciszony głos Alluny, która weszła tu za nim niepostrzeżenie i stała, wsparta o ścianę.

— Kiedy ona poszła, Alluno? Na litość Boską, co to wszystko znaczy?

— Nie wiem! Przyszła i poszła... nie widziałam jej... mniej więcej przed trzema, czterema godzinami.

— A gdzie Gale? Może on coś wie? Czy poszedł za nią?

W świetle małej kieszonkowej latarki młodzieniec dostrzegł łzy w oczach squaw.

— John Gale poszedł z nożem mego ojca. Boję się. strasznie się boję.

Burrell usiłował odzyskać równowagę; nie była teraz pora na sentymenty.

— Jak dawno?

— Bardzo dawno.

— Czy przed chwilą nie wrócił?

— Nie; poszedł na posterunek i nie chciał mnie wziąć z sobą. Więcej nie wrócił.

Wiadomość ta zaniepokoiła Meade'a.

— Należało dać mi znać, — zawołał gniewnie — należało przyjść do mnie, zamiast siedzieć i płakać na progu.

— Kazał mi czekać — szępnęła z prostotą.

— Przywołać natychmiast Poleona.

— Kazał mi czekać — powtórzyła automatycznie.

Burrell zrozumiał, że jest zupełnie bezsilna. Na twarzy kobiety malowało się nieopisane cierpienie. Atmosfera nocy wydała się teraz Burrell'owi dziwnie ciężką i tajemniczą. A może Gale jeszcze przed opowiedzeniem mu tej historji poznał Stark'a i postanowił dziś jeszcze załatwić z nim swe porachunki? A jeżeli nawet nie, to wszakże słyszał przez drzwi całą ich rozmowę. Gdzie był teraz? Gdzie była Necia? Jaką rolę odgrywała w całej tej aferze? Ostatnie słowa Stark'a przeszyły umysł jego oślepiającą błyskawicą. Dzisiejsza noc miała być punktem kulminacyjnym tragedji dwóch ludzi. Owładnął nim niepokój o życie kupca i jednocześnie dręczyła go myśl o niebezpieczeństwie, w jakiem znajdować się w tej chwili mogła Necia. Czyż mógłby się wyrzec jej po tem wszystkiem, co zaszło? Pobiegł szybko do lokalu Stark'a, mając nadzieję, że może tam usłyszy cośkolwiek o Neci. Sala bufetowa była pusta, tylko w kącie przy stoliku, nad wypróżnioną butelką, siedział Poleon Doret. Burrell podszedł do Francuza i szepnął z zapartym oddechem:

— Czy widział pan Gale'a?

— Nie.

— A Stark'a? Nie był tutaj?

— Tak, przed dwiema godzinami. Ale czemu pan pyta?

— Szatańska robota! Obydwaj zniknęli i Neci też niema.

— Neci niema? — poruszył się Kanadyjczyk. — Jak pan to rozumie? Dokąd poszła?

— Nie wiem — nikt nie wie. Boże! boję się o nią dziwnie.

— Głupstwo, widocznie źle się czuła! Często miewa takie kaprysy i wychodzi na świeże powietrze.

— Jestem pewien, że coś jej się stało. Znalazłem w domu jej suknię podartą na strzępy.

Z piersi Poleona dobył się stłumiony okrzyk.

— Musimy odszukać ją i Gale'a. Nie mamy ani chwili czasu do stracenia. Obawiam się, że będzie za późno. W ciemnościach poszukiwania przychodzą trudniej. Szukał już pan?

— Byłem w domu Gale'a, lecz Alluna oszalała. Powiada, że John poszedł zabić Stark'a zaraz po mojem wyjściu od nich. Obydwaj byli dzisiaj w mojej kwaterze, obawiam się więc, że Indjanka ma rację.

— Ale gdzie jest Necia?

— Nie mam pojęcia. Może to sprawa Stark'a.

Francuz porwał się z krzesła.

— Czy był pan w jego mieszkaniu?

— Nie.

Bez słowa Poleon Doret wybiegł z restauracji, porucznik podążył za nim, zatrzaskując za sobą drzwi pustej bufetowej sali.

— Ha! Świeci się — szepnął Doret, gdy się zbliżyli do domostwa Stark'a.

— Ostrożnie — upominał Burrell. — Zaczekaj pan. Nie pukaj. — Ujął silnie za rękę Poleona. — Należy się zorjentować, kto jest wewnątrz. Nie wolno, aby nas spostrzegli.

Przyczołgali się pod drzwi i uważnie nastawili uszu. Doszedł ich głos Stark'a; wyraźnie słyszeli każde jego słowo dzięki wielkiej szparze w drzwiach, któ-

ra im pozwalała również zajrzeć do środka. Porucznik przyłożył ucho do szpary i stłumił nagle okrzyk podziwu. Drugim głosem, który słyszeli, był głos Johna Gale'a. Wyciągnął już rękę, aby do drzwi zapukać, gdy wtem Poleon zmusił go do uklęknięcia tuż przy sobie i szepnął cicho do ucha:

— Słuchaj pan! Słuchaj! Na litość Boską, słuchaj!

Po raz pierwszy w życiu Ben Stark utracił odwagę, z której tak słynął na Zachodzie. Na widok znienawidzonego wroga, oczekującego go we własnem jego mieszkaniu, wstrząsnął nim nerwowy jakiś dreszcz, a słowa zamarły na wargach. Nim jeszcze zdążył się zorjentować, usłyszał spokojny głos Gale'a:

— Przyszedłem załatwić to wreszcie, Bennett.

— Co tu robicie? — wymamrotał Stark.

— Byłem na posterunku, gdyście przyszli do Burrell'a. Wolałem jednak spotkać się z wami sam na sam. — Umilkł, a nie otrzymawszy odpowiedzi, ciągnął dalej: — Zakończmy to. Zbyt długo już trwa. W ciągu lat piętnastu marzyłem jedynie o nadejściu tej chwili.

— Więc ten strzał w szałacie Lee? — zawołał Stark, orjentując się nagle we wszystkiem. — Czy poznaliście mnie już wówczas?

— Tak.

Stark odetchnął głęboko.

— A to głupiec ze mnie!

— Djabelska wasza magja uratowała was wówczas, lecz teraz śmierć was nie minie.

Kupiec wstawał wolno z krzesła z nożem w ręku.

— Będziesz wisieć za to! — wycharkotał Stark.

Twarz Gale'a zbladła jeszcze bardziej.

— Ha! — zawołał. — Ale przedtem poczujesz to ostrze w swojem własnem ciele. Zrzuciłeś na mnie całą swoją brudną robotę, Ben Stark, a ja dźwigałem to brzemię przez piętnaście długich lat; lecz dziś zrzucam je z siebie. Spotkaliśmy się oko w oko!

— Ja jej nie zabiłem — szepnął tamten lękliwie.

— Nie kłam. Nie stoisz teraz przed sądem. Wiedziałem, że jesteś tchórzem, lecz nie przypuszczałem, że boisz się sam własnego cienia.

— Więc naprawdę myślisz, że ja zabiłem Merridy? — zapytał bez tchu Stark.

— Jestem tego pewien. Mężczyzna, który bije kobietę, z łatwością ją zabić może.

Z udanym spokojem Stark zmusił się do uśmiechu.

— Nienawiść moja zdziałała więcej, niż przypuszczałem, — szydził — sądziłem, że sam wiesz najlepiej...

— Ja mam wiedzieć? — Twarz Gale'a nabiegła purpurą. — Wiedzieć o czem?

— Zabiła się sama.

— Tak ci dopomóż Bóg?

— Tak mi dopomóż Bóg!

Zapadła cisza.

— Dlaczego?

— Jakież to śmieszne, że my stoimy tutaj i mówimy o tem wszystkiem, nieprawdaż? A więc dobrze — nocy tej wróciłem wcześniej — sądzę, że najwyżej w dwie godziny po twoim wyjeździe. Opowiedziała mi zmyśloną jakąś historję i między innemi mimowoli

wymówiła twe imię... A potem — niech piekło pochłonie to wszystko.

— Mów dalej.

— Sądzę, że mówiłem straszne jakieś rzeczy — oszalałem z twojego powodu — musiała myśleć, że chcę ją zabić, lecz ja nie miałem tego zamiaru. Nie. Nigdy nie byłem zły do tego stopnia. Odebrała sobie życie.

Twarz Gale'a była w tej chwili kredowo biała, a głos jego brzmiał dziwnie sucho, gdy rzekł:

— Biłeś ją i dlatego to uczyniła.

Stark milczał.

— Gazety pisały, że w pokoju panował ogromny nieporządek.

Gdy tamten nie dawał odpowiedzi, Gale zapytał po chwili:

— Czyś ty to uczynił?

Stark zapłonął gniewem.

— I tak znosiłem za dużo. Żadna kobieta, oprócz niej, nie odważyłaby się mnie zdradzić.

— Czy istotnie posądzasz?...

— Djabli wiedzą! Posądzałem wówczas i posądzam teraz. Należało jej się to.

— Dziwne, bo znałeś ją przecież tak dobrze.

— Przysięgam, że głównym powodem ty byłeś...

— ...i dlatego prawdopodobnie całą winę zwaliłeś na moje barki. Poco właściwie mówisz mi teraz o tem?

— Jest to przecież nasza ostatnia rozmowa i pragnąłbym, abyś wiedział, z czego powstała ta straszna moja nienawiść do ciebie.

— Domyślam się — szepnął Gale.

Obserwowali się teraz wzajemnie nabiegłemi krwią oczami, a na twarzach ich znaczył się wyraźnie każdy nerw. Palce kupca zaciśnięte były mocno na rękojeści noża, gdy wtem nagłym rzutem dłoń Stark'a zanurzyła się w kieszeni, w której spoczywał rewolwer. John Gale bez słowa przesunął się pod przeciwległą ścianę. Ostrze noża błysnęło w wątłem świetle lampy; przemówiła broń... Raz i drugi, znowu i znowu... Stłumiony krzyk rozległ się przed domem. Ciężki jakiś przedmiot podważył drzwi, wnosząc ze sobą snop księżycowych promieni. Jednym skokiem Gale znalazł się przy stole i zgasił lampę, poczem obydwaj przeciwnicy zniknęli w ciemnościach izby.

Burrell czekał nieco za długo, głosy bowiem z wewnątrz stawały się coraz groźniejsze. Zakończenie sprzeczki nastąpiło tak nieoczekiwanie, że Burrell zdążył zaledwie oddać latarkę Poleonowi i wziął się sam do wyważenia drzwi. Po krótkiem zmaganiu się z mocnemi zawiasami porucznik wbiegł do wnętrza i stanął między dwoma rozjuszonymi wrogami. Był pewien, że Doret wbiegł za nim również, nie mógł go jednak widzieć w ciemnościach, latarnia bowiem zgasła również w tej chwili. Młodzieniec rozpaczliwie rozglądać się począł za Johnem Gale'm, który walczył teraz z niebywałem zacięciem. Wreszcie udało mu się intuicyjnie trafić na ślad starego kupca, który jednakże, nie dając za wygraną, rzucił się na Stark'a raz jeszcze.

Poleon wsunął się do pokoju tuż za Burrell'em, aby udaremnić walkę zapaśnikom. W słabych promieniach księżyca widział Doret postać Gale'a i złowrogi błysk noża, który kupiec trzymał w ręce. Wreszcie Burrell'owi udało się obezwładnić Gale'a, Poleon zaś

wyrwał Stark'owi z ręki rewolwer. Cała walka trwała zaledwie minutę, a spustoszenia zrobiła bardzo wiele.

W całej tej potyczce największe obrażenia odniósł Stark, który leżał teraz w kałuży własnej krwi. Gale również był ranny nieco, lecz nie zwracał na to uwagi. Groźnym wzrokiem spoglądał wciąż jeszcze na swego przeciwnika.

— Znalazłem cię, Bennett — wycharkotał. — Magja twoja przestała mieć jakąśkolwiek wartość.

Zagryzł wargi do krwi i sprawiał teraz wrażenie dzikiego, nieopanowanego zwierzęcia.

Stark w pewnej chwili chciał się podnieść ostatkiem sił, lecz obezwładniły go znowu silne ramiona Poleona. Zmęczony nagłym wysiłkiem, stracił na chwilę przytomność.

— Wyjdź pan stąd — rozkazał porucznik Gale'owi.

Lecz stary kupiec nie słyszał słów oficera i mimowolnym odruchem zbierał się znowu do walki na gołe pięści. Widząc dziecięcą jego bezbronność, Burrell łagodniej już powtórzył swój rozkaz.

— Wyjdź pan stąd.

Wtem słabym głosem odezwał się Stark:

— Proszę go aresztować! Sądzę, że teraz wierzy już pan w to, co mówiłem, poruczniku Burrell. Musicie wisieć, Gaylordzie. A ja ze śmiechem patrzeć na to będę. — Zwrócił się do Poleona: — Śledziłem go przez piętnaście lat, Doret. Zabił on moją żonę.

— Wierutne kłamstwo! — oburzył się Francuz.

— Zdaje się wam. Figuruje on na liście przestępców kalifornijskich. Żonę moją zabił z zimną krwią, a potem ukradł mi dziecko. Necia jest moją córką, nieprawdaż, poruczniku?

W ostatnim spazmie rozpaczy zwracał się teraz, biorąc drugiego swego wroga za świadka.

— Nic pan nie wskórasz, Stark. Byliśmy świadkami, jak mówił pan, że sama się zabiła. Staliśmy pod drzwiami obydwaj i słyszeliśmy dokładnie pańskie słowa.

Głowa opadła Stark'owi na piersi i począł się chwiać, nie mogąc w żaden sposób utrzymać równowagi; Poleon podprowadził go do łóżka, na które tamten opadł bezwładnie.

— Więc to jest spisek? — syknął przez zęby — zmowa was trzech przeciwko mnie? Pokonam was wszystkich i dziewczyna będzie moją! I w tej chwili już do mnie należy!

— Necia! — zawołał Burrell, orjentując się teraz w całej sytuacji.

Stark uśmiechnął się szyderczo. Ta jedna broń pozostała mu teraz.

— Tak, odebrałem wam moją córkę!

— Gdzie ona? — wycharkotał kupiec. — Gdzie moja dziewczyna?

Stark wzruszył ramionami; uśmiechnął się znowu.

— Uczucie twoje z matki przeszło na córkę, ale więcej jej nie ujrzysz.

Z piersi Gale'a wydarł się okrzyk rozpaczy, lecz Burrell odprowadził go na stronę, usiłując wytłumaczyć mu wszystko.

— Uspokój się pan. Sam zajmę się tą sprawą. — Poczem zwrócił się do Stark'a:

— Gdzie jest Necia?

— Nie pański interes.

Nowy paroksyzm bólu odebrał mu mowę, twarz mu zbladła, a wargi posiniały.

— Ben Stark, — szepnął młodzieniec — może pan umrzeć za chwilę. Powiedz pan, gdzie się ona znajduje?

— Jeszcze i ja zdrów będę — jęknął ranny.

— Przywołam doktora, jeżeli wyjawi nam pan miejsce jej pobytu. W przeciwnym razie musi pan umrzeć. Na litość Boga, mów pan!

Ranny usiłował się znów podnieść.

— Wysłałem ją stąd — szepnął po chwili.

— Dokąd?

— W górę rzeki. Popłynęła do Skagway, gdzie ma się spotkać ze mną. Będę ją mieć tylko dla siebie. Oddaliła się już o czterdzieści mil od Flambeau i oddala się bardziej jeszcze z każdą sekundą. Nie dogonicie jej już!

Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie z rozpaczą.

— Dlaczego zgodziła się pojechać? — zapytał Gale półgłosem.

— Powiedziałem jej kim jest i kim pan jesteś; jest pewna, że zabił pan jej matkę i dlatego chętnie stąd wyjechała.

Twarz kupca pobladła znowu.

— Proszę się nie martwić, mr Gale, przywiozę ją zpowrotem — odezwał się Burrel, kładąc dłoń na ramieniu starego kupca.

Sam fakt, że dowiedział się czegośkolwiek, uspokoił go nieco.

— Nie odnajdzie jej pan — usłyszał znowu chrapliwy głos Starka. — Runnion czuwa nad nią.

— Runnion?

— Tak, posłałem ją pod jego opieką.

Oficer ukrył twarz w dłoniach.

— Miał na nią oko oddawna, postanowiłem więc oddać mu ją...

Nikt z obecnych nie patrzał teraz na Poleona Doret'a, który najbardziej w tej chwili cierpiał z nich wszystkich. Uprzytomnił sobie wszystko, co słyszał tej nocy w lokalu Stark'a, opowiadanie więc rannego było dlań rzeczą zupełnie zrozumiałą. Niepostrzeżenie wysunął się z pokoju, pozostawiając Gale'a i Burrell'a przy łożu Stark'a.

Ranny poruszył się niespokojnie na posłaniu.

— Czy pozwolicie mi umrzeć z upływu krwi?

Głos jego wyrwał oficera z zadumy.

— Nie, nie! — szepnął — przyślę natychmiast doktora.

— Zbyt słaby jest, aby się podnieść z łóżka — wtrącił Gale, dotykając ramienia młodzieńca. — Zamknijmy go i pozwólmy mu umrzeć wśród ciemności.

— Nie mogę tego uczynić — szepnął Burrell. — Przyrzekłem.

— Skłamał Neci, oddał ją temu łotrowi — charkotał kupiec, lecz porucznik prowadził go już ku drzwiom.

— Nie wolno mi tego uczynić — powtórzył; zwrócił się potem do rannego: — Przyślę wam zaraz doktora, a Bóg niech czuwa nad waszą duszą.

Wyszli obydwaj z Gale'm. Przed drzwiami mieszkania doktora Burrell się zatrzymał.

— Zapomniałem pana zapytać, — rzekł łagodnie — czy jest pan również ranny?

— Zdaje mi się, nie jestēm pewien. — Stary kupiec zawisł nagle na szyi oficera, wybuchając głośnym szlochem: — Ona uwierzyła mu, chłopcze! Uwierzyła we wszystkie jego kłamstwa! I to mnie boli najbardziej.

XVII. Miłość Poleona Doret'a.

Dziewczynie, siedzącej przy sterze łódki Runnion'a, zdawało się, że noc ta nigdy się nie skończy. Wspomnienia wypadków ostatniego dnia kłębiły się w jej umyśle i przybierały teraz coraz bardziej zamglone kształty. Dlaczego stało się to wszystko owego dnia, kiedy dowiedziała się, że będzie nareszcie bogatą? Wieść o tem uczyniła ją bardziej jeszcze nieszczęśliwą, niż była dotychczas...

Czyż nigdy szczęście nie wróci już do niej? Przykryła się leżącym opodal kocem, zimno bowiem dokuczało bardziej nad ranem. O świcie fale przybrały barwę poszarzałego błękitu, a Neci przyszło na myśl, że musiała się już znajdować bardzo daleko od obozu. W okresie wcześniejszej wiosny, gdy fale rzeki bieżą ze zdwojoną szybkością, posuwanie się łódki wśród ciemności byłoby wielce utrudnione i podróż mogłaby być niebezpieczna. Dotychczas jeszcze nie zdążyła się przyjrzeć wioślarzowi, okrytemu wielką derką, aczkolwiek bowiem noc powoli mijała, szara mgła świtu wisiała, niby ciężka, ołowiana chmura, nad rozległą doliną rzeki. Musiał być doskonałym wioślarzem, zauważyła bowiem, że poruszał wiosłami miarowo

i niezmordowanie. Przez cały czas milczał, za co uczuwała dlań wielką wdzięczność. Okryła się znowu derką, usiłując zasnąć, lecz na zmęczone powieki sen nie przychodził, i przez dłuższy czas leżała z oczami otwartemi szeroko. Zmęczona samotnością i milczeniem chrząknęła, jakby dla nabrania odwagi, i zwróciła się ku milczącemu towarzyszowi:

— Musi pan być zmęczony tem ustawicznem wiosłowaniem?

— Nie odczuwam zmęczenia — odparł.

Uderzył ją dźwięk jego głosu, przypominał on dziwnie głos Runnion'a. Zapytała więc po chwili drżącym głosem:

— Czy może mi pan powiedzieć, która godzina?

— Prawdopodobnie koło trzeciej.

— Kim pan jest?

Pytanie padło jak strzał.

— Nie wie pani?

— Co pan tu robi, mr. Runnion?

— Wiosłuję — odparł ze swobodą.

— Czemu pan nic nie mówił dotychczas? — Ogarnął ją lęk jakiś dziwny. — Czemu pan milczał? Przecież wiedział pan, że to ja?

— Chciałem pani zrobić niespodziankę.

Ironja jego spotęgowała jeszcze jej przerażenie. Uczyniłaby teraz wszystko, aby tylko nie odbywać dalszej podróży z tym człowiekiem.

— Zmieniłem zdanie, mr. Runnion — rzekła. — Nie chcę już jechać do Misji. Pragnę wrócić do obozu.

— Niemożliwe, — rzekł — prąd jest zbyt silny.

— Proszę więc podwieźć mnie do brzegu, pójdę dalej piechotą. Do miasta nie może być daleko.

— Dwadzieścia pięć mil. Płyniemy już ze trzy godziny.

Z powagą ujął znowu wiosła, ona zaś postanowiła wszelkiemi siłami zachować spokój. Zdobyła się nawet na niewinną uwagę:

— Nie sądzę, aby trudno było dopłynąć do brzegu.

Bez słowa porzucił wiosła i począł obojętnie napychać fajkę tytoniem, po chwili rozpoczął przerwaną pracę.

— Jedźmy do brzegu, mr Runnion. Postanowiłam nie jechać dalej.

Głośny jego śmiech pozwolił zorjentować się dziewczynie w sytuacji.

— Niech mi pan pozwoli wysiąść na brzeg — zawołała. — Co pan zamierzasz uczynić?

— Zaczynasz się mnie bać trochę, nieprawdaż? — wymamrotał.

— Płynie pan do brzegu, czy nie?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, zręcznym ruchem wyrwała mu z rąk wiosła i poczęła manewrować niemi w wodzie.

— Siadaj na swem miejscu — wykrzyknął. — Czy chcesz łódkę wywrócić?

Przerażenie odjęło jej siły; padła przed nim błagalnie na kolana.

— Pozwól mi pan wysiąść, mr Runnion.

— Nie, — odparł — przyjdzie i na to czas. Teraz zajmij miejsce, bo utoniemy obydwoje. Nie zabiorę cię nigdzie z sobą, jeżeli nie zmienisz swego postępowania.

— Przecież ma mnie pan tylko odprowadzić do

Misji, mr Runnion. Sądzę, że przez ten krótki czas wytrzymamy jakoś z sobą, nieprawdaż?

— Stark kazał przesiąść mi z tobą na pierwszy spotkany statek, płynący do St. Michael's — rzekł Runnion, ignorując lekki jej sarkazm — ja sam jednak poczyniłem pewne plany w ciągu ostatnich godzin.

— Do St. Michael's mr Stark kazał? ależ to niemożliwe! Musiał go pan źle zrozumieć. Kazał panu poprostu zawieźć mnie do Misji. Przecież jadę do domu ojca Barnum'a.

— To ty jesteś w błędzie, moje dziecko. Pragnął cię poprostu usunąć z Flambeau i wrócisz tam raczej jako miss Runnion, niż jako kochanka Bena Stark'a.

— Czyś pan oszalał? — wykrzyknęła dziewczyna. — Mr Stark łaskawie ofiarował mi swą pomoc i obiecał odstawić mię do Misji. Jestem dla niego niczem, jak również i dla pana. Gdybym wiedziała, że mam jechać z panem, wolałabym zostać raczej w domu, nie mogę bowiem znieść pana.

— A cóż teraz będzie?

— Nie pora na żarty.

Znowu na chwilę przestał wiosłować i uśmiechnął się szyderczo.

— Stark „łaskawie ofiarował“, nieprawdaż? Ilekroć Ben Stark robi coś „łaskawie“, zawsze ja muszę przyjmować w tem jakiś udział. Od trzech miesięcy miał oko na ciebie, pożąda cię, lecz nic nie będzie z tego z chwilą, gdy ja zostałem twoim opiekunem. Nie powinnaś jednakże przerażać się tem. Zatrzymamy się w Misji, gdzie weźmiemy ślub, a potem namyślimy się, czy pojechać do St. Michael's, czy też nie, ja osobiście jestem za powrotem do Flambeau.

Podczas długich godzin, gdy Necia zatopiona była w niewesołych swych myślach, umysł Runnion'a nie próżnował również; postanowił skorzystać z niezwykłej sposobności. Przed kilku miesiącami jeszcze, gdy dziewczyna uważana była ogólnie za metyskę, plan ten nie postał w jego głowie, teraz jednak, gdy sytuacja przybrała inny obrót, Runnion uważał, że należy z tego skorzystać.

Piękność dziewczyny, oryginalność jej usposobienia i cały tajemniczy jej stosunek do Stark'a podniecał go jeszcze bardziej, przytem podobno była bogatą, tak przynajmniej twierdzili wszyscy w obozie. Dlaczegóżby on nie miał jej posiąść wówczas, gdy kochali się w niej i Doret, i Burrell, a co najciekawsze, nawet i Stark. Zresztą nie ryzykował nic w danym wypadku.

Dopiero teraz Necia zdała sobie sprawę, że była zupełnie sama i bezbronna, zdana na łaskę tego człowieka, który na pewno nie liczyłby się z niczem; po raz pierwszy w życiu w duszy jej zrodził się paniczny lęk. Doszła do wniosku, że była stworzeniem bezbronnem, wszystko, co ją otaczało, nie mogło być zbawienną ucieczką dla duszy jej i ciała, a sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Przeżyła wprawdzie dużo smutku i trosk, co wyrobiło w niej wiele samodzielności, jednakże po raz pierwszy przekonała się, że istnieją na świecie mężczyźni-zwierzęta, nie mający w duszach swych nic, prócz wielkiego egoizmu.

— Przeliczył się pan — rzekła. — Nie może pan przecież poślubić mnie siłą.

— Nie mam zamiaru, sama chętnie na to przystaniesz.

— Wolałabym raczej umrzeć. Pierwszego spotka-

nego człowieka poproszę o pomoc — opowiem wszystko ojcu Barnum'owi, na pewno stanie w mojej obronie.

— Jeżeli nie zmienisz zamiaru, nie zatrzymamy się w Misji ani na chwilę. Między Misją i St. Mike's mieszka jakiś ksiądz, który chętnie ceremonję tę załatwi. Wolałbym jednak, aby ślub nasz odbył się przy Świętym Krzyżu; pewien jestem, że zmienisz zamiar, gdy dokładnie o tem pomyślisz.

— Nie mamy się o co spierać.

— Nie rozumiesz jeszcze — mówił przyciszonym głosem. — Co ludzie powiedzą na to, żeś uciekła ze mną z Flambeau?

— Powiem im całą prawdę.

— Zbyt dobrze mnie znają, żaden mężczyzna w obozie nie będzie chciał potem zostać twoim mężem.

— Pan — pan...

Głos jej drżał, a usta nie mogły się zdobyć na odpowiedni dla niego epitet. Wiosłując obojętnie dalej, zapytał:

— Więc zostaniesz moją żoną?

— Nie! Gdy w obozie się dowiedzą, padnie pan z ręki mego ojca, lub też Poleona.

Już po raz trzeci porzucił wiosła.

— Gdyśmy doszli do tego, pozwolę sobie wtrącić słów kilka. Proponuję ci małżeństwo, lecz jeżeli się nie zgadzasz, będziesz musiała zostać moją squaw, jak przed laty Alluna. Nie jesteś przecież lepszą od twej matki, a przypuszczam, że ojciec twój również nie będzie miał nic przeciwko temu. Zrozum, że jesteś teraz sama ze mną na tem pustkowiu i musisz szybko wybrać jedno z dwojga, zamierzam bowiem wkrótce lądować, aby przygotować jakie takie śniadanie. Jeżeli

zgodzisz się przystać na moją propozycję, wszystko będzie w porządku, w przeciwnym razie postaram się zdobyć wszystko siłą. Taka głupia chyba nie będziesz, aby opowiadać przyjaciołom o tej wycieczce, mogłoby się to roznieść po całem wybrzeżu. Namyśl się, dopóki nie lądujemy.

Fale szemrały cicho, opasując pieszczotliwie kadłub łodzi. Godziny za godzinami mijały w milczeniu i stawało się coraz jaśniej na horyzoncie. Postać Runnion'a, rysująca się dokładnie na tle szarego świtu, wzbudzała w Neci odrazę. Znajdowali się na zupełnem odludziu, gdzie okiem sięgnąć wszędzie woda i wysoki brzeg porośnięty dziką gęstwiną krzewów. Nawet roślinność w tem miejscu sprawiała wrażenie monotonnej bezbarwności; oprócz szarej zieleni żadna barwa nie rzucała się w oczy; noc zdawała się mijać, ustępując miejsca szarej, wilgotnej mgle, zwisającej nisko nad zarysowanym o milę konturem nieprzebytych lasów i szczytami skalistych pagórków. Tuż ponad rzeką ołowiane chmury zdawały się przechodzić w odcień przybrudzonego złota. Cała okolica, jak daleko okiem sięgnąć, zdawała się być nietkniętą dłonią ludzką, a na szarozielonym kobiercu traw prawdopodobnie nie stąpnęła nigdy noga koczowniczych nawet mieszkańców lasu. Zauważyła, że Runnion obserwuje ją z pod oka, nie odzywając się jednak ani słowem. Profil jego wydał się jej w tej chwili bardziej okrutnym, niż kiedykolwiek. Zbliżali się do lądu, gdzie brzeg wrzynał się w rzekę, tworząc maleńki półwysep. Do tego właśnie miejsca Runnion skierował swą łódź. Serce w dziewczynie zamarło, a mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa.

Umysł Poleona Doret'a pracował ze zdwojonym wysiłkiem. Pamięć miał zawsze wyjątkową. Dziwną rzeczą się zdawać mogło, że niebardzo wierzył wiadomościom, podanym przez Stark'a. Wiedział bowiem, że w Flambeau niewiele było łódek, któreby wynająć mógł Stark. Jeżeli Necia popłynęła w górę rzeki, trudno byłoby znaleźć takiego wioślarza, któryby podjął się wiosłowania pod prąd. Prawdopodobniejsze było raczej, że dziewczyna wraz z Runnion'em popłynęła w przeciwnym kierunku. Doret postanowił puścić się w pogoń za nimi wdół rzeki. Pozostawała mu teraz jedyna nadzieja, aczkolwiek tamci mogli wsiąść na pokład pierwszego parowca, płynącego wgórę rzeki; przypuszczał jednak, że domysły jego miały uzasadnienie, prawdopodobnie bowiem Stark skłamał im, chcąc zmylić ślad, a Runnion popłynął wdół rzeki. Zadowolony był, że nie wspomniał nikomu o swym planie, mogliby go bowiem odwieść od zamiaru. Małą swą łódeczkę zarzucił na plecy i szedł ku brzegowi, niby wielki, niekształtny żółw, objuczony swą skorupą. Łódeczkę umieścił delikatnie na szemrzących falach i począł gorączkowo przygotowywać się do wyjazdu, czując w sobie dziwny ogień, aczkolwiek powietrze było chłodne, jak zazwyczaj podczas wietrznych nocy. Nie zważając na zimno, obnażył się prawie zupełnie do połowy, ujął za wiosła i w pozycji klęczącej począł wolno odbijać od brzegu. Maleńka barka zdawała się być w tej chwili istotą żywą, skakała bowiem i tańczyła na powierzchni płynących leniwie fal, które gdzie niegdzie pokrywały się białą pianą maleńkich, acz niebezpiecznych bałwanów. Ramiona Francuza

pracowały miarowo, podnosząc się, to opadając nad pluskającemi w wodzie wiosłami.

Blask zbliżającego się świtu odbijał się w tafli wodnej, a brzegi spowijał jeszcze mrok; na firmamencie gwiazdy poczęły blednąć. Pośpiech Doret'a wzmógł się jeszcze i wprowadzał go w pewien stan podniecenia, które podwajało siły jego i wytrwałość. Wytrwałość ta gnała go coraz dalej przed siebie, a głośny plusk wioseł zlewał się chwilami z posępnym szmerem fal rzecznych.

Runnion przywiązał swą łódź do jednego z pobliskich krzaków i zwrócił się do Neci z uśmiechem:

— No, jak? Czy chcesz być moją żoną, czy kochanką?

Skuliła się na ławeczce swej przy sterze i wybąknęła cicho:

— Proszę mi dać czas do namysłu.

— Dość już miałaś czasu, musisz się zdecydować wreszcie. Pamiętaj, że wybór twój nie ma właściwie dla mnie żadnego znaczenia, lepiej jednak, abyś postąpiła rozsądnie.

Poczęła wodzić wokoło zrozpaczonym wzrokiem, lecz, niestety, żywej duszy nie było ani na lądzie, ani na wodzie., Musiała zyskać trochę czasu, aby zorjentować się w przykrem położeniu, a może jednak zjawi się ktoś, kto ją wyswobodzi z rąk tego potwora.

— Proszę się nie lękać, — szepnęła słabym g'sem — wyjdę na ląd spokojnie.

— Pojęłaś nareszcie, że nie chcę ci wyrządzić ża nej krzywdy. Pójdź. Namyśl się jeszcze, a ja ty czasem przygotuję kawę.

Pomógł jej wysiąść z łodzi i wejść na urwisty brzeg, poczem przyciągnął ją do siebie w zamiarze pocałowania jej po raz pierwszy. Z piersi dziewczyny dobył się głośny krzyk rozpaczy, zręcznym ruchem wysunęła się z jego ramion.

— Więc niegodny jestem nawet jednego pocałunku? — zaśmiał się, przyciągając ją znów do siebie. — Powinniśmy w ten sposób przypieczętować nasze zaręczyny. Pójdź.

— Nie, nie, nie! — wykrzyknęła znowu rozdzierającym głosem.

Przylgnął znowu wargami do jej ust, a potem wypuścił ją z swych objęć, gdy tymczasem ona patrzała przed siebie rozszerzonemi z przerażenia oczami. Przetarła usta dłonią, jakgdyby chcąc zetrzeć piętno, które pozostawiły na nich gorące jego wargi.

Poczęła uciekać przed nim w panicznym strachu. Jedyną jej myślą była teraz ucieczka, lecz nie widziała możności zrealizowania tego pragnienia. Runnion rozpalił ognisko i wziął się do gotowania kawy w małym kociołku.

Necia wiedziała, że trudno było myśleć o ucieczce na tej równinie, oddalonej zaledwie o trzysta stóp od zalesionego brzegu. Z jednej strony zamykały jej drogę nieprzebyte zarośla, z drugiej zaś wartki prąd rzeki, na której falach kołysała się wątła ich łódka. Na widok łódki myśl jakaś uderzyła ją znowu; myśl ta odmalowała się snać na jej twarzy, zwróciło to bowiem uwagę Runniona, który w milczeniu podszedł do łodzi, odwiązał ją od brzegu i całą siłą swych ramion pchnął na fale. Po chwili wrócił znowu do rozpalonego ogni-

ska. Niepohamowana wściekłość malowała się na jego twarzy, gdy zajęty był nalewaniem wody do kociołka. Nagły jakiś ruch dziewczyny i szmer uginającej się pod jej nogami trawy zwrócił znowu jego uwagę; pobiegł za uciekającą i, dogoniwszy ją, opasał jej kibić silnem ramieniem.

— Tak! Więc kłamałaś mi! Ale nie wzruszają mnie wszystkie te twoje głupie kaprysy. Jeżeli w obecności księdza będziesz opierać się moim postanowieniom, pożałujesz tego potem. Radzę ci zgodzić się dobrowolnie na moją propozycję.

— Proszę mnie puścić, mr Runnion — błagała. — Zostanę pańską żoną. Tak, tak, uczynię to na pewno, ale proszę mnie nie dotykać teraz.

Podprowadził ją do ogniska, gdzie padła bez sił na mokrą trawę.

— Doskonale. Odpocznij nieco, a ja przygotuję ci coś gorącego do picia. — Mieszając kawę w kociołku, dodał po chwili: — Powinnaś być szczęśliwą, żeś mnie zdobyła. Zanosi się na to, że będę mieć bardzo dużo pieniędzy, a z chwilą, gdy zostaniesz panią Runnion, nikt nie pomyśli o tem, żeś była metyską.

Nagle dziewczyna porwała się z miejsca i z piersi jej dobył się krzyk pełen triumfu; wołanie to powtórzyło echo na przeciwległym brzegu. W tej samej chwili Runnion znalazł się przy dziewczynie, kneblując jej usta dłonią. Wymknęła mu się znowu, a z krtani jej wybiegło imię Poleona Doret'a. Wszelkiemi siłami próbował ją uciszyć, a gdy spojrzał w górę rzeki, dostrzegł wątłą łódkę, kołyszącą się na falach. Łódź była jednak tak oddalona od brzegu, że siedzący w niej

człowiek nie mógł dosłyszeć rozdzierającego wołania Neci. Niespodziewane zjawienie się łodzi w tem odludziu zaniepokoiło Runnion'a. Spojrzał w kierunku zbliżającego się żeglarza. Aczkolwiek Necia wymówiła imię Poleona, towarzysz jej nie znalazł żadnego podobieństwa między wysokim, potężnym wioślarzem a znienawidzonym przez siebie Francuzem; bardzo być może, że się myli, albo też bystry wzrok zawiódł go w ostatniej chwili. Najoryginalniejszą rzeczą było to, że wioślarz zdawał się być obnażonym do pasa. Znajdował się teraz naprzeciw nich, wpobliżu brzegu. Dziewczyna usiłowała wydobyć z siebie jeszcze jeden okrzyk, uniemożliwiała to jednak silna dłoń Runnion'a, kneblująca jej usta. Przypuszczał, że żeglarz nie zauważy ich wśród szarej mgły świtu, przysłaniającej nawet wąski płomyk płonącego ogniska. Mylił się jednak. Wątła łupinka, w której utkwione były w tej chwili oczy obojga, przybliżała się coraz bardziej, skacząc figlarnie na fali. Wreszcie prąd odrzucił ją znowu od brzegu, a uradowany Runnion wyswobodził z uścisku dziewczynę, która poczęła znowu krzyczeć wniebogłosy, wzywając wioślarza. Tamten nie odpowiadał, a tylko ze zdwojoną siłą manewrował wiosłami. Widoczne było, że usiłował wylądować na najniższem zboczu wybrzeża, ażeby tem samem zmniejszyć odległość między sobą i zaciętym wrogiem. Tajemniczy wioślarz zauważył ich na brzegu, skierował bowiem swą łódź w ich stronę, pragnąc snać wylądować na tym samym, co oni, półwyspie.

Nagle Necia usłyszała podniesiony głos Runnion'a:

— Ruszajcie stąd, Doret! Nie będziecie mogli tu wylądować!

W ręce łotra dostrzegła rewolwer i owładnęło nią nagle przerażenie, celował bowiem wyraźnie w stronę zbliżającej się łodzi. Uważnie obserwowała całe zajście i z tajoną niecierpliwością oczekiwała tego, co stać się miało. Zdawała sobie dokładnie sprawę, że, jeżeli Poleon na chwilę tylko odwróci uwagę w inną stronę, lub też sięgnie po broń, prąd odepchnie go daleko od brzegu. Zresztą, pozycja jego była o tyle trudniejsza, że znajdował się w maleńkiej łupince, gdy tymczasem przeciwnik jego czuł pod stopami stały grunt.

— Ruszaj zpowrotem, albo strzelać będę — ryknął znowu Runnion, a ona dodała bojaźliwie:

— Daj pokój, Poleon, on cię zabije!

Na jej słowa Runnion wystrzelił, nie trafił snać jednak w Poleona, ten bowiem nie drgnął nawet, pracując dalej wiosłami. Runnion powtórzył strzał, lecz i ten chybił widocznie. Przerażona tem, co się stać mogło, Necia pobiegła ku brzegowi wślad za swym prześladowcą, nie zastanawiając się nad grożącem jej niebezpieczeństwem, ani też nie myśląc o tem, coby właściwie teraz uczynić mogła. Dostrzegła Runnion'a, ładującego znowu rewolwer i, nie bacząc na nic, rzuciła się rozpaczliwie ku niemu. Następny strzał rozległ się tuż nad jej głową, a myśl, że walczy o życie Poleona, dodała jej sił i odwagi. Runnion zniecierpliwiony odepchnął dziewczynę od siebie, oczekując chwili, gdy łódź zbliży się jeszcze bardziej.

— Puść mnie, ty djablico! — zawołał, usuwając się znowu ku brzegowi, lecz ona pobiegła za nim.

Oczywiście, wątłych jej sił nie można było porównać

z męską siłą Runnion'a, a jednak każdy jego strzał udaremniała, starając się w ostatniej chwili, aby kula chybiła.

Trzy naboje już poszły na marne, a tymczasem łódź zbliżała się z każdą chwilą. Przy czwartym strzale odepchnął ją jeszcze brutalniej, jakgdyby miał do czynienia z równym sobie, silnym mężczyzną. Necia osunęła się na ziemię i przestała już być dlań przeszkodą; w tej samej chwili wątła łódeczka zbliżyła się do brzegu i wysoka postać wioślarza ukazała się na lądzie.

Poleon stanął z gołemi rękami naprzeciw dymiącej lufy rewolweru Runnion'a. Przez niskie zarośla wybrzeża biegł, jak strzała, nie zważając na to, która z wymierzonych kul trafi go. W chwili pośpiechu opuścił Flambeau, nie zabezpieczywszy się najmniejszym nawet pistoletem. Uważał to zresztą za rzecz zupełnie zbyteczną, zazwyczaj bowiem walczył tylko taką bronią, która mu darowana była od Boga. To też i w tej chwili szedł odważnie ku czekającemu nań, uzbrojonemu mężczyźnie, zbliżając się coraz bardziej, aż wreszcie ogień wystrzału oślepił go zupełnie.

Teraz dopiero rozpoczęła się prawdziwa walka, obydwaj zapaśnicy zniknęli gdzieś wśród gęstych zarośli. Dopiero po upływie kilkunastu minut naga postać Poleona wynurzyła się z pośród rozłożystych krzewów, zmęczony był i zdawał się gonić ostatkiem sił. Zbliżył się potem do zemdlonej dziewczyny, leżącej bez ruchu i nie zdającej sobie sprawy z tego, co się wokoło niej działo. Delikatnie uniósł ją z ziemi, a gdy dostrzegł, że głowa bezwładnie zwisa jej ku dołowi, oczy jego napełniły się łzami. Ułożył ją troskliwie tuż nad wodą i począł zwilżać twarzyczkę jej, łowiąc spoj-

rzeniem niedostrzegalny prawie, lekki jej oddech. Krótka chwila cucenia wydała mu się wiekiem, a potem odetchnął swobodniej, gdy Necia otworzyła szeroko oczy.

— Co się stało, Poleon? — szepnęła dziewczyna.— Tak się bałam.

Stał nad nią słaby teraz i nie mogący wymówić ani słowa. Dopiero po chwili westchnął z ulgą.

— Dzięki Bogu i za to! — wymamrotał, ocierając dłonią spoconą twarz.

— A gdzie on? — zapytała lękliwie, a dziwny dreszcz przejął ją na samą myśl o tamtym. — Cz-czy zabity?

— Nie mam pojęcia — odparł Poleon obojętnie. — Czujesz się teraz lepiej, nieprawdaż?

— Tak, strasznie go się bałam! — Ukryła twarz w dłoniach. — Och, Poleon! Poleon! Jakiż to straszny człowiek.

— Więcej cię już niepokoić nie będzie.

— On chciał... chciał... ach! zadowolona jestem, żeś tak uczynił. — Urwała nagle, spoglądając nań z troskliwością. — Czyś ranny? Och, czemu nie pomyślałam o tem. Musisz być ranny!

Francuz począł oglądać troskliwie swe ręce i nogi.

— Nie! Zdaje się, że nie — rzekł. Spojrzał teraz w kierunku rzeki na łódź swą, która kołysała się na falach, daleko od brzegu.

— Ba Gar! Że też jakimś cudem was dojrzałem.

— Całe szczęście, Poleon — szepnęła dziewczyna.

Nagle twarz jej pobladła śmiertelnie.

— Spójrz! Spójrz! — szepnęła, wskazując poza siebie.

Z zagajnika wypełznął w tej chwili Runnion z podniesioną w górę, zeszpeconą straszliwie twarzą. Ujrzawszy ich, próbował ostatkiem sił podnieść się z ziemi i rzucić na swego przeciwnika. Poleon uczuł dłoń dziewczyny na swem ramieniu i usłyszał twardy, ostry jej głos:

— Trzeba go zabić! Wrzuć go do wody!

Spojrzał zdziwiony i dostrzegł nieznany dotąd wyraz w jej twarzy; patrzała teraz zimno przed siebie.

— Ty nie wiesz, ty nie wiesz, kim on jest — syknęła przez zaciśnięte zęby. — On — lecz Doret nie słuchał już dalej.

Widząc go zbliżającego się, Runnion poczołgał się na czworakach w stronę rzeki, a gdy Poleon dobiegł doń, łotr wzniósł ku niemu błagalny wzrok i niewyraźnie bełkotać coś zaczął. Tragiczny jego wygląd wzruszył Necię; odezwała się w niej krew białych.

— Poleon, Poleon! Nie czyń tego! — wołała, podbiegając do nich. — Nie wolno ci! Byłaby to zwykła zbrodnia, a — a tobie nie wolno być zbrodniarzem.

Francuz spoglądał na nią ze zdziwieniem, nie mogąc pojąć nagłej zmiany, jaka w niej zaszła.

— Zostaw go i tak już prawie go zabiłeś; dość ma.

Runnion, złamany na duszy i na ciele, począł błagać o darowanie mu życia.

— Spełniłeś już swe zadanie, — perswadowała Necia — daj mu więc spokój.

Zawahał się przez chwilę, a Runnion, zauważywszy to wahanie Francuza, szepnął słabym, zbolałym głosem:

— Pobity jestem, Dorel. Połamałeś mi wszystkie kości. Pomocy chciałbym, jestem ranny.

— Co każesz, to z nim uczynię — rzekł Kanadyjczyk, zwracając się do Neci.

— Sądzę, że należałoby go przenieść na takie miejsce, gdzieby go mógł zauważyć ktoś z rybaków — odparła.

— Ta łódź wszystkich nas nie zabierze.

— Ja pozostanę tutaj — mruknął Runnion. — Zaczekam na jakiś statek, któryby mnie stąd zabrał. Ale nie dotykajcie mnie, na miłość boską.

Poleon przyjrzał mu się uważnie i doszedł do wniosku, że Runnion bardziej ucierpiał na umyśle, niż na ciele, żadnych bowiem na skórze znaków nie zauważył. Aczkolwiek Francuz łagodniejszym był od dziecka, zdawał sobie dokładnie sprawę, że przebaczenie Runnion'owi równałoby się pozostawieniu przy życiu dzikiej bestji. Spojrzał w stronę zadrzewionego wybrzeża, wysypanego drobnemi kamyczkami, i w oczach jego zapalił się nagle dziwny jakiś błysk.

— Zostaw go tu, Poleon. My odpłyniemy jego łodzią, a przypuszczam, że każdy statek zabrać go z sobą zechce. Pójdźmy.

Necia ujęła go za rękę i pociągnęła w kierunku wybrzeża. Tumany moskitów unosić się poczęły nad ich głowami.

— Bien! — przystał Dorel. — Pozostawiliśmy go tu z powodu braku miejsca w łodzi, prawda? Doskonale! Bardzo dobry pomysł. Lecz jest on przecież chorym człowiekiem, i możeby lepiej przenieść go gdzieś nad brzeg, skąd łodzie dojrzećby go mogły.

— Tak, tak! Pozostawcie mnie tutaj; poradzę sobie sam — błagał Runnion.

— Tu jest stanowczo niewygodne miejsce — zauważył Poleon. — Chodźcie, znajdziemy coś odpowiedniejszego.

Pomógł podnieść się rannemu i pociągnął go w stronę wybrzeża.

— Pierwszej napotkanej łódce powiemy, aby was zabrała — rzekł łagodnie Doret. — Zaczekaj tu na mnie, Neciu.

Necia patrzała za nimi, aż wreszcie zniknęli pośród zarośli i dopiero po chwili ujrzała powracającego Poleona.

— Uf! Strasznie się zmęczyłem—zawołał. — Chodźmy teraz prędko na wodę.

— Czyś go nie dotykał więcej?

— Nie, nie! — skończyłem już z nim.

Zbyt leniwą była teraz, aby pytać go o szczegóły, zresztą w kilka minut potem znaleźli się obydwoje w łodzi Runnion'a.

— Ładna łódeczka — zauważył Poleon krytycznie. — Szybka być musi również — począł wiosłować zręcznie, wdychając z rozkoszą czyste, wilgotne powietrze. — Wybiegłem z domu tak szybko, że nie zdążyłem nawet wziąć broni i płaszcza. Runnion pożyczył mi swego, ażebym wyglądał jakoś po ludzku, gdy wrócimy do Flambeau.

— Jakżeś go zostawił? Czy bardzo poraniony?

— Trochę na twarzy i na szyi, ale czuje się teraz zupełnie dobrze. Wynalazłem mu piękne miejsce, aby czekał na przejeżdżające tędy statki.

Necię przejął zimny dreszcz straszliwego przypomnienia.

— Boże, coby się stało, gdybyś ty nie przybył, Poleon! Nie orjentujesz się nawet, z jakich szponów mnie uwolniłeś.

Pochyliła się ku niemu i małą rączkę położyła na wielkiej jego dłoni, która w tej chwili zajęta była wiosłowaniem.

— Wątpię, czy kiedykolwiek zapomnieć ci to będę mogła — szepnęła z wdzięcznością.

Nagle zorjentowała się, że znowu płynęli z prądem w dół rzeki.

— Dokąd jedziemy? — zapytała.

— Łódką tą nie odważyłbym się jechać pod prąd, postanowiłem więc płynąć w przeciwnym kierunku, a jestem pewien, że każdy napotkany statek odwiezie nas chętnie do domu.

Koło południa dojrzeli woddali kontury zbliżającej się łodzi.

— To łódź misyjna! — zawołała Necia. — Z pewnością ojciec Barnum jest na pokładzie.

Gdy przybliżyli się nieco, dostrzegli ciemną, wysoką postać, przechylającą się ku nim przez burtę.

— Ojciec Barnum — zawołała znowu dziewczyna, a on, poznawszy jej głos, skinął przyjaźnie ręką na powitanie. W kwadrans potem przy pomocy dwóch potężnych Siwash'ów Necia i Poleon znaleźli się na pokładzie misyjnego statku. A gdy Francuz, uporawszy się z przywiązaniem swej łodzi, wszedł do kajuty księdza, zastał Necię, przytuloną do kolan starca i opowiadającą mu coś z ożywieniem. Ojciec Barnum powitał przyjaźnie Francuza.

— Czyż to możliwe, co słyszałem przed chwilą? — zapytał z uśmiechem. — Opowiedz mi wszystko, Doret, ale wolniej nieco. Ta mała opowiadała z taką pasją, że nic prawie nie zdołałem zrozumieć.

Gdy poczęli mu opowiadać obydwoje, oczy księdza napełniły się łzami, a gdy skończyli wreszcie, ojciec Barnum położył dłoń na ramieniu Doret'a.

— Synu mój, — rzekł — powinieneś dziękować Bogu za to, że ci dał silne mięśnie i czyste serce. Uratowałeś Necię i czeka cię za to boska nagroda. Co do Runnion'a, to musimy odnaleźć go i wysłać precz z tego kraju; młoda nasza ojczyzna nie powinna mieć takich ludzi, jak on. Będziesz naszym przewodnikiem, Poleon, i zaprowadzisz nas na to miejsce.

Po dłuższem wahaniu Poleon zgodził się wreszcie na propozycję księdza i po godzinie przybili do miejsca, gdzie o świcie Runnion rozpalał ognisko. Gdy na wołanie ich żaden głos z brzegu nie odpowiedział, ojciec Barnum wraz z Poleonem poczęli szukać Runnion'a wśród zarośli, lecz nie znaleźli już ani śladu; jedyną pozostałością po rannym był zwój strzępów bielizny, leżący na skraju zagajnika. Widocznie moskity nie próżnowały.

— Prawdopodobnie udał się piechotą do obozu — rzekł Doret. — Możliwe, że nie był tak bardzo ranny.

— Masz słuszność, mój synu — szepnął ojciec Barnum. — Musimy się trzymać brzegu, aby usłyszeć, gdy będzie nas wołał po drodze.

Wrócili na statek i popłynęli dalej, lecz, niestety, żadnego głosu nie usłyszeli po drodze. Przez całą drogę Doret siedział w milczeniu przy sterze i palił pa-

pieros za papierosem, które zwijał ze skrawków starej gazety. Spojrzenie jego utkwione było w przestrzeni, a choć niejednokrotnie i Necia, i ojciec Barnum usiłowali wszcząć z nim rozmowę, Francuz milczał uparcie. I dopiero, gdy noc zapadła, opuścił pokład i wszedł do kajuty księdza z triumfującym uśmiechem, pełnym ironji.

XVIII. Legenda o nagim wędrowcu.

Gdy „No Creek“ Lee wszedł następnego ranka do sklepu, zdziwił się zastawszy już za ladą Gale'a w normalnym nastroju, jakgdyby nic nie zaszło poprzedniej nocy.

— Powiedzcie! Co mieliście ze Stark'iem? Słyszałem, że doszło nawet do bójki i że powaliliście go na obie łopatki.

— Stare porachunki — mruknął kupiec. — Oddawna już się zbierało, aż wreszcie nadszedł dzień rozprawy.

— Boże! I pomyśleć, że Stark został zwyciężony! Cały obóz mówi tylko o tem! Opowiadają, że wypróżnił dwa sześciostrzałowce, celując do was, a wy podobno ryliście nożem na jego ciele, jak na pniu drzewa. Skończyło się już jego panowanie, nieprawdaż, John?

— Chcecie powiedzieć, że się już nie wykaraska?

— O, nie! Przypuszczam nawet, że wkrótce wyzdrowieje; słyszałem coś o tem, choć nie dopuszcza do siebie nikogo, z wyjątkiem starego doktora. Chciałem tylko powiedzieć, że przegrał bitwę i to oznacza jego koniec. Nie mogę się tylko pogodzić z myślą, że

Bena Stark'a ktoś zwyciężył. Musiało być coś ważnego, co skłoniło was do przyjęcia walki, John.

Niezwykłe zaciekawienie malowało się na pomarszczonej już twarzy starego górnika, zaciekawienie to zresztą objęło już cały obóz, wiadomość bowiem o nocnej potyczce Gale'a ze Stark'iem rozniosła się z błyskawiczną szybkością po całem niemal wybrzeżu, nikt jednak nie znał przyczyny tej walki, aczkolwiek krążyło mnóstwo najrozmaitszych na ten temat domysłów. Stark był wogóle niewidzialny dla wszystkich, Gale i Burrell zaś uparcie milczeli. Wszystko, czego mieszkańcy Flambeau zdołali się dowiedzieć, było, że jeden zapaśnik leży śmiertelnie raniony i że drugi go pokonał.

Gdy stary kupiec ominął milczeniem pytanie Lee, tamten indagował go dalej:

— A gdzie Poleon? Mam dla niego nowiny z kopalni.

— Nie mam pojęcia; wybrał się dokądś.

— Prędko wróci?

— Nie wiem. Dlaczego pytacie?

— Dzierżawcy jego rezygnują. Przecięli teren i nic nie znaleźli, kwitują więc z dalszej roboty.

— Czysta ziemia?

— Gorzej, bo kopać trudno. Ludzie Runnion'a wykopali już kilka metrów, a tu pokłady samych kamieni. Trzeba mieć odrobinę szczęścia, nieprawdaż? Pan Bóg daje tym, którzy mają, a biednym nic nie daje — mówi poeta. Naprzykład, Necia! Zostanie Krezuską. Muszę wstąpić do niej po drodze.

— Niema jej — rzekł kupiec twardo, usiłując ukryć przed Lee kredową bladość swej twarzy.

— Niema? A dokąd poszła?

— Popłynęła z Runnion'em wgórę rzeki. Zabrali mi ją ostatniej nocy.

— Żmije fałszywe — zaklął Lee. — Więc to jest powodem! — Po chwili dodał z prostotą: — Jedźcie po nią, John.

Gale spoglądał nań z uśmiechem.

— Możliwe, że pojadę najbliższym statkiem. Tymczasem zjadam powoli własne serce... godzina za godziną czekam, czekam, czekam — na trochę siły... To samo dzieje się z Burrell'em.

— Cóż on ma właściwie do tego? — zauważył jednooki górnik zazdrośnie. — Czyż sami nie zdołamy jej odnaleźć?

— On się z nią ożeni! Boże, czyż żaden statek nie przypłynie do nas!?

Po raz już setny tego ranka podszedł do otwartych drzwi, aby spojrzeć ku przystani.

— No, no! Mają się pobrać — mruczał Lee. — Stark pokonany, a Necia zamąż wychodzi; wszystko odrazu. Nie jestem z tego zadowolony, John; nienadzwyczajny to mąż dla niej, mogłaby zrobić większą karjerę; tylu przyzwoitych mężczyzn ma wokoło siebie, a i bogaci... Nawet ja chociażby; wygląd zewnętrzny nie zawsze był jak się należy, lecz ostatnio zdobyłem nowe ubranie; kupiłem je od jednego z turystów; zauważyliście, że się zmieniłem na korzyść.

— Burrell jest również porządnym człowiekiem, — rzekł Gale — porządniejszym od was i ode mnie; zajście to wytrąciło go zupełnie z równowagi. Nigdy jeszcze nie widziałem człowieka, któregoby tak obchodziły cudze zmartwienia. Gdy się dowiedział o tem wszyst-

kiem, lękałem się poprostu, że zmysły postrada — biegał po wybrzeżu tam i zpowrotem, obmyślając sposoby odnalezienia jej i gdyby nie ja, puściłby się za nią wpław bodaj.

— Twierdzę uparcie, — oznajmił Lee zasępiony — że Necia mogłaby jeszcze zaczekać na lepszą partję, ale jeżeli już chce koniecznie wojskowego, chętnieby poślubił ją wyższy jakiś oficer, generał nawet.

W tej samej chwili do sklepu wszedł Burrell i Lee zauważył, że wypadki ostatniej nocy wyryły się znaczniejszem piętnem na twarzy młodzieńca, niż na starczem obliczu Gale'a. Indagował znowu Stark'a po wizycie doktora, lecz ten torturował młodzieńca ciągłem wspominaniem imienia Runnion'a, aż wreszcie porucznik, nie dowiedziawszy się niczego więcej, wrócił zdenerwowany do swej kwatery.

Pozdrowiwszy jednookiego górnika, oficer zwrócił się do Gale'a:

— Nie mogę czekać dłużej — szepnął, padając na stojące przy kontuarze krzesło. — Runnion wpadnie w moje ręce, Gale! Rozumie pan, on jest mój!

Stary kupiec skinął głową potakująco.

— Tak! Jego należy unieszkodliwić.

— Może i ja się przydam na coś? — wtrącił Lee.

— Nic nie zrobicie — rzekł Gale. — Pojedziemy za tym łotrem choćby do Stanów. Wy myśleć musicie o swej kopalni...

— Do djabła z kopalnią! — zaklął siarczyście górnik. — Dziewczynę waszą kocham, jak ojciec.

Porucznik przechadzał się teraz w milczeniu po sklepie, spoglądając co chwilę w stronę rzeki. Wtem

stłumiony okrzyk dobył się z jego piersi: Gale i Lee byli już przy nim.

— Spójrzcie! Ten mały punkcik! Tam, w dole rzeki! Widzę wyraźnie wątłe pasemko dymu!

Wszyscy trzej zawiśli spojrzeniem nad zwartą ścianą lasu, który przysłaniał raptowny zakręt rzecznego koryta.

— Zdaje ci się, mój chłopcze — wyszeptał Gale.

— Czekajcie!

Istotnie po chwili dostrzegli szarą wstęgę dymu ponad wierzchołkami drzew.

— To dym! To dym! — wołał oficer. — Biegnę po płaszcz i rewolwer.

Nim statek zdążył zawinąć do przystani, Burrell był już zpowrotem, obładowany podróżnym bagażem; skakał teraz i śmiał się z radości, jak małe dziecko. Przez pewien czas Lee obserwował go uważnie, poczem wszedłszy w milczeniu za ladę, nalał szklankę mocnej whisky i podał ją Burrell'owi. Po chwili szepnął Gale'owi do ucha:

— Miejcie go na oku, John — gotów postradać zmysły.

Gdy statek zbliżał się do brzegu, kupiec zawołał z rozpaczą:

— To statek misyjny!

— Cóż z tego? — rzekł Burrell. — Możemy go wynająć, kupić ewentualnie!

— Ze statku tego nie będzie pożytku — wtrącił Lee — posiada zaledwie siłę trzech psów parowych. Łatwiej byłoby płynąć na nim z prądem.

— Taka pogoń — dodał Gale — byłaby tylko stra-

tą czasu. Musimy zaczekać na któryś ze statków handlowych.

— Znów czekać! — wykrzyknął Burrell niecierpliwie. — Na miłość Boską! nie robimy nic, tylko ciągle czekamy, czekamy i czekamy! Czynów nam trzeba!

— Zobaczy pan, że wkrótce i łódź jakaś się znajdzie — pocieszał Lee.

Przybycie statku misyjnego wywołało nową sensację w obozie, to też niezliczone tłumy mieszkańców oczekiwały już w przystani, obserwując uważnie wolno zbliżający się parowiec. Johnnie Gale, który wraz ze swą siostrzyczką, Molly, przybiegł również, aby ucałować rękę ojca Barnum'a, dostrzegł pierwszy Necię i Poleona na pokładzie.

Trzej mężczyźni w sklepie nie dosłyszeli radosnego okrzyku malca na cześć starszej siostry, zbyt bowiem zajęci byli rozmową i układaniem planów przyszłego pościgu.

— Pojmujecie! — mówił Burrell. — Runnion'a musicie mi zostawić. Nikt, oprócz mnie, nie ma prawa do tego łotra.

Głos mu zadrżał przy ostatnich słowach; podniósł się z krzesła z niesamowitym błyskiem w oczach. Wszyscy trzej zwrócili się nagle ku drzwiom. W progu stała Necia, trzymając za rękę Poleona Doret'a — dziewczyna uśmiechała się radośnie do zebranych w sklepie.

Gale podbiegł do niej z okrzykiem, tylko Burrell nie mógł wymówić ani słowa, a nogi odmówiły mu posłuszeństwa zupełnie. Widział ich jak przez mgłę, przestępujących próg sklepu i słyszał zwrócone ku sobie wyraźnie słowa Francuza:

— Przywiozłem ją panu zpowrotem, monsieur!

Doret złożył rączkę dziewczyny w męskiej dłoni ukochanego, a Necia uśmiechała się doń rozkosznie. Coś zaparło mu dech w piersi i odjęło mowę, zresztą nic tu przecież nie było już do mówienia, ona bowiem była tutaj, zdrowa i śmiejąca się...

Gale odciągnął na stronę dziewczynę i porwał ją w ramiona, mamrocząc coś niewyraźnie.

Dopiero, gdy po chwili do sklepu wszedł ojciec Barnum, trzej mężczyźni zasypali go gradem pytań, od Poleona bowiem i Neci trudno się było dowiedzieć czegośkolwiek.

— Dobrze, dobrze! — śmiał się poczciwy staruszek. — Opowiem wam szczegółowo o wszystkiem, lecz przedtem muszę uścisnąć dłoń porucznika Burrell'a.

Z wielkiem zaciekawieniem słuchano opowiadania księdza, a gdy opisywać począł zaciętą walkę Doret'a z Runnion'em, oczy wszystkich nabiegły łzami.

— Niezwykła to była bitwa, — mówił z przejęciem naocznego świadka — Poleon bowiem walczył gołemi rękami, gdy tamten strzelał mu prosto w twarz. Dziękować Bogu, że nasz bohater nie odniósł poważniejszego szwanku. Opatrzność czuwała nad czystem jego sercem.

— A gdzie Runnion? — zapytał nagle Burrell.

— Opatruje pewno swe rany w jakimś obozie po drodze. Bo też Doret nie żałował mu sińców, podobnie odważnego chłopca nie widziałem.

Francuz poruszył się niespokojnie na krześle.

— Nie wiem sam, — rzekł — ale mam wrażenie, że tak bardzo go znów nie poturbowałem.

— Czy nie można go było potem odnaleźć? — zapytał Lee.

— Kompletnie ani śladu, — odparł ojciec Barnum — prawdopodobnie znalazł sobie jakiś zaciszny zakątek; lasy pełne są jagód, a brzeg roi się od łososi, które łatwo zabić nawet pałką. Człowiek z łatwością i kilka tygodni żyć może wśród takich niewygód!

— Zajmę się poszukiwaniem — rzekł ponuro oficer. — Jeszcze dziś wieczór wyślę Thomasa z kilku ludźmi wdół rzeki.

Gdy ksiądz skończył wreszcie swe opowiadanie, zwrócił się do Burrell'a z prośbą o kilka minut rozmowy sam na sam. Odeszli obydwaj w najodleglejszy kąt sklepu.

— Gawędziłem długo z Necią — rzekł staruszek, serdecznem spojrzeniem obejmując twarz zmieszanego Burrell'a — i dowiedziałem się o głębokiej jej miłości dla pana. Czy sądzi pan, że jest pan wart tej dziewczyny?

— Nie — odparł młodzieniec z prostotą.

— Czy kocha ją pan tak, jak pan powinien?

— Tak, jak tylko mogę. Trudno mi wyrazić słowami, jak bardzo jest mi ona droga.

— Pocóż zatem odwlekać? Jutro wyruszam stąd i Pan Bóg wiedzieć raczy, kiedy wrócę tu znowu.

— Lecz Stark? — westchnął młodzieniec. — On jest przecież jej ojcem, a ona nie ukończyła jeszcze lat osiemnastu.

— Mało znam się na prawie poza kościołem, — zauważył ksiądz — lecz przypuszczam, że prawo bezsilnem będzie, jeżeli weźmiecie ślub, zanim Stark jeszcze zdąży wam zabronić. Dotychczas nie troszczył

się przecież o nią i niczego jej nie bronił, uważam, że ma pan wszelkie szanse, aby ją poślubić. W pańskim wieku na pewno nie potrzebowałby mi nikt dodawać bodźca.

— Bodźca? Wielki Boże! przecież pochodzę z Kentucky.

— Przedewszystkiem przed Bogiem należy ona do pana, więc i ludzie łatwo pogodzą się z tym faktem. Jeżeli jestem w błędzie i on ją panu odbierze, niechaj inni księża rozwodzą was, ja umywam od tego ręce!

— Proszę się nie martwić, ojcze — zaśmiał się Burrell. — Jesteś jedynym mężczyzną, któremu pozwalam całować moją narzeczoną; jestem człowiekiem zazdrosnym i wszyscy Stark'owie razem z ojcami nie zdołają mi jej odebrać. Czy przypuszczasz, ojcze, że ona się na to zgodzi?

— Kochająca kobieta uczyni wszystko.

Porucznik ujął staruszka za rękę.

— Gdybym znał lepiej prawo, z pewnością sambym doszedł rychło do tego wniosku.

— Pójdę teraz do Stark'a — rzekł ksiądz; — może mnie potrzebować, lecz naprzód powinienem pomówić z Necią. Biedne dziecko znajduje się w trudnem położeniu, stojąc między miłością, jaką żywi do Johna Gale'a, a lojalnością, którą winna swemu ojcu. Obawiam się, że nie będę mógł z nią mówić poważnie tak, jak powinienem, sam bowiem jestem ogromnie słabego usposobienia. Najlepiej byłoby, żebyś pan poszedł ze mną; z pewnością uczucie zdziała tu więcej niż rozsądek. — Gdy zbliżali się do domu kupca, staruszek mówił dalej z pełnią energji w głosie: — Widzisz, młodzieńcze, sam rozpocząłem teraz nowe ży-

cie. W młodości byłem ogromnie niezdecydowany, aż przyszedł wreszcie dzień... — Umilkł na chwilę, a potem zapytał ostro: — Nacóż właściwie czekasz pan?

Weszli razem do mieszkania Johna Gale'a.

Po wyjściu księdza z oficerem w sklepie zapanowało milczenie. Wreszcie po kilku chwilach pierwszy odezwał się Gale.

— Ta cała przemowa posiada swoją słuszność, lecz ja muszę mieć Runnion'a.

— Znajdziemy go na pewno — zarechotał Lee, na co Poleon odparł krótko:

— Nie!

— Dlaczego nie? — zapytał górnik.

— Dlatego, — Kanadyjczyk zapalał wolno papierosa, jak zwykle skręconego z gazety, poczem zaciągnął się dymem z rozkoszą — dlatego, że stracicie czas napróżno.

Gale przyglądał się Francuzowi z pod oka.

— Dlaczego? — zapytał spokojnym głosem.

— Czy pamiętacie historję, którą opowiadałem wam pewnego dnia przed trzema miesiącami? Była to historja o Johnie Platt'cie, który został zjedzony przez moskity.

— Pamiętam — odparł Gale.

— A zatem — oczy ich się spotkały i znowu Poleon począł zaciągać się dymem — mam nadzieję, że i Runnion miał taki sam koniec. Najwyżej znaleźlibyście strzępy pozostałe z koszuli.

— Wielki Boże! — zawołał kupiec, zrywając się z miejsca. — Więc ty, ty...

— ...oczywiście, tak uczyniłem. Doskonale się czuł, gdy go opuszczałem, tak dobrze się czuł, że aż zabra-

łem mu płaszcz, mój bowiem zostawiłem w domu. Porządny chłop, oddał mi go bez grymasów. Ba Gar! Nigdy w życiu nie widziałem więcej moskitów!

Gale milczał, gdy tymczasem Lee począł kląć siarczyście. Po chwili kupiec podszedł do Poleona i wielką, spracowaną swą dłoń położył na jego ramieniu.

— Zaoszczędzi to nam drogi — rzekł.

A jednooki górnik nie przestawał kląć dalej.

Zdawało się, że życzeniu Poleona stało się zadość, od zaginionego bowiem nie było znaku życia w ciągu ostatnich kilku dni. Tylko w małej rybackiej wiosce, hen — w dole rzeki, gdzie kilka rodzin indyjskich pobudowało prowizoryczne domostwa i zajmowało się połowem łososi, jeden z rybaków opowiadał podobno swemu bratu dziwną historję — była to bajka o nienawiści białych do Indjan. Straszni to ludzie ci biali, twierdził, a jednak dziecinni w niektórych wypadkach; chodzą po lesie zupełnie nadzy i śpiewają dziwaczne jakieś piosęnki. Starsi obywatele wioski kiwali z politowaniem głowami, ostrzegając młodego rybaka, aby się trzymał zdaleka od nagiego wędrowca, i tacy bowiem bywają często okrutni i nie wolno im wchodzić w drogę. Dotychczas jednak niewiadomo, czy legenda o nagim człowieku miała coś wspólnego z rzeczywistością.

Gdy ojciec Barnum wrócił do sklepu po godzinnej rozmowie z Necią, zastał w nim trzech mężczyzn, omawiających jeszcze losy Runnion'a. Zadowolony był wielce z wyników konferencji, któremi, oczywiście, podzielił się z obecnymi. Poleon i Gale przyjęli wia-

domość spokojnie, tylko jednooki górnik zawołał z rozpaczą:

— Spadło to na mnie zupełnie nieoczekiwanie. Nie zdążę się nawet przebrać na tę wielką uroczystość.

— Możecie się śmiało pokazać i w tym stroju — tłumaczył ksiądz z dobrodusznym uśmiechem.

Lecz Lee postanowił za wszelką cenę zaprezentować się przyjaciołom w nowem swem ubraniu, nabytem od jakiegoś turysty. Bez słowa pożegnania wybiegł szybko ze sklepu. Również i ksiądz wrócił do Neci, pozostawiając Gale'a i Poleona samych

— Mam wrażenie, że tak będzie najlepiej — odezwał się kupiec po wyjściu księdza.

— Oczywiście!

— Należy kuć żelazo, póki gorące, nieprawdaż?

— Cieszę się, że doczekałem tej chwili — rzekł Francuz. — Dobry to człowiek i nie uczyni jej żadnej krzywdy. Chciałem zapytać was o coś, John — pamiętacie prawdopodobnie ten dzień, gdy opowiadaliście mi historję życia jej matki? Od tego czasu często myślałem o tem i teraz pragnę was zapytać, lecz Necia nie może się o tem dowiedzieć.

— Czyż ona o tem nie wie, mój chłopcze?

— Nie, nigdy nie mówiłem z nią o miłości. Jest pewna, że żywię dla niej tylko przyjacielskie uczucie — i tak być powinno, ba Gar!

Głos mu się załamał i skonał gdzieś w krtani. Gale ujął go za ramiona.

— Nic niema na świecie gorszego, jak szlachetna kobieta; — rzekł — lecz ona nie chciałaby ci zrobić przykrości, Poleon; jedynie blask tamtego uczucia oślepił ją, nie widzi nikogo poza Burrell'em

— Wiem o tem! A nikt tego tak dobrze nie rozumie, jak ja i wy.

Gale spoglądał przez otwarte drzwi na rozsłonecznione fale rzeki, płynące z „krainy tajemnicy" i ginące w dalekiej „dolinie zapomnienia"; w głębokich jego oczach zamajaczył cień dawnej miłości, która tliła w duszy jego dotychczas.

— Nikt tak, jak ja, zrozumieć tego nie może, sam bowiem znam to doskonale. Przeżycia moje były o wiele cięższe — ty chociaż wiesz, że ona będzie szczęśliwą, gdy ja — głos mu zadrżał. Po chwili spokojniej mówił dalej: — Żadne z nich nie zastanawia się teraz, ile uczyniłeś dla nich, wydzierając ją ze szponów tamtego; lecz przyjdzie czas, że ci dziękować będą. Miną lata całe, a oni opowiadać będą dzieciom swoim o tobie, Poleon, i imię twoje stanie się nieśmiertelne. Kochałem matkę jej, lecz wątpię, czy potrafiłbym uczynić to, coś ty dla nich uczynił.

— Wierzajcie mi, że myślałem wówczas tylko o jej szczęściu. Ona taka mała, bezbronna, a ja silny chłop, powinienem tylko kochać ją i stać zawsze w jej obronie; jest ona dla mnie jasnym, słonecznym promieniem, który oślepił oczy moje...

— Gdybym był głupcem, pocieszałbym cię, że czas wszystko wyleczy, ale, niestety, sam przekonałem się, że tak nie jest.

— Nie pragnę wyleczenia! — zawołał Doret gwałtownie. — Le bon Dieu zapomnieć mi o niej nie pozwoli — to jedyne zabiorę z sobą w drogę do ... ojczyzny".

— Nie wybierasz się chyba w dalszą p... niepokoił się Gale.

— Dziś jeszcze — odparł tamten spokojnie.

— Niemożliwe!

— Dziś jeszcze! Po południu! Krew odezwała się we mnie żądzą włóczęgi, John. Siedziałem tutaj pięć długich lat — stanowczo za długo dla takiego, jak ja, włóczęgi. Tęsknię za stukiem siekiery w głuchym lesie i za tumanami moskitów, unoszących się nad głową. Pragnę ujrzeć znów rozpalone na dzikiej polanie ognisko i wdychać płucami wonny dym palonej sośniny. Spełniłem tutaj me zadanie i muszę się przenieść tam, gdzie mogę się jeszcze na coś przydać.

Podniósł się z krzesła, wskazując szerokim gestem łańcuch szczytów górskich, otaczających zazdrośnie głęboką dolinę Koyukuk, dolinę, która przyzywa do siebie co roku silnych, szlachetnych ludzi, nie wracających potem już nigdy... Stary kupiec dostrzegł w błyszczących oczach Francuza niezaspokojony głód nowych niebezpiecznych przygód, żrącą tęsknotę za pierwotnością dalekiego Zachodu, czy Północy; widząc go takim, Gale był pewien, że Poleon nie zostanie dłużej w Flambeau.

— Czy znasz już nowiny z kopalni? — zapytał posępnie młodzieńca.

— Nie.

— Działki twoje nie zawierają złota, zaprzestano kopać.

Francuz pokiwał smutnie głową, poczem uśmiechnął się dobrotliwie.

[illegible] Lepiej, że ja straciłem, niż wy, lub Necia. Ni[illegible]łem szczęścia, a zresztą, czemże jest dla [illegible]a złota? Niepotrzebne już mi będą teraz

Natychmiast po ukończeniu ceremonji ślubnej ojciec Barnum udał się do mieszkania Stark'a, z którym spędził godzinę na poważnej rozmowie w cztery oczy. Po powrocie do domu kupca staruszek nie podzielił się z nikim swemi wrażeniami, a tylko rzekł z wielce tajemniczym uśmiechem:

— To dziwny człowiek — ogromnie dziwny człowiek: zły i nieopanowany. Nie mogę wam powtórzyć tego, co mówił. Uzbrójcie się w cierpliwość, a dowiecie się wkrótce.

Mały parowiec, który w godzinę po przybyciu statku misyjnego zawinął był do przystani, gotował się do wyruszenia w dalszą drogę, gdy wtem, na głównej ulicy obozu ukazała się dziwaczna jakaś procesja, na widok której ludzie przystawali zaciekawieni po drodze. Na noszach, niesionych przez księdza i doktora, leżał mężczyzna, okryty po szyję grubym kocem; głowę miał tak owiniętą bandażami, że trudno było gapiom rozpoznać rysów jego twarzy. Nie odpowiadając na pytania ciekawych, ksiądz i doktór wnieśli nosze na pokład przygotowanego do drogi parowca...

Gdy statek zniknął poza ścianą szumiącego lasu, ojciec Barnum zwrócił się do swych przyjaciół:

— Odpłynął stąd nie na dni kilka, lecz na zawsze. Dziwny to człowiek i wielu rzeczy, o których mówił, zrozumieć nie mogę. Pod koniec rozmowy zaznaczył, że jednym dobrym uczynkiem będzie, gdy córkę swą pozostawi jej szczęściu, którego sam nigdy w życiu nie zaznał; prosił mnie, abym powiedział Neci, że jest ogromnie podobna do swej matki, która była najlepszą kobietą na świecie.

XIX. W dalszą drogę.

Smutek zapanował dnia tego w domu John'a Gale'a. Molly i Johnnie płakali tak głośno, że rozpacz ich słyszano nawet w odległej o pół mili od obozu, indyjskiej wiosce. Poleon wyruszał z Flambeau. Ich kochany Poleon! Rozpacz swą manifestowali tak głośno, że Burrell, który nic nie wiedział o postanowieniu Doret'a, przybiegł z koszar, aby się dowiedzieć, jakie to wielkie nieszczęście nawiedziło rodzinę starego kupca.

— Co się stało, malcy? — zapytał niespokojnie. spoglądając ze zdziwieniem na zapłakane ich twarzyczki. Widok jego przejmował ich zawsze niewytłumaczonym lękiem, to też i teraz, gdy ukazał się przed nimi tak niespodzianie, wybuchnęli głośniejszym jeszcze płaczem. Był, coprawda, bardzo miły naogół — obydwoje zgodzili się na to już dawno, — ale trudno go było porównać z Poleonem, który był większym trochę od nich kolegą.

— Pójdźcie tu! Opowiedzcie mi o wszystkiem dokładnie! — nalegał oficer. — Czy stało się coś kulawej lalce Molly?

Molly odwróciła główkę z pogardą, bo jakże można było mówić o głupstwach w tak tragicznej chwili!

— Może zaginął ten piękny łuk, z którego strzela się tak cudownie?

W cichej odpowiedzi Johnnie wyciągnął z krzaków ukochaną zabawkę i w milczeniu pokazał ją Burrel-l'owi.

— Nie pojmuję więc waszej rozpaczy. Może mógłbym wam w czemś pomóc?

— Poleon! — wyjąkali przez łzy.

— Właśnie! I cóż z nim?

— Wyjeżdża! — szepnął Johnnie.

— Wyjeżdża! — powtórzyła Molly, jak echo.

— Przykre to bardzo naprawdę, — rzekł porucznik — ale pomyślcie, ile wam pięknych rzeczy przywiezie, gdy wróci.

— Nie wróci więcej — oznajmiły dzieci złamanym głosem.

Burrell usiłował dowiedzieć się czegoś więcej od malców, lecz, niestety, sami oni wiedzieli mało, postanowił więc poszukać Kanadyjczyka. Zastał go w sklepie wraz z Gale'm; obadwaj zajęci byli pakowaniem prowjantów i amunicji w drogę.

— Poleon, — zawołał oficer — nie zamierza pan przecież nas opuścić!

— Owszem — odparł Doret. — Wyjeżdżam dzisiaj.

— A kiedy pan wróci?

Francuz wzruszył ramionami.

— Trudno byłoby powiedzieć. Ciężko mi na sercu, więc muszę się trochę powłóczyć. Rzadko kiedy wracam tam, skąd wyjechałem.

— Ależ to niemożliwe! — zawołał Burrell. W tej samej chwili wtargnął przez otwarte drzwi głośny, zawodzący płacz małych Gale'ów. — Słyszy pan rozpacz malców? Nie puścimy stąd pana, Doret!

— Muszę szukać dalej nowej mej ojczyzny — szepnął tamten.

Porucznik wyciągnął doń rękę.

— Całe moje szczęście panu zawdzięczam; dziękować nie umiem, lecz przysięgam, że uczucia mego dla pana nie można określić słowami.

W tejże chwili na progu ukazała się Necia.

— Co słyszę, Poleon? — wykrzyknęła. — Alluna powiedziała mi przed chwilą... Więc to prawda?...

Uśmiechnął się po swojemu.

— Tak, — rzekł stanowczo — o podróży tej myślałem już oddawna.

— Kiedy wrócisz?

— Gdy znajdę ową krainę, której szukam — nie wrócę nigdy. Prawdopodobnie zapomnę kiedyś o Flambeau, choć wszyscy tu dla mnie tak dobrzy byli.

— Żądza ustawicznej włóczęgi, — mruknął Burrell do siebie — ten człowiek nie spocznie nigdy.

— Jakież z ciebie dziecko? — zawołała Necia, napół gniewnie. — Czyż nie możesz zwyciężyć w sobie tej żądzy i zostać na zawsze z nami? — Dotknęła dłonią jego ramienia. — Wszakże mówiłam ci już, że kraina obiecana nie istnieje, że obrana przez ciebie droga prowadzi jedynie do trudów, cierpień i niebezpieczeństwa. Ojczyzna, której szukasz, jest tu, — dotknęła dłonią piersi — czemuż więc nie chcesz pozostać w Flambeau, abyśmy pomogli ci tę ojczyznę odnaleźć?

Dziękował gorąco Bogu za jej niedomyślność, choć jednocześnie bolało go to ogromnie. Dlaczego nie widzi ona, że on ją kocha i dlaczego nie wie, że gdyby pozostał tu, życie stałoby się dlań powolnem konaniem? Lecz ona nigdy tego nie zobaczy, nie domyśli się nigdy. Zaśmiał się głośno, pełen radości, jakgdyby słońce świeciło dla niego i jakgdyby podróż ta przynieść mu miała wiele beztroskiej radości. A potem, wziąwszy z lady swe zawiniątko, rzekł:

— Nie należy zwalczać uporu Kanadyjczyka. Może pewnego dnia zjawię się tu znowu, lecz teraz niebo jest zbyt piękne, rzeka szumi zbyt głośno, a ptaki śpiewają zbyt tęsknie, abym mógł pozostać na lądzie. Ba Gar, szczęśliwy jestem!

Wypadł ze sklepu, a po chwili dobiegł ich triumfalny jego śpiew od strony przystani:

„Chanté, rossignol, chanté!
Toi qui a le coeur gai;
Tu as le coeur à rire,
Mais j'l'ai-t'-à pleurer.

Il y a longtemps que j' t'aime,
Jamais je ne t'oublierai".

Z tęskną melodją połączyły się teraz kwilące głosiki malców.

— Nie, nie! Ja też pojadę! Ja też poja-a-a-dę.

— Hej! John Gale! — zawołał Poleon. — Chodźcie tutaj! Ba Gar! Może wy dacie sobie radę z tą hołotą!

Gdy zbliżyli się do przystani, mówił dalej ze śmiechem, podnosząc w górę małego Johnnie:

— Oto ślepy pasażer, wsiadł do mej łodzi bez biletu! Sacré!

— I ja chcę pojechać! — zawodził mały bohater, wyciągając z pod koca swą strzelbę. — I ja chcę pojechać! Bo kocham cię, Poleon!

— Sądzę, żeś nie pomyślał o czarnym niedźwiedziu, który mógłby cię połknąć po drodze — tłumaczył dobrotliwie Francuz.

Słowa jego spotęgowały jeszcze rozpacz młodego Gale'a.

— A jeżeli niedźwiedź połknie ciebie, Poleon! — biadał. — Pozwól mi pojechać z sobą. We dwóch prędzej sobie damy radę!

Stary kupiec z trudem zdołał odwieść malca od tego zamiaru. I gdy wreszcie Johnnie przekonał się, że stanowczość Doret'a jest nieugięta, ze łzami w oczach podał mu w milczeniu swą strzelbę, która miała go bronić przed czyhającem niebezpieczeństwem. Francuz ucałował malca w oba policzki, poczem zwrócił się do Molly. Dziewczynka pragnęła mu podarować kulawą swą lalkę, co było ogromnem poświęceniem z jej strony.

Nadeszła ostatnia chwila pożegnania, chwila, gdy serca ludzkie przepełnia smutek, a usta milczą uparcie. Burrell ujął dłoń Francuza.

— Wiele szczęścia i powodzenia! — rzekł. — Ciężkiej sakiewki i lekkiego serca, Poleon! Polubiłem pana serdecznie.

— Pragnę, abyś pan był dobrym mężem, monsieur. Jest to jedyne życzenie, jakie mam dla pana.

Gale'owi ciężko przyszło żegnać Doret'a.

— Nie zapomnij, synu — było to wszystko, na co zdobył się w tej chwili.

Obydwaj nie patrzyli sobie w oczy, było to zresztą zupełnie zbyteczne, i tak bowiem rozumieli się doskonale. Stary kupiec odwrócił się pośpiesznie i ująwszy za rączki malców, począł iść z nimi wolno ku domowi.

— Tym razem znajdę na pewno mą obiecaną krainę — mówił Poleon Doret z uśmiechem do Neci.

W oczach jej zabłysły łzy, gdy szepnęła:

— Mam nadzieję, braciszku. Jedź z Bogiem!

— Bądź zdrowa, maleńka! — zawołał, wskakując do łodzi. Odwiązał ją zręcznie i tęsknem spojrzeniem objął czerwieniące się w zachodzącem słońcu dalekie, górskie szczyty. Łzy zasłoniły mu widok, gdy sprawnym ruchem ujął za wiosła; drżącym nieco głosem począł śpiewać znowu.

„Chanté, rossignol, chanté!...“

— Przypuszczałem, że znam go lepiej — westchnął Meade Burrell, spoglądając za malejącą powoli sylwetką wioślarza.

— Kochałbyś go wówczas tak, jak myśmy go kochali — rzekła Necia.

— Mam nadzieję, że będzie kiedyś szczęśliwy.

— Czy tak szczęśliwy, jak ty, najdroższy?

— Nie — odparł młody małżonek — bo nigdy tak kochać nie będzie, jak ja cię kocham.

„Yours is a heart that laughter cheers,
Mine is a heart that's full of tears.
Long have I loved, I love her yet;
Leave her I can, but not forget“.

(W sercu twojem śmiech radosny dźwięczy,
Moje serce przepełnione łzami.
Kochałem długo i kocham cię jeszcze;
Mogę cię opuścić, lecz nie zapomnę nigdy).

biegła rozgłośnem echem tęskna pieśń Poleona Doret'a, człowieka o wielkiem sercu.

KONIEC

TREŚĆ.

WYMOWA WYRAZÓW ANGIELSKICH.

Burrell — Berel,
By God — Baj God, Na Boga.
Cache—kejcz, rodzaj piwnicy, dół wykopany w ziemi, w którym północno - amerykańscy górnicy przechowują zapasy żywności.
Chandon — Czandon.
Charlie McCormack — Czarli Mak Kormak.
Constantine — Konstantin.
Creek — krik, teren kopalniany.
Daddy — deddy, zdr. ojcze.
Dawson — Douson.
Doret — Dore.
Flambeau — Flambo.
Gale — Gejl.
Gaylord — Gejlord.
George — Żorż.
John — Dżon.
Johnnie — Dżony.
Lee — Li.

Marie Bourgette — Mari Burżet.
Meade — Mid.
Merridy — Merydi.
Mokasyny — trzewiki na drewnianych podeszwach, noszone przez Indjan północno-amerykańskich.
Necia — Neszia.
Prety Charlie — Pryty Czarli.
Quebec — Kwebek.
Seattle — Setl.
Squaw — skou, Indjanka-niewolnica; Indjanka połączona związkiem małżeńskim z mężczyzną białym.
Steamboat — stimbot, dosłowne znaczenie: statek parowy; wesoły okrzyk żeglarzy amerykańskich przybijających szczęśliwie do przystani.
St. Michael's — Sant Miczel.
Whisky — uiski, wódka.